

Andrzej Kwietniewski

Blondynka z miasta Łodzi

KSIEŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

Łódź 2011

Pragnę podziękować serdecznie następującym osobom:

Wiesi Szczurtek i Piotrowi Dopierale oraz Jasiowi Klimczakowi za to, że przez wiele lat czulem się w pubie „Łódź Kaliska” jak w domu. Jadzi Błachowicz z Telewizji Łódzkiej za życzliwość i przybliżenie telewizyjnych realiów. A mgr Izie Bartnickiej za cenne rady z dziedziny psychologii oraz pełną wyrozumiałości krytykę moich literackich poczynań.

Wyjątkowe wyrazy wdzięczności należą się jednak ulicy Wschodniej, przy której miałem kiedyś przyjemność i honor mieszkać.

Nagie martwe ciało leżało w zimnej wodzie w wannie, a on klęczał przed tą wanną i patrzył. Mała czarno-biała fotografia, nieudolnie przybita gwoździkiem do ściany, przedstawiała długowłosego młodzieńca o szczupłej twarzy i wesołym spojrzeniu. Trup kobiety o

przekrwionej spuchniętej twarzy i wywalonym obrzękłym języku obserwował go wylupiastymi oczami. On zaś czuł, że od rozlanej na posadzce wody coraz bardziej nasiąkają mu spodnie. Ale nie mógł się ruszyć z kolan, jakby zupełnie zeszytywniał. Jednocześnie zbierało mu się na wymioty i powracała tamta jesień sprzed lat.

Ten wspaniały tydzień ponad trzydzieści lat temu, gdy zamieszkali tu razem, tacy szczęśliwi i tacy młodzi. Te siedem późnych poranków, kiedy Wioletta po długiej, spoconej nocy wciąż jeszcze wylegiwała się na wersalce, a on robił jej na powitanie herbatę, podsuwał parującą szklankę pod nos i pomrukiwał cichutko, że trzeba już wstać. Zaś jego ukochana udawała, że nic nie słyszy i czekała, dopóki się nie dopełni rytuał.

– Zbudź się, Śpiąca Królewno...

– Musisz mnie pocałować.

Wciągała go gwałtownie pod kołdrę. Kochali się w pośpiechu, niemalże bezgłośnie. Potem bez słowa palili powoli papierosy. Każdy swoje: ona Carmeny, on Sporty.

– Nie odejdiesz beze mnie?

– Nie odejdę. Wrócę za kilka godzin.

– Martens, nie dotykaj niczego! – przypomniał mu się Król z przedpokoju.

Pomyślał, że teraz nie pija się już herbaty w takich szklankach. Że nie ma już koszyczków z metalu. Że może nawet wcale nie produkuje się szklanek. I że dzisiaj prawdopodobnie budziłby ją kubkiem kawy Nescafe.

Oderwał oczy od zdjęcia. Odwrócił głowę i rozejrzał się po łazience.

Czas zatrzymał się tutaj na dobre. Ten sam stołek, teraz złuszczone i żółkły, to samo prostokątne lustro, zardzewiałe i zmatowiałe pośrodku. Zaś na drzwiach, na zwisającym na żyłce ręczniku, te same blade róże, w które owijała się, wychodząc z kąpeli, i które porzucała dopiero pod kołdrą. Zasłony w pokoju trzymali przeważnie zaciągnięte – dlatego w dzień kochali się w głębokim półmroku, zaś w nocy zupełnie po ciemku. I jeszcze ta fotografia nad wanną. A na obrazku on, Rafał Martens, o kilkadziesiąt lat młodszy. To zdjęcie, tylko ono nie pasowało do wspomnienia sprzed lat.

Zerwał fotografię ze ściany i schował ją do kieszeni.

Mieszkanie wypełniło się postaciami policjantów od czarnej roboty. Fotograf, technik dochodzeniowy, lekarz, inni nie znani mu kryminalni. Oraz komisarz Król, współpracownik Martensa z „Morderstwa”. Spośród nich znał się jedynie z tym ostatnim, znali się nawet bardzo dobrze – zaś cała reszta stanowiła wyłącznie szarą masę

anonimowych ludzi z policji. Dowody zbrodni; ślady, próbki, odciski – taka wiedza, pobieżna i powierzchowna – zadowalała go jak najbardziej, zwłaszcza że wystarczała dla utrzymania wiarygodności programu. A panowie w mundurach nie interesowali go wcale.

– W porządku? – spytał go doktor od zwłok.

– W porządku.

Jednak nie było w porządku, od rana dokuczalo mu pod żołądkiem, był przybity i niewyspany. Przycisnął bolące miejsce, wciągnął mocno powietrze. Przeszło.

Spojrzał na Doxę, zapomniał nakręcić ją z rana.

– Która godzina?

– Dziewiąta.

Uzmysłowił sobie, że przepił pół dnia.

– Mów, Martens... – Król pobłądził gdzieś wzrokiem. Król nigdy nie patrzył nikomu w oczy, jedynie podczas nagrywania programu zdarzało mu się spojrzeć wprost do kamery. Okupywał to jednak ogromnym wysiłkiem. Robili wspólnie magazyn w telewizji i pamiętał, że komisarz zawsze był taki, jakby go trochę nie było. Ostatnio widywali się rzadziej, ze studia każdy uciekał w swoją stronę; Martens przeważnie do „Łodzi Kaliskiej”, a komisarz do domu.

– Mów, Martens!

– Już mówię.

Martens przypalił Lucky Strike'a. Znowu chwycił go ból.

- Mogę zadać pytanie?
- Pytaj.
- Ustaliliście coś do tej pory?
- Ustaliliśmy. Denatka jest szefową „Dziewczyny”.
- Jakiej dziewczyny?
- Takie pisemko. Tygodnik.
- A ona?
- Ona to pani Beate Fraumann. Dwadzieścia dziewięć lat, obywatelka niemiecka.
- Tylko tyle?
- Na razie.
- A dlaczego ta Fraumann taka pognieciona i woskowata?
- Refik...
- Rafał.
- Niech będzie Rafał. Umówmy się, Martens: ja pytam, a ty odpowiadasz.
- No to pytaj.
- Proszę. Skąd się wzięło twoje zdjęcie nad wanną?
- Z legitymacji.
- A konkretnie.
- Nie mam pojęcia.
- Nieprawda.
- Prawda.

– Przymkniemy cię przewencyjnie.

– Ho, ho, ho! Już widzę te tytuły w gazetach: Redaktor Martens zamieszany i zatrzymany! Obwiniony zaprzecza! Z braku dowodów sąd zwalnia Martensa z aresztu! Król, ja nie mam o niczym pojęcia.

– To się wynoś! I weź mój parasol.

– Nie trzeba.

– Bierz. Ty zmokniesz, a mnie się oberwie od Mewy. Co tam u Mewy, a propos'?

– Dziękuję. Ciągłe jest moją żoną.

– A u Fatmy?

– To samo.

– Poligamista.

Król i doktor odeszli na stronę, zaś Martens wpatrzył się w swoją podobiznę nad wanną i poczuł się okropny i stary.

– Może to samobójstwo?

– Zabójstwo.

– Przyczyna zgonu?

– Zadzierzgnięcie.

– Spuchnięta jakaś.

– Gęba jak u menela.

– Ale za to blondynka.

– I dlatego nie żyje.

– Idiota!

– Spuścić wodę?

Z łazienki dobiegły go ponure odgłosy krzątającej się policyjnej ekipy. Śmierć nie czyniła na nich jakiegokolwiek wrażenia – zajmowali się trupem, jak kukłą.

Żegnaj laleczko. A więc nazywałaś się Fraumann... Bezszelестnie zamknął drzwi od mieszkania.

Zatrzymał się na chwilę na schodach. Był pewien, że stał już dzisiaj przed tymi drzwiami. I że w zamku tkwił klucz, a on go wtedy przekręcił. Ale co potem? Spożywany od rana alkohol wyorywał mu luki w pamięci. Nie miał pojęcia, czy zaglądnął do korytarza, czy może jeszcze gdzieś dalej, nawet do tej przeklętej łazienki. Nie mógł sobie przypomnieć, o której tu przyszedł i po co. Przed oczami znów stała mu nieżywa kobieta i obleciał go strach, że jednak ma coś wspólnego z tą zbrodnią. Ruszył do wyjścia.

Na klatce schodowej przepaliły się wszystkie żarówki. Wówczas również nie paliła się żadna. Macając odrapane, sypiące się ściany i czepiając lepkiej od brudu poręczy, z trudem zwlókł się na parter. Wszystko wokół było ponure, wilgotne i szare. Listopadowa, zacinająca mżawka, cofnęła go z powrotem do bramy.

W prawą ścianę wstawiono nowe przeszklone drzwi. Napis nad wejściem oznajmiał: „Studio Fryzury – Agnieszka Krzak”. W środku żarzyło się nagle światło. Obok spisu mieszkańców umieszczono

niedużą gablotkę. Identyczne, natapirowane blond bóstwa, przyglądały mu się ze zdjęć; same Pamele Anderson, Violetty Villas i Barbie.

Byłem tu po południu i chciałem się ostrzyć – skonstatował przytomnie.

Około czternastej wszedł do tego „Studia Fryzury” – z ciekawości, żeby odwiedzić stare kąty. Przed trzydziestu laty mieściło się tu zwyczajne mieszkanie, ale wróciły wspomnienia i coś go pchnęło do środka. Wnętrze nie pasowało do reszty; było sterylne i nowoczesne. Powiesił płaszcz, klapnął na kanapce pod ścianą. Potem zdjął marynarkę, poluzował węzeł krawata i odpiął guzik koszuli przy szyi. Rzucił okiem na zeszlóroczne sczytane czasopisma i rozejrzał się wokół.

Na fotelu przed lustrem spoczywała oryginalna, ubrana na czarno, atrakcyjna brunetka. Fryzjerka myła jej długie włosy. Na drugim fotelu rozsiadł się łysawy jegomość. Ubrany w zielony wojskowy mundur, z twarzą spaloną słońcem, zachowywał się dosyć swobodnie; grzebał we fryzjerskich narzędziach i bawił się flaszkami na półce. Był tu najprawdopodobniej prywatnie, bowiem jego przystrzyżona na jeża resztką włosów najwyraźniej nie potrzebowała maszyny. Na prawym pagonie wygniecionej i wypłowiałej marynarki

miał dwie przepisowe krokiewki i belkę, a na lewym belkę i tylko jedną krokiewkę.

Półstarszy sierżant sztabowy – skojarzyło się Martensowi przewrotnie.

– Przepraszam, ale mam klientkę na dłużej. Jeżeli chce się pan ostrzyć, to trzeba zaczekać ze dwie godziny. – Fryzjerka uśmiechnęła się obojętnie, prawdopodobnie wyłącznie do lustra.

Martens pozbierał przemoczone ubrania i z nadzieją na lepsze udał się do „Łodzi Kaliskiej”. Właściwie nie miał nic dzisiaj do roboty, więc postanowił kontynuować to nudne nijakie popołudnie pijąc wino i konwersując z barmanem.

Wtedy też ciągle lało... – pomyślał, próbując podpalić Lucky Strike'a. Zupełnie bez sensu, w tym przeciągu i deszczu.

Na odległym podwórku włączył się alarm, zapiał na chwilę i zdechł. Poza tym ulicę jakby wymiotło, paliła się co najwyżej jedna piąta latarni. W bramie po drugiej stronie ostrzyżony na jeża typek oganiał się od miejscowej gówniary. W końcu uderzył ją w twarz, zaś ona zaśmiała się histerycznie. Martensowi przyszło do głowy, że skądś zna tego gościa. On tymczasem widać go dostrzegł i cofnął się szybko do cienia. Spod sklepu z winem naprzeciw odjechała rozklekotana furgonetka. Zostawiła za sobą wijącą się, monstualną kolej-

kę.

– Jest – zamruczał.

Butelka z ulubionym Terra Quente Colheita nadal tkwiła pod klapą marynarki.

Nic się tutaj nie zmienia. Wciąż brud, smród i ubóstwo – skojarzył bez jakiegokolwiek emocji – tylko trzydzieści kilka lat temu nie prowadzili tu sklepów z najtańszym bełtem. Za to na Włókienniczej wódkę trzymali w każdej bramie. A na melinach zdarzał się nawet Cherry Cordial.

Za obdrapanymi, szerniałymi ze starości, odartymi z tynku murami, uparcie próbowało toczyć się jakieś życie. Przez szum deszczu przedzierał się płacz noworodka, z poddasza dobiegał wrzask kota. Pomyślał, że jego Fatma nigdy nie darła się w taki sposób. W kilku oknach zapłonęły światełka najslabszych w mieście żarówek. W wielu innych podobnych jednoizbowych mieszkaniach było jednak zupełnie ciemno. W wypełnionym deszczówką dziurawym asfalcie odbijały się błyski flesza. Uniósł głowę i spojrzał w okna na piętrze.

– Król pracuje – bąknął pod nosem.

Rzucił okiem na rząd niemiłosiernie obtłukiwanych przez deszcz samochodów. Sięgnął po wino i spostrzegł ze smutkiem, że w butelce pozostało jedynie powietrze. Przy okazji wypadła mu z kieszeni fotografia znad wanny. Porwana przez wiatr, spłynęła rwącym

rynsztokiem i zatrzymała się dopiero na kratce od ścieku. Zrezygowany, wychylił się z bramy. W prawo, za skrzyżowaniem, być może istniała jeszcze „Cukiernia Turecka”. Wiele lat temu właściciele przyjaźnili się z rodzicami Martensa, i tylko tam, bez złej konotacji, wołali na niego Refik. Zaś w lewo, w kierunku Placu Wolności, powinien znajdować się pub.

W tamtych czasach nie było jeszcze pubów, jedynie mordownie albo knajpy. A ta najbliższa nazywała się „Marysieńka”. Była zawsze zadymiona, zimna i ciemna. Obciążone ceratą stoliki, popielniczki pełne najkrótszych petów, puste, pękate, ciemnobrązowe flaszki po piwie. Piwo nazywało się wtedy „Piwo”, z informacją, że jest ono jasne i pełne albo ciemne i mocne. W tej konkretnej speluncie serwowano je w dowolnej ilości. W owych czasach nie było to takie oczywiste, jednak browar był niedaleko, nazywał się „Browar nr 1” i produkował obie tradycyjne odmiany: pasteryzowany „Porter” o pojemności pół litra i „Jasne Pełne” w zero trzydzieści trzy. Mimo tego, na wszelki wypadek brało się od razu po kilka. Bo przecież w knajpie, jak w życiu – nic nie jest dane na zawsze.

Po tygodniu Wioletta niespodziewanie nie otworzyła mu drzwi. Więc – na zmianę – albo czekał na nią otępiały schodach, albo rozmyślał o bliskim już ślubie z Mewą, albo zapijał się w tej zasyfionej, śmierdzącej pijalni. Po dwóch dniach skumał się z panem pełniącym obowiązki szatniarza, i usłyszał, że jakaś Wioletta mieszka w po-

dwórku, gdzie produkują biustonosze na miarę. Więc popędził tam z rana i potem chodził po tym podwórku w kółko, całymi dniami.

Najgorsze były jednak ciągnące się noce. Wracał wtedy do mieszkania rodziców, i na wół jawie, wół śnie, nadal się przytulał z Wioletką. Zaś na drugi dzień na wszelki wypadek nie umawiał się z Mewą.

W rozmytej przez mgłę perspektywie ulicy przebijały się podświetlone napisy. Ale czy to był bar czy sklep, zupełnie nie miał pojęcia. Bo dzisiaj cały jego świat ograniczał się do Piotrkowskiej. Tam zamieszkał w reprezentacyjnej kamienicy nad Bliklem, tam w każdej bramie były restauracje i puby, a do „Łodzi Kaliskiej” było zaledwie kilka kroków.

– Nie ma rady...

Spojrzał pod nogi. Pod murem wałały się flaszki po przedwczorajszym Zamkowym. Zdenerwowany dorzucił do nich swoją po Terra Quente, zamachnął się z całej siły i wykopał całe to szkło poza bramę.

Jego pierwsza wizyta u Wioletty także kojarzyła się z pewnym winem, z deserowym trunkiem Lacrima – mieszanką najtańszych podłych gatunków z Bułgarii, spirytusu i cukru. Przypomniawszy sobie teraz najdrobniejsze detale, jakby po latach oglądał dobrze znany mu

film. Tylko Wioletty nie zapamiętał dokładnie. Zostały mu po niej jedynie włosy, czerwona sukienka i przenikający wszystko zapach perfum „Konwalia”.

Wykosztował się wtedy na Carmeny, po osiemnaście złotych za paczkę. I niby to rozglądał się po mieszkaniu, niby spoglądał na czubki palców, ale tak naprawdę gapił się wyłącznie na cycki – na jej dwa spore kształtne jabłuszka sterczące pod modną bistorową dzianiną.

Podniecił się, niczym sztubak.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– To dobrze.

– Usiądźmy.

Wygrzebał z torby zakupioną w kawiarni butelkę z Lacrimą. Przeplacił za nią trzydzieści złotych, bowiem akuratna kelnerka policzyła mu wino na lampki. Wioletta przyniosła z kuchni dwie szklanki, osadzone w spiralnych aluminiowych koszyczkach.

– Tak dla skrócenia dystansu – połał w obydwie.

I wypróżnił obie do dna – ale jakoś nie zadziało. Więc wygrzebał „Express Ilustrowany” i udawał, że czyta.

Spontaniczna reakcja na apel Stacji Krwiodawstwa. Dramatyczna walka o życie 22 letniego żołnierza.

Obok widniało zdjęcie ostrzyżonego na jeża chłopaka.

Spojrzał na Wiolettę spod oka. Ale ona czekała spokojnie, wcale nie ułatwiając zadania. Tymczasem Lacrima zrobiła swoje i podпиты już Martens rozpoczął podchody.

– Masz takie wspaniałe włosy.

Wyciągnął „Smienę”, przyłożył aparat do oka.

– Zupełnie jak jakaś amerykańska aktorka.

– Jak każda... – roześmiała się hałaśliwie.

Od początku urzekł go jej oryginalny chrapliwy głos; niski, niczym gitara basowa – a jednocześnie skrzekliwy, jak źle nastrojony radioodbiornik.

– Chciałbym pstryknąć ci zdjęcie.

– Wykluczone!

Zaprotestowała absurdalnie, gwałtownie; uciekła do przedpokoju.

– Szkoda.

Schował aparat.

– Podaruj mi swoje.

Wróciła, uśmiechnęła się, próbowała załagodzić wrażenie.

– Na pamiątkę.

Wyciągnął legitymację i oderwał z niej fotkę.

– Ładne.

Wsunęła zdjęcie za stanik.

Objął ją mocno. Przysunęła się bliżej, przyłgnęła do niego plecami. Przez sukienkę z grubej krempliny chwycił ją od tyłu za piersi.

– Raczej nic z tego.

– Ale dlaczego?

Znowu poczuł ten zapach konwalii.

– Mam powody.

– Narzeczony czy mąż?

– Nie dlatego. Przecież nie znamy się wcale i nie chcę, żebyś coś sobie o mnie pomyślał.

– No to musimy się poznać.

– No dobrze. Byle cicho i szybko.

Położyli się na rozścielonej wersalce. Przeszkadzając sobie wzajemnie, porozbierali się i ukryli pod kołdrą.

– Zakochamy się w sobie?

– Na pewno.

W stojącym na podłodze radiu „Beata” bezustannie puszczały niezapomniany przebój tamtego lata, „Najtrudniejszy Pierwszy Krok” Anny Jantar.

– Wioletto, czyja ta chata?

– Niczyja.

Odwróciła się demonstracyjnie do ściany.

– Mieszkasz tu sama?

– Przeważnie.

– Masz kogoś?

– Kiedyś tu mieszkał kolega. Ale on chyba poszedł do wojska. Kolega, który chyba poszedł do wojska. Nie dopytywał się dalej.

Kochali się do rana, bez przerwy.

Przyjeżdżaj Martens, mamy damskiego trupa w wannie. Ta sprawa dotyczy także ciebie, bo tuż nad trupem wisi twoja młodzieńcza podobizna – wydzwonił go Król.

Powtórnie spróbował zapalić napęczniałego wodą Lucky Strike'a, ale zawilgocone łebki zapalek tylko się lepiły do draski. Wydawało się, że przejmująca chłodem jesienna siąpanina, porywisty wiatr i szarobure chmury zadomowiły się na Wschodniej na zawsze. Martens czuł, jak powoli uchodzi z niego powietrze. Od pewnego czasu coraz częściej doświadczał trwającego godzinami zmęczenia, uparcie bolała go głowa i przypominała o sobie wątroba.

Wyjrzał na chodnik. W szybie „Studia Fryzury” zobaczył swoje zdeformowane odbicie. Wróciło wspomnienie. Wstąpił tu po południu, żeby się ostrzyć, ale się nie udało. Fryzjerka tłumaczyła, że

ma klientkę na dłużej, a zaczerwieniony i opuchnięty „półstarszy” sierżant sztabowy przytakiwał jej głową bezmyślnie.

Martens przypomniał sobie, że po kilku pijanych godzinach powrócił jednak na Wschodnią, ale zamiast do „Studia Fryzury”, coś go pchnęło na piętro. Spod wejścia do mieszkania pod trójką uskończyła wtedy gwałtownie jakaś postać i bezszelestnie wbiegła schodami na górę. A on przekręcił klucz i zajrzał do środka. Niestety, potem w pamięci pojawiła się czarna dziura.

Martens, przypomnij sobie, może to ty zabiłeś tę Fraumann? Może ją udusiłeś w pijanym widzie? I zostawiłeś na kluczu odciski palców – skulił się ze strachu i bólu.

– Refik, gdzie jest, kurwa, to zdjęcie?! – doleciał go rozpaczliwy krzyk Króla.

Wołał na niego Refik – zawsze, gdy chciał mu szczególnie dokuczyć.

– W dupie, pieprzony rasisto!

Kołatały mu nerwy; nie wiedział, z nadmiaru, czy z braku wi-
na.

Zaczął się trząść. Obserwował, jak bulgoczący wir wody próbuje wciągnąć w kanał jego gębę sprzed lat. Zaś rynsztokiem spływa ku niemu nieżywa goła Fraumann. Ciało miała obrzmiałe, skórę bezbarwną i pomarszczoną. Wywaliała spuchnięty język i łypała na niego wytrzeszczonymi oczami. Zatrząśł się z obrzydzenia. Wyciągnął

fotografię z mętej brunatnej deszczówki i schował do kieszeni na piersi.

Koleś od bijatyki z siusiumajtką ciągle tkwił w bramie naprzeciw i uważnie rozglądał się wokół. Martens pomachał mu ręką i ruszył w kierunku Jaracza.

Z podwórka sąsiedniej posesji wyłonił się młody mężczyzna w skórzanym płaszczu i okularach á la Cybulski. Wsiadł w wielki czarny samochód i jechał powoli – wzdłuż krawężnika, niedaleko Martensa. Potem nagle przyśpieszył, a przed skrzyżowaniem, jakoś tak bez potrzeby, przyhamował gwałtownie. W szaroburej lepkiej poświacie zatańczyły ogromne czerwone stopy.

Pierwszy raz widzę tu taki samochód – zrezygnowany naciągnął marynarkę na głowę. Rozpryskując kałuże, powłókł się na Piotrkowską przez deszcz.

– Martens, Król dzwonił.

Przyniosła Terra Quente do łóżka i rozsiadła się w nogach.

– Mówił co?

– Mówił.

– A co?

– Mówił, żebyś natychmiast oddał mu zdjęcie.

Ubrała się w wydekoltowaną cienką jedwabną sukienkę, a zło-

ciste promienie słońca kreśliły na niej fantazyjne kreski i plamki.

– Czuję w nim jakiś fałsz.

– W komisarzu, czy w zdjęciu?

– W obydwu.

Pani psycholog Mewa Martens naprawdę nosiła imię Ewa, ale że na drugie miała Mariola, a Mariola i Ewa równa się Mewa, przyjaciele ze studiów przezywali ją Mewa. I tak jej zostało do dziś.

– A zaraz potem zadzwoniła twoja córeczka.

– Aha. Mówiła coś?

– Mówiła.

– Co mówiła? Ciepło tu u nas.

– Włączyłam grzejniki.

Przeciągnęła palcami po parapecie, zebrała warstewkę kurzu.

– Ja nie w tym sensie. Chodzi mi o to, że w tym mieszkaniu jest sympatycznie i miło.

– Martens, jesteś jak dziecko.

– Zgadza się. Mężczyźni przeważnie dojrzewają zbyt późno.

– Albo wcale nie dojrzewają.

– Może i tak. Musisz wiedzieć, że powietrze ogrzewa się i, jako lżejsze, unosi do góry, podrywając firanki...

Pogładził zeberka.

– Natomiast latem firanki fruwały zazwyczaj od szczeliny pod oknem. Taka szczelina ma, oczywiście, swój sens, bowiem bez niej

cyrkulacja powietrza...

– Daj spokój!

Rozsunęła zasłonki. Martens uniósł się, wyrzwał na zewnątrz i przysłonił oczy od blasku.

Na ulicy było niemrawo i całkowicie bezgłośnie. Na skrzyżowaniu zebrali się niewyspani bezrobotni rikszarze. W listopadzie pozostają jedynie ci najbardziej wytrwali. Zabezpieczeni od chłodu i wiatru, okutani na wszelkie możliwe sposoby, wyczekują na ostatniego odważnego klienta. Poza tym jeszcze tylko staruszka sąsiadka z jamnikiem załatwiającym potrzebę pod drzewem – punktualni co do minuty. Martens przypomniał sobie, jak trzydzieści lat temu Piotrkowską smrodziły czerwone Ikarusy, a pod niejednym domem parkowały landary z węglem.

Do sypialni wsunęła się kotka. Owinęła mu się ogonem wokół wystającej spod kołdry nogi i zastygła w bezruchu.

– Odczep się...

Spróbował odpędzić ją delikatną perswazją.

Sam się odczep – zamruczała basowo. Niczym Harley na wolnych obrotach.

Kotka nazywała się Fatma i była córką odziedziczonej po Rafała rodzicach podobnej kotki, również wabiącej się Fatma. Rodzinna legenda powiadała, że wszystkie koty w mieszkaniu Martensów wywodziły się w prostej linii od Fatmy z numerem jeden, protoplast-

ki całego rodu. Fatma Pierwsza została przywieziona z Konstantynopola zaraz po wielkiej wojnie przez dziadka Martensa, Refika Celika, handlarza z Kapahçarşı. Prawie dziewięćdziesiąt lat temu przyplłynęła do Gdyni starym parowym kabotażowcem – razem z całą resztą ich tureckich tobołów. Słynna imigracyjna antenatka kociego rodu podobno była bardzo szlachetna i pochodziła w prostej linii od nowoczesnej podówczas rasy, zwanej „płową turecką angorą”. Jednak już jej pierwsze polskie potomstwo, pochodzące z roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego i splodzone ze związku z paskowanym burym awanturnikiem z podwórka, zniweczyło wszelkie plany wprowadzenia owej wspaniałej odmiany do Łodzi. Odtąd pilnowano jedynie, aby ewentualny kolejny koci konkubent był przynajmniej zbliżony kolorem do Fatmy, żeby jak najdłużej zachować w potomstwie choćby jej barwę sierści – niezwykle jasną, bladobeżową, miejscami lśniącą niczym stara polerowana platyna. Na szczęście w każdym miocie zawsze znalazła się jakaś dziewczynka-blondynka, mogąca godnie zastąpić poprzednią. Więc choć kotka Martensa była już tylko mieszanką, to w żadnym razie nie jakimś tam kocim kundlem. Zaś Mewa nazywała ją bezpieczeństwaowcem.

– Stój sobie, idiotko...

Zastygł w niewygodnej pozycji.

Kochasz mnie? – przyjaznym zielonym kocim wzrokiem spojrzała mu miękko w oczy.

– No pewnie.

Martens kochał swoją Fatmę nad życie.

Mieszkanie Martensów składało się z dwóch pokoi, kuchnio-jadalni, łazienki i garderoby. Okna salonu i sypialni wychodziły wprost na Piotrkowską. Były wysokie na dwa i pół metra, z ciekawym i skomplikowanym podziałem. W każdym z pomieszczeń mieściły się po rogach sięgające sufitu, wspaniałe węglowe piece, zdobne zielonymi, białymi i brązowymi kaflami z motywami akantu i oryginalnymi srebrzystymi drzwiczkami. Do wysokości pół metra już dawno zostały pokaleczone przez kotkę, ale drapane były jedynie wtedy, gdy były ciepłe. Dlatego Martensowie palili w nich rzadko i tylko czasem – dla wywołania nastroju. Większy pokój posiadał ściany wybite atłasem, ogromne lustro i kryształowy stuletni żyrandol. Ów salon, tak go przezywali czasami, stanowił niegdyś królestwo ich córki.. Po wyjeździe do Niemiec pozostały po niej grające pudła i gigantyczna ilość odzieży. Sukienki, spodnie, bielizna i bluzki – zalegały na klubowych fotelach i dokumentnie zawały podłogę. Ale Mewie to wcale nie przeszkadzało, po prostu nie zachodziła tam bez potrzeby. Mniejszy pokój pełnił funkcję całodziennej sypialni: z wielkim łóżkiem i równie ogromnym telewizorem nowocześnie zawieszonym na ścianie.

Mewa uchyliła nieznacznie lufcik. Powiało chłodnym powietrzem.

- Śmierdzi! – zaprotestował.
- Nic nie czuję. Anosmia.
- Niby co to takiego anosmia?
- Całkowity brak powonienia.
- Moja ty naukowa mądrało.

Martens przypuszczał, słusznie zresztą, że w kuchni suszy się jego wczorajsze przemoczone ubranie. Pogrzebał w kieszeni, wrócił i zademonstrował jej resztki fotografii znad wanny.

- Co to za zdjęcie?
- No, takie tam. Z legitymacji studenckiej.
- Pokaż.

Zrzuciła sukienkę, wsunęła się obok niego pod kołdrę.

- Kto to jest, do cholery?
- Student drugiego roku Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi.

Rafał Martens.

Nie wstając, napił się wina. Pocięło koślawym strumyczkiem po brodzie i wykapało na pościel.

– Nie płacz kochanie. Nadal jesteś zabójczo przystojny. Więc spokojnie możesz oddać zdjęcie Królowi.

- Nie oddam.

Coś mu nie pasowało z tym zdjęciem.

- To jest pamiątka.
- Pamiętasz, po ślubie mieliśmy zamieszkać w jakimś miesz-

kaniu na Wschodniej.

– W starym mieszkaniu po moich rodzicach. Pamiętam.

Nareszcie – wino zrobiło swoje i Martens znowu poczuł odradzające się życie. Znowu poczuł to przyjemne ciepło wypełniające zdegenerowane alkoholem wnętrze. Więc przytulił się do Mewy jak dziecko i opowiedział o wczorajszym wieczorze. Opowiedział, co zapamiętał. Bo dokąd poszedł potem i jak się w końcu znalazł w domu, o tym zupełnie nie potrafił sobie przypomnieć. Opowiedział jej i o nieboszczce Fraumann, i o niegdysiejszej Wioletcie. Ale od razu się zorientował, że z Wiolettą to błąd.

– Ach, pani naczelna redaktor. Podpisuje się: Wasza Beata.

Mewa sięgnęła na półkę, otworzyła liche kolorowe pisemko.

– „Dziewczyna”.

Beate Fraumann prezentowała się czytelnikom w postaci obfitego popiersia obciążonego lśniąca odzieżą z lajkry. Jej przedramiona i dłonie tonęły w tandetnych plastikowych błyskotkach, a wszystko na niej było wyłącznie czarne; długie za piersi włosy, błyszcząca bluzeczka, chałowate pierścionki i także tandetne bransoletki po łokcie. Autor zdjęcia podpisał się Połaniecki.

– Jaka wirtuozeria kształtów pod tą bluzeczką. Maestria.

– Takie cyce to kicz.

– No i co z tego. Gdybym ich wczoraj nie widział w całej okazałości, to bym je z chęcią wymyślił. W przypadku kobiet piękno jest

zawsze naturalne. A takie wypukłe – to po prostu przyjemność.

Mewa obdarzyła go litościwym spojrzeniem.

– Czytam czasem, co ona pisze, i sądzę, że ta Fraumann to przede wszystkim myślące i czujące wnętrzości. Jednakowoż pewnie nie chce uchodzić za sęka, nie chce łątki jednocześnie pięknej i mądrej. Więc nosi te obciste bluzeczki i obarzanki z plastiku – takie najtańsze i totalnie niemodne.

– Masz rację. Prawdziwa wolność, to przede wszystkim wolność od mody.

– Jestem pewna, że pani Beata jedynie udawała idiotkę.

– *Cherchez la femme!*

Nie widział żadnej oczywistej przyczyny owego rozdwojenia jaźni u Fraumann.

– Wargi ociekają jej miodem, usta ma gładze niżli oliwa, lecz koniec jest gorzki niczym piołun i ostry jak miecz obosieczny!

– Kobiety pozostaną dla was zagrożeniem już zawsze.

Mewa położyła dłonie na biuście.

– Cholera, to ona!

Martens jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu i rozpoznał klientkę ze „Studia Fryzury”. Skojarzył ją z trupem pływającym w łazience i przeraził się, że ich drogi tak się dzisiaj schodziły. O czternastej spotkał ją u fryzjerki, a wieczorem, piętro wyżej, w tym nieszczęsnym pamiętnym mieszkaniu.

– Pewnie, że ona.

– Połaniecki... Co za dziwne nazwisko.

– Fotoedytor – wyczytała w stopce na dole. – Kojarzy mi się z Uniwersałem.

– A mnie z zakompleksionym idiotą.

Zaciągnął się, popił trochę i ułożył piosenkę na melodię z „Opery Za Trzy Grosze”.

*Ciało Fraumann znaleziono,
Nagi w wannie pływał trup
Ktoś krawatem pomógł sobie,
Jest na Wschodniej świeży grób.
Posłuchajcie tej ballady
W której wielka milczy pierś
Na układy nie ma rady,
Do każdego trafi śmierć.*

– Jakim krawatem?

Mewa przydusiła go Jaśkiem.

– Nie mówiłeś nic o krawacie!

Rzeczywiście, Fraumann była w tej wannie w krawacie. Musiał zarejestrować to mimo woli i teraz sobie podświadomie przypomniał.

– Wybacz Mewuniu, amnezja.

– Czyli dysocjacja polegająca na wyparciu doświadczeń z przeszłości.

Ktoś udusił Fraumann krawatem... Stała mu przed oczami zmkła głowa pomarszczonej utlenionej blondynki. Zaniepokoił się, co to niby za krawat i natychmiast zapragnął sprawdzić, czy jego własny nadal wisi na swoim miejscu. Albo suszy się z całą resztą ubrania.

– Nonsens!

– O czym mówisz, kochanie?

– O tym, że nie ma rady.

Przeciągnął palcami po szyi.

– Że niby każdy musi jakoś wyglądać?

– Niestety.

– Jak ci się podobały jej cycki?

– Fizyka. Pewnie unosiły się w wodzie, nie przyglądałem się specjalnie dokładnie.

Skrzywił się z obrzydzeniem.

– Bałem się, że się porzygam.

– Unosiły się niczym meduzy w morskiej toni, czy raczej jak baloniki na sznurkach?

– Daj spokój.

– Nie miałeś ochoty wejść tam, do niej, na chwilę?

– Do wanny? Jesteś zazdrosna?

– Wyobraź sobie, że jestem. Nie znoszę tej suki!

– Przecież wcale jej nie znasz.

– Widziałam na zdjęciu. I starczy.

Podetknęła mu „Dziewczynę” pod nos.

– Mewuniu, czy to ty zabiłaś tę Fraumann?

– Nie zabiłam, ale mogłabym zabić. No bo powiedz, po co po świecie snują się takie święte krowy z wymionami do ziemi?

Skrzyżowała ręce na niewielkich dziewczęcych piersiach.

– Krowy kojarzą mi się z Egiptem. Poza tym maciory z Grecją, tygrysice z Chinami, a początek Rzymu z wilczycą.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Czuję, że Połaniecki jest mordercą tej Fraumann.

– Myślisz? No tak, być może to jego kochanka?

– Na pewno. W dodatku szefowie-kobiety traktują podwładnych-facetów przeważnie jak służbę, a co najwyżej stajennych. Albo mienie ruchome o znikomej wartości.

– Więc wzywała gości do gabinetu i, jeśli się nie sprawdzali, po prostu wywalą na pysk.

– Czyli po prostu skreślała ich z ewidencji.

– Znałaś ją?

– Co ci chodzi po głowie?

– Mogłaś ją poznać. Na przykład na jakimś bankiecie. W koń-

cu oboje robicie w kulturze.

– Raczej w mediach.

– Niech będzie.

Mewa zaczęła kartkować „Dziewczynę”.

Od redakcji: Znana piosenkarka, żona znanego bramkarza, ze zgorszeniem dementuje plotki na temat rzekomej operacji usztywnienia biustu i twierdzi, że swoje nowe kształty zawdzięcza jedynie stanikowi krajowej marki „Blondi”.

– Blondi? Ciekawe, czy ta Beata też nosiła staniki?

– Blondi, nie Blondi, nosiła, nie nosiła, niech nasza świętej pamięci pani Beate Fraumann spoczywa wreszcie w spokoju. A ty teraz siadaj i opowiadaj o tej swojej Wioletcie.

Nie zamierza odpuścić – zafrasował się nieco.

– Przede wszystkim, jak ją poznałeś?

– W szpitalu.

– I jaka była, że aż się musiałeś zakochać?

– Blondynka.

Rzeczywiście, co mnie obchodzi ta Fraumann – spróbował przywołać widok z trupem unoszącym się w wannie, na szczęście się nie udało.

Za to zjawiała się inna, bardzo do niej podobna. Przypominała

pieśniarkę Violetę Villas z okładki starego longplaya „Dla ciebie miły”.

*We włosach klivii kwiat, dla ciebie miły,
Kolczyków ciepły blask, dla ciebie miły.
Przyjdź ukochany, przyjdź, ubawisz ty się dziś,
Lusterko mówi mi, że mogę iść.*

Piosenek z tej właśnie płyty słuchali często jego rodzice, gdy jeszcze chcieli coś poczuć do siebie.

– Piękne fryzury.

Wszystkie trzy panny były przefarbowane na blond. Stały jedna przy drugiej, w identycznych pozach, i w identycznych właściwie sukienkach. Nad kolana, z dużym dekoltem, uszyte z grubej czerwonej krempliny.

– Piękne oczy.

Jedna, najbardziej rozgarnięta, nie pozostała mu dłużna.

– To my już sobie pójdziemy... Dwie pozostałe zrobiły w tył zwrot.

– A ja zostanę na chwilę.

– Trzymamy za ciebie kciuki, Wioletko.

Przeszli do windy, przystanęli, zaciągnęli się łapczywie fajkami. On wymiętymi od noszenia w kieszeniach Sportami, a ona Car-

menami z lichej blaszanej cygarniczki. Ona w czerwonej bistorowej sukience, a on w zużytej paskowanej szpitalnej piżamie. Martens pomyślał o Mewie, o tym, że za niedługo powinien się żenić.

– Przepraszam...

Zakrztusił się dymem.

– Pani jest taka piękna.

Uśmiechnął się do dziewczyny obłudnie.

– Ja do brata. Na neurochirurgię.

– A ja do siebie. Na gastrologię.

– Ja na drugie.

– A ja na pierwsze.

Poszli schodami, zatrzymali się na półpiętrze.

– Może odwiedzimy go razem?

Wspięli się do Martensa na oddział, zaniósło ich do męskiego wucetu.

– My tu, na gastrologii, jaramy, jak w domu – pochwalił się, jak na bohatera przystało. – Nawet nie udajemy, że nie palimy

– W takim razie może jeszcze po jednym.

– Poszukam ogień.

Wgramolił się na deskę od sracza, zaś ona – udając, że niby się niechcący potknęła – całym ciałem przyłgnęła do niego. I w jednej chwili jego samczy wihajster stwardniał stanowczo, po męsku. A owa chwila, tak miła dla obojga, przeciągnęła się, aż namacał na

zbiorniku od górnopełka zapalki. Potem usadowili się blisko siebie, jakby na parapecie nie było już więcej miejsca. W szpitalnej łazience szybko zrobiło się ciemno od dymu.

– Rafał.

– Wioletta.

Głos miała chrapliwy – skojarzył mu się z Louistem Armstrongiem. Widać od papierosów – pomyślał.

– Jutro mnie wypisują.

– To do jutra.

Zapisała mu adres na Sportach.

– Poznałem Wioletkę w szpitalu. Przyszła tam, bo jej brat miał wypadek i leżał na neurochirurgii, a ja, pamiętasz na gastrologii. Potem przemieszkiwałem z nią trochę na Wschodniej.

Zaschło mu nagle w gardle, bowiem zdał sobie sprawę, że byli już wtedy z Mewą po słowie.

Ale wpadka – spojrzał na żonę spod oka.

– I co potem?

Uśmiechnęła się wyjątkowo niewinnie.

Mam szczęście – pomyślał, rewanzując się identycznie idiotycznym uśmiechem.

– Mam kaca.

Oddał jej pusty kufel i poprosił o jeszcze.

– Dypsomania.

– Czyli co?

– Czyli pociąg do alkoholu.

– Wzajemnie.

Przyzwyczał się już do tych jej wiecznych komentarzy, do nadymania się na obco brzmiące słowa, na udawanie najpierwszej najmądrzejszej – do grania roli wszystkowiedzącej domowej pani magister psycholog. Zapamiętała kilka rzeczy ze studiów i używała ich teraz bez sensu, wykorzystując każdą okazję.

– Przepraszam.

Mewa przyniosła z kuchni dwie schłodzone butelki. Jeżeli już pili, to przeważnie tę Terra Quente Colheita, po prawie dwieście złotych za flaszkę. Bowiem oboje byli zdania, że picie drogiego wina, to jest jednak dużo mniejszy występki, niż jedynie samo picie dla picia.

– I mniejszy kac.

Martens przelał wino do kufli.

Była sobota, nie musieli się spieszyć. W spiżarce były odpowiednie zapasy, a kilka butelek zostawiali zawsze przy ścianie – niedaleko od wywietrznika, aby zdążyły się schłodzić.

– No to siadaj.

Przesunął krzesło. Sam powrócił do łóżka i rozsiadł się z miną profesora Harvardu.

– W całym naszym domu nie znajdziesz stosowniejszego miejsca na wykład.

Zadzwoił telefon – przeczekali spokojnie. Pozwolili mu poterkotać, popijając wino w milczeniu.

– Martens, dzwoniła twoja latorośl – skojarzyło się Mewie.

– Twoja też.

– Ale ona...

– Proszę o ciszę. Dziękuję. Witam państwa na pierwszym w tym roku wykładzie. Dzisiejsze zajęcia noszą tytuł: Śmierć i Dziewczyna. Śmierć nazywa się Fraumann, jednak nie ma potrzeby, abyśmy zajmowali się śmiercią. Natomiast dziewczyna nosiła piękne imię Wioletta. Opiszę ją państwu w miarę dokładnie, poczynając od biustu. Ale najpierw, tytułem wstępu, trochę o tym, jak powinien wyglądać biust idealny.

– Panie docencie, czy można palić?

– Można.

Zapalili po Lucky Strike'u. Oboje palili takie same, bo ułatwiało to niezmiernie współzycie.

– Otóż biust idealny musi być umieszczony centralnie i symetrycznie. Reprezentuje wtedy pozycję, zwaną w urbanistyce klasyczną, taką nie za bardzo do przodu, lecz i nie za bardzo na boki i w dół. Natomiast z punktu widzenia inżynierii materiałowej, łączność z klatką piersiową powinien mieć solidną i elastyczną zarazem...

– Ponoć jedna fajka na sto zawiera marihuanę. Ale ja nie mogę na taką natrafić.

– Nie przeszkadzaj. W kontekście takiego arcyzmu, na przykład, obie jednocześnie te cechy sprzyjają ewentualnej właściwości specjalnej. Mianowicie wspomagają naturalne wahadłowe ruchy oddechowe, których rozkołysana jakość jest najważniejsza dla całości końcowej wahadłowej ekspresji.

Mewa wskoczyła z powrotem do łóżka i przytuliła się do Martensa. Zrobiło mu się wyjątkowo przyjemnie. Panna Wioletta istniała już tylko w postaci przypomnianego po latach przedmiotu i nie wywoływała jakichkolwiek emocji. Napił się więc jeszcze Terra Quente i otoczył żonę ramieniem.

– A co z duszą?

– Pod tym względem Wioletta była osobą wyjątkowo otwartą. Ale ponieważ przymioty duszy przypisuje się sercu, a ono było u niej całkowicie zasłonięte przez biust, to nikt tam nie miał bezpośredniego dostępu. W tej trudnej dla badań sytuacji, czasami, przyznaję, wkradałem się myślami za jej stanik, owo soutien-gorge, i czekałem, niczym idiota, na zmiłowanie – albo chociażby na jakieś jedno jej dobre słowo. Ale w odpowiedzi słyszałem jedynie słabe puk, puk – z trudem wydobywające się z otłuszczonego osierdzia. Reasumując: pod względem klatki piersiowej panna Wioletta była osobą niezwykłą, chociaż, rzecz jasna, nie przystającą w stu procentach do wzorca.

– W psychologii nazywamy to błędem hojności.

– To znaczy?

Mewa znowu zaczynała te swoje wymądrzałości, psychologiczne komentarze i wstawki.

– To znaczy, że lepiej oceniamy osoby, które nie są nam obojętne. I z tego właśnie powodu twój zachwyty nad jej, może i pięknymi, piersiami – ma się nijak do rzeczy.

– Więc z jednej strony ja zakochany, a z drugiej wielka niewiadoma w tym względzie...

– Gdybyś był konsekwentny, może zostałaby twoją żoną.

– Na szczęście – nie byłem.

Przypomniał sobie ich pierwszy wieczór na Wschodniej.

– Nie należałam jeszcze do nikogo.

– Ale od dzisiaj należysz.

– Ty masz mnie...

– ... a ja ciebie.

– Kocham cię.

– Kocham cię.

– Była dziewczyną?

– Była panną.

– Dziewica i panna, to są dwie różne rzeczy. W średniowieczu przeprowadzano nawet próby na potwierdzenie dziewictwa. Zamykano pannice z wężami, wrzucano do lwów, przywiązywano do drzewa...

– Przede wszystkim powinni zaglądać pomiędzy nogi.

– Nie mogli. Bo służyli Najjaśniejszej Paniencie.

– Widać z tego, że nigdy nie było łatwo o naprawdę niewinne.

Napili się zgodnie, opróżnili kufle w trzech czwartych i Martens poczuł, że jest już gotów się kochać. Zdawał sobie sprawę, że podnieca się jedynie wtedy, gdy jest odpowiednio nietrzeźwy. Więc tym bardziej był Mewie wdzięczny, że nie zabraniała mu pić. Zresztą ona sama także nie wylewała za kołnierz. Przypuszczał, że z podobnego powodu – że w takim starym małżeństwie nie ma to żadnego znaczenia.

– Ale wargom jest nieskoro, gdy ich nie ma razem czworo.

Spróbował ją pocałować.

– Usta to kres miłości, której początek jest w oczach!

Umknęła mu zwinnie pod ścianę.

– Nie! Nie! Nie! Nie ma mowy o całuskach, gdy nie ma mowy o tej twojej zasranej kochance!

– Kochanka, kochanka! Cóż ja wiem o miłości? Właściwie tylko tyle, co z wierzchu. A z wierzchu zapamiętałem jedynie jej włosy

i tę idiotyczną czerwoną sukienkę.

Zdenerwował się, wypróżnił kufel do końca.

– W zasadzie to nic o niej nie wiem. Po prostu nic. Nie wiem, dlaczego czasem płakała, nie wiem, z jakich dowcipów się śmiała. Nie wiem, czy studiowała, czy pracowała. Nie miałem pojęcia, ile ma lat i skąd się wzięła na Wschodniej.

– A mieszkanie?

– Mieszkanie podobno było kolegi. Zmiłuj się, wtedy wszystko było dla mnie nieważne!

– Martens, uspokój się, po co tyle emocji? Emocja to jest reakcja afektywna związana z niekontrolowanym nadmiarem uczucia. Ale po tylu latach...

– Miała wągry i krosty.

– Na całym ciele?

– Na całym. To znaczy – krosty na plecach, a wągry oczywiście na nosie. Zadowolona?

– Jesteś cyniczny.

– Raczej rozgoryczony.

– Melancholia inwolucyjna.

– Czyli...

– Męska psychoza okresu przekwitania.

– Nie zasypuj mnie tą psychologią.

– Przepraszam.

- Proszę. Wioletta była głupia i brzydka.
- Teraz już lepiej.
- Była jedynie kawałkiem ścierwa. A i to nie pierwszej jakości.
- Ale przynajmniej nie przeterminowanym, jak ja.
- Mewuniu... Jesteś piękna i mądra.
- To dlaczego mnie zdradzasz?
- Nie zdradzam. Od trzydziestu lat pozostaję na diecie.
- Nie wierzę.
- Naprawdę.
- Jednakże czym młodsze ścierwo, tym wam lepiej smakuje.

Nieprawdaż?

– Prawdaż, prawdaż. Ale ścierwo to jednak wyłącznie ścierwo. Polędwica nadaje się na befsztyk, biodrówka nadaje się na pieczone, a plecówka na gulasz.

- Zaś mózg nadaje się najwyżej na karmę! Mam rację?
- Zawsze masz rację.
- Martens – zastanowiła się nagle. – A może to była kurwa?
- Może. Ale prostytutki podobno najlepiej smakują po ślubie.
- Kochasz mnie?
- Kocham. Biję się w piersi. Coś mi nie daje spokoju.

Przypomniał sobie o tym nieszczęsnym krawacie zaciągniętym na szyi nieboszczki. Poczłapał do kuchni, przerzucił suszące się rzeczy.

Nic.

Uchylił drzwi do łazienki. Fatma spokojnie załatwiała swoje kocie potrzeby. Przeważnie przebywała tu równie długo, jak Martens – i równie długo „czytała” przedwczorajsze gazety, uważnie wpatrując się w papier podłożony przez niego pod codziennie zmieniany piasek w kuwecie.

– Oczywiście, że kocham cię nadal.

Pogrzebał w brudnej bieliźnie.

Cicho, wiem... – zamruczała.

Podeszła do niego leniwie, na raty, prowokacyjnie. Oczekiwała pieśczoły, jak zwykle – ale nie tak znowu od razu. Niczym prawdziwa kobieta.

Fatma poddawała się jedynie dotykowi Martensa. Bowiem wystarczyło, aby Mewa tylko raz przejechała jej dłonią po grzbiecie, a zaszywała się w ciemnym kącie i próbowała wylizać się z owego „złego” damskiego zapachu. Podobno człowiek to dla każdego kota jedynie osobnik należący do stada. To tutaj stado składało się wyłącznie z dwóch osobników. Martens czasami miewał to Fatmie za złe.

– Szukam krawata...

Pogładził kotkę po głowie.

Trudno... – machnęła ogonem i wróciła na piasek Rozumieli się doskonale. Tak uważali, przynajmniej. Zajrzał do garderoby.

Martens, jesteś mordercą – pomyślał z rozpaczą.

– Martens, dzwoniła twoja córeczka.

– Słyszałem.

– Postanowiła wyjść za mąż.

Na „Łódź Kaliską” składały się dwa poziomy, jednak dla Martensa liczył się tylko parter. Wyżej królowały przeważnie małolaty, zachodził tam z rzadka. Jeżeli już, to żeby sobie uzmysłwić, jak mógłby wyglądać, gdyby był o trzydzieści lat młodszy. Jedynie latem siadywał czasami w ogródku na piętrze. Ale normalnie miał swoje stałe miejsce przed barem, vis a vis pana Janka, barmana.

Co tam podać? – rzucał pan Janek. Dobrze wiedział, że w grę wchodzi wyłącznie wino, i to najlepiej portugalskie czerwone. Więc, zbyty wzruszeniem ramion, nalewał od razu dwie lampki. Przeważnie jakiegokolwiek lepszego wytrawnego sikacza. Potem podpalał Martensowi Lucky Strike'a i czekał. Bowiem zadaniem barmana jest wsłuchiwać się w gości, a nie inicjować rozmowę. Takie stosunki panowały jednak najwyżej do północy. Później Martens i barman byli już na tyle nietrzeźwi, że nie zważali na savoir-vivre i obyczaje. Schodzili wtedy na najskrytsze sekrety, czyli na swoje żony i czyjeś kochanki. Na koniec jeden docierał nieświadomie do domu, zaś drugi uwalął się, gdzie popadło.

Martens wpadał do pubu wyłącznie w tygodniu. W weekendy zjawiała się w „Łodzi Kaliskiej” chmara ludzi i nie sposób było spokojnie wysiedzieć. Szczególnie, że Martens był z telewizji, z „Morderstwa”, więc nie mógł się opędzić od fanek.

– Tak, proszę pani, to ja jestem Martens.

– Ten Martens?

– Ten sam.

– „Morderstwo”?

– „Morderstwo”.

– Czy ten Martens, to pan?

– Niestety.

– Można się przysiąść?

– Nie można.

Czasem pomagało, a czasem odwrotnie – jeszcze bardziej nakręcało, i młode i stare. Natomiast od niedzieli do czwartku przebywał prawie wyłącznie wśród swoich. Fotograf Dominik, ludzie z Gazety, artyści, znajomi znajomych króliczka – tylko przypadkowo mógł się zaplatać ktoś obcy.

Ze swojego osobistego stołka Martens miał perspektywę na całą salę. Zatem mógł jednocześnie konwersować z panem Jankiem i kontrolować, z kim się będzie za chwilę witał, albo, dla odmiany, nie witał, pracowicie udając, że on to nie on.

– Panie Janku, zabili nam panią Fraumann.

– No to będzie wojna światowa.

Barman zabrał opróżnione kieliszki i napełnił następne.

– Co to była za Fraumann?

– Miała na imię Beata.

– Rozumiem.

Nic nie rozumiał. Oczywiście, nie musiał znać Fraumann, pewnie w ogóle nie czyta tygodników, a szczególnie dla dziewcząt. Zresztą, kiedy ma czytać, jeżeli każdego wieczora, każdej nocy jest w pracy.

– Ach, Fraumann... – przyłączył się do rozmowy Dominik. – Moja przyjaciółka szaleje za Fraumann. Obie mają identyczne zdanie na temat wszystkiego, a wyjątkowo na temat nas, mężczyzn.

Martensowi odechciało się gadać, już żałował, że w ogóle rozpoczął.

– Oho! Mamy gości.

Dominik zerwał się i pogonił pod szatnię.

– Dwa razy po dwa, a każdy z nich to przynajmniej czwóreczka. Czyli razem szesnaście.

– Najwyżej trójeczka.

Martens zasłonił się przedwczorajszą gazetą i spoglądał przez dziurkę.

Czyli, po przemnożeniu, dwanaście. Od dawna już nie odczuwał naporu na biusty, no, może czasami. Ale Dominik był fotogra-

fem, w dodatku od aktów, więc znał się na rzeczy wielokrotnie lepiej niż Martens. A po latach praktyki miarę do cycków miał w oku. Bezbłędną.

– Wszystkie cztery to kandydatki na medal. Na cztery medale!

Przyciągnął ślicznotki do baru. Rozsiedli się, rozpanoszyli naprzeciw Martensa.

– My tylko na chwilę – zwierzyły się chórem gąski.

– Poznajmy się może.

Martens kiwnął tylko głową dwukrotnie, zaś panny, obie w sukienkach w kwiatki i kropki, za każdym razem odbąkiwały coś niewyraźnie.

– Panie tu pierwszy raz? – zatokował, zaatakował Dominik.

– Pierwszy.

Panna w kropki dygnęła prowincjonalnie.

– Jesteśmy na tygodniowym szkoleniu.

– W kwiaciarni.

– Kształcimy się jeszcze.

– A w jakim zawodzie?

– Właśnie w kierunku kwiaciarstwa.

– Ale już po fajrancie.

– Więc się nudzimy.

– I dlatego ходzimy.

– O tej kawiarni słyszałyśmy jeszcze w Tarnowie.

– „Łódź Kaliska” to nie jest kawiarnia – zaprotestował pan Janek.

– Co tam nowego w Tarnowie?

– Nie wie pan? – zachichotała panna w kwiatuszki.

Obie dziewczęta prezentowały się nadzwyczaj podobnie. Generalnie można je było rozpoznać jedynie po groszkach i kwiatkach. Dominik zamówił tymczasem herbatę. Niby dla obu pańienek, ale cały czas poświęcał jej w grochy.

Martens postanowił już nie pić – uznał, że jeszcze dwa kieliszki i zejdzie.

– Słyszał pan? Fraumann umarła.

Ta w kwiatki pociągnęła go bezczelnie za rękaw.

– Została zabita.

– Dla niej to nie ma już żadnego znaczenia.

– Zgadza się...

Zasępił się przygaszony.

– Ja kupuję każdą „Dziewczynę” i czytam od deski do deski. Ostatnią mam nawet ze sobą.

Panna w kwiatki sięgnęła do reklamówki.

– Czy Rafał Martens, to pan?

Przeczuwał, że tak to się skończy.

– Można coś panu postawić?

– A w jaki sposób?

- Normalnie.
- Niestety. Normalnie się nie da.
- A dlaczego?
- Bo normalnie mi od dawna nie staje.
- Cham!

Odwróciła się obrażona.

- Co pijemy?

Dominik ocenił sytuację i szansę, i postanowił zaszaleć. Więc zamówił drinki z najdroższych składników i przeniósł się do stolika pod oknem. Potem poszedł zapłacić, a siusiumajtki tylko na to czekały.

- Jest farbowany.
- Na czarno.
- Jak Fraumann.
- W rzeczywistości jest siwy.
- I nosi perukę.
- Kretynka!

– Fraumann uważa, że niektórzy faceci posiadają coś bardzo szczególnego i bardzo, bardzo ważnego dla nas, dla dziewcząt.

- Co to takiego?
- Pieniądze!
- Oni powinni mieć i urodę, i forszę.
- Gdyby ten twój się zrobił na blond...

– Pamiętaj, Fraumann nie znosiła blondynów. Teraz jest ukierunkowanie na czarnych.

Fraumann i Fraumann! Co to jest, panie Janku? Kieliszki z siskaczem były napełnione po brzegi i Martens nie wiedział, czy to barman zdążył już nalać następną kolejkę, czy to on być może nie wypił jeszcze poprzedniej.

Tymczasem panienki, sfrustrowane mężczyźnianą absencją, rozglądały się nerwowo po sali w poszukiwaniu czegokolwiek z zarostem

– Zagłównijcie może do internetu – zagadał je nieopatrznie. – Tam można dosłownie przebierać w facetach.

– Ale my nie mamy czasu przebierać.

– I internetu nie mamy.

– Facet musi być przede wszystkim bogaty.

– Trzy pokoje.

– Co najmniej.

– Samochód.

– Mercedes.

– Wysoki.

– Sportowiec.

– Twarz prostokątna.

– Trzydniowy zarost.

– Ambitny.

– Czują.

– Chłopiec.

– Dojrzały.

– Lekarz.

– Dentysta.

– Okulary.

– Nie, okulary to optyk. A optyk, moja droga, to obciach.

– Szanowne panie, zapominacie o samej istocie męskości. To musi być demon seksu, reszta to jedynie dodatki. Panie Janku...

– Tak?

– Nic takiego...

Zapalił.

Tymczasem do stolika powrócił obgadywany Dominik, a panienki zamilkły i udały, że cały czas przeglądały „Dziewczyne”.

– No, moje kwoczki, dość tego. „Łódź Kaliska” to nie jest czytelnia.

Potoczył wzrokiem po pubie.

– Panie przodem...

Uklonił się tak bardziej ogólnie, zadowolony z kolejnego podboju.

– Casanova... Pieprzony!

Martens poczuł się zużyty i stary. Przerażało go to coraz bardziej. Skąd tamten ma tyle siły – przecież stuknęła mu pięćdziesiąt-

ka, a wciąż nie ma dość.

Do dzieła, Rafałku – doszedł do wniosku, że w żadnym razie nie powinien pochopnie pasować. Już miał się podnieść i biec za tym durniem i za kwiatkami, groszkami – ale spożyty wcześniej alkohol przykleił go na trwałe do stołka.

– Panie Janku...

Barmani na całym świecie służą najpierw do zwierzeń, a dopiero potem do nalewania, mieszania i tym podobnych czynności. Dlatego wiedzą przeważnie, jak się załatwia męsko-damskie potrzeby.

– Potrzebuję kobiety. Od zaraz – zwierzył się przyjacielowi za ladą.

– Blondynka, czy ruda?

– Farbowana brunetka – skomentowała Jarecka. Pojawiła się nagle, nie zauważył, jak weszła.

– Martens, córka nie może się do ciebie dodzwonić.

Przysiadła się, rozebrała z kożuszka.

– No i co z tego?

– To nie są żarty. To twoja jedyna latorośl, która za chwilę wybiera się za męża.

Uśmiechnęła się, zamówiła dwa wina.

– Król cię szuka. Nie odbierasz komórki.

– Nie odbieram – przedukał powoli, możliwie precyzyjnie oddzielając sylaby. – Powiedz mu, żeby... – nie wiedział, co.

- Jesteś pijany. Zupełnie.
- Niezupełnie. Tylko postanowiłem oszczędzać.
- Nie do wiary. A co oszczędzasz?
- Na początek oszczędzam... Słowa.
- Tracisz czas. A już ci niewiele zostało.
- Głupia... Krowa.

Spróbował się skoncentrować, jednak nic mu nie przychodziło do głowy. Skupił się na nalewaku, ale zobaczył dwa na raz.

- Powiedz mi, czy na ladzie są dwa nalewaki?

Starł się nie bełkotać.

– Tak. Nalewaki montują parami. Panie Janku, Martens spadnie nam zaraz ze stołka.

Suka – przyjrzał się podwojonej Jareckiej – ile ona może mieć lat? Chyba niewiele więcej, niż moja córeczka... – myśl mu uciekła na chwilę – ... która, która... podobno wybiera się za męża. Ho, ho! Martens, będzie miał zięcia. A może nawet i wnuka. Nie ma co, gratulacje!

Przeszli na kanapkę pod oknem.

Na ścianach wisiały liczne zdjęcia, a na zdjęciach prezentowały wdzięki młode, nagie kobiety w towarzystwie sporo starszych, ubranych facetów. Dalej były wielkie secesyjne drzwi wahadłowe, a obok nich małe okienko z widokiem na bar.

Martens przysnął na chwilę na obfitym biuście Jareckiej.

– Nie śpij, mam sprawę, Król dzwonił. Twierdzi, że nie odbierasz. Od niego.

– Nie odbieram. Która godzina?

– Dziesiąta.

Otworzył paczkę Lucky Strike'ów – pozostał ostatni, odwrócony filtrem do dołu.

– Angielska tradycja palenia powiada, że odwraca się zawsze dwa. Zgodnie z zasadą: One for luck and one for fuck.

Poddał się i opadł bezwładnie na stolik.

– Martens, proszę, wytrzymaj. Wiesz coś może?

– Może i wiem.

Opowiedział jej o trupie na Wschodniej.

– Mewa wspomniała mi jeszcze o jakiejś dziwce. Nic nie mówiłeś, że chodziłeś na dziwki.

– A co miałem mówić? Kiedyś chodziłem...

– Popłakała się trochę.

– Zawsze płacze, kiedy za dużo wypije.

– Marudziła. Stękała, że jest twoją żoną, więc powinna wiedzieć o tobie wszystko. A jednak o pewnych sprawach dowiaduje się dopiero po latach.

Opowiedział jej o Wiolecie.

– Nie powinieneś się żenić.

– Dlaczego?

- Dlatego, że pijesz i zdradzasz.
- Daj mi spokój, nie zdradzam. Zdradziłem raz i wystarczy.
- Pogniół ci się garnitur.
- Jak to?

Przyjrzał się marynarce.

Staromodny w kroju żakiecik był już mocno przetarty, jedynie pod kołnierzem wciąż jeszcze lśnił się na granatowo-stalowo i mienił utraconą świetnością.

Uważał za garnitury jedynie te z gabardyny. Szerokie klapy, wywatowane ramiona, klasyczna gładka ciemna wełna w cienkie jaśniejsze prążki – marynarka Martensa przywodziła na myśl lata trzydzieste i amerykański czarny kryminał. Zakładał ją zarówno na co dzień, jak i na potrzeby nagrania.

- Coś ci pokażę.

Wyciągnął zza poły fotografię znad wanny. Nadal dręczyła go myśl, że coś jest z tym zdjęciem nie tak.

- Pokaż.

Przysunęła się do stolika, oparła o blat.

- To fotografia z mojej legitymacji studenckiej.
- Przystojniak.

Schowała fotografię za bluzkę.

Martensa maksymalnie rozczulił ten gest. Identycznie zachowała się przed laty Wioletta.

– Muszę iść.

– Dziwka.

Chwycił ją pod stołem za nogę.

– Zadzwonisz?

– Zadzwonię. I nawet dam się zaprosić na obiad, najlepiej w podmiejskim budynku myśliwskim. Oczywiście, jeżeli uroczycie przyrzekniesz, że mnie przyzwolicie wydupczysz, a po wszystkim nie zaśniesz...

– Nie zasnę.

– Trzymam za słowo.

Ścisnęła go kolanami i poszła.

– Panie Janku...

– Martens, zaczynamy od błysku. Trójka szerzej. Żeby Król się nie czepiał. Pokażmy mu tę pannę aspirant w całości. Uwaga... – zarządził reżyser.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Na planie świeciły się tylko plazmy z obrazkami zgodnymi z tematem programu oraz przyćmione lampki przy stanowiskach dla figurantów-policjantów. Martens zerknął ukradkiem na podgląd z aktualnie pracującej kamery. Było okej. Za biurkami, na kilku poziomach, siedzieli statyści i goście, zaś na środku, za wysokim stolikiem stał on sam, czyli Cesarz Redaktor.

Rozejrzał się – wyglądało, że można zaczynać. Więc przybrał stosowną postawę i kiwnął głową na tak. Podwieszane pod sufitem wielkie studyjne reflektory powoli rozjaśniły całe ogromne studio.

– Dobry wieczór. Witam państwa w programie kryminalnym „Morderstwo” – przeczytał z promptera.

Nie musiał nic czytać, znał te słowa na pamięć. Wypowiadał je z tego miejsca niezmiennie od lat, ale i tak za każdym razem umieszczał je w pierwszej linijce każdego nowego scenariusza.

– Teraz dwójka.

Jarecka włożyła słuchawki. Miała baczenie jednocześnie na wypowiedzi uczestników programu i na komendy płynące z reżyserki na górze. Na pierwszej kamerze zapaliła się sygnałówka. Martens odwrócił się w tamtą stronę. Cały podgląd wypełniała teraz jego przypudrowana nalana twarz.

– Tydzień temu w mieszkaniu przy Wschodniej...

– Jeszcze raz.

– A po co, do diabła?

– Po gówno. Mejkap, on ma za dużo pudru.

– Dajcie spokój, spłynie mi sam.

Zmieszana Mejkap pospieszyła na wszelki wypadek z chusteczką.

– Szybciej... – burknął naburmuszony.

– W porządku.

– To grajmy.

– Cisza na planie! Uwaga...

– Tydzień temu w jednym z mieszkań przy Wschodniej w Łodzi znaleziono zwłoki szefowej tygodnika „Dziewczyna”. Okoliczności śmierci wyjaśni, mamy nadzieję, śledztwo prowadzone przez znanego nam komisarza Króla. Jednakże już dzisiaj wszystko wskazuje na makabryczne i zaplanowane morderstwo.

Obraz podawała teraz jedyńka zwana „merlinem”, a ramię wysięgnika podjechało Martensowi pod nos.

– Zamordowana była naszą koleżanką i dziennikarką. Ale także, a może nawet przede wszystkim, wspaniałym zaangażowanym człowiekiem. Dla znajomych, kolegów i przyjaciół, dla tych wszystkich, którzy ją kiedykolwiek spotkali, Beata Fraumann była światłem i ciepłem otuchy w ponurym tunelu oportunistów, konformistów i kłamstwa. W tym względzie Beata Fraumann była także mocnym oparciem dla naszego wątpliwego sumienia. Dlatego tym bardziej nam będzie jej brak, im dłużej pozostanie w pamięci...

Spocony, spojrzał w kierunku Jareckiej.

– Tym bardziej będzie jej brak, im dłużej pozostanie w pamięci... Panie Martens, pan się marnuje. Pan powinien się skupić na jednym i pisać wyłącznie przemowy nad groby!

Jarecka stuknęła się w czoło.

– Wiemy wszyscy, kim była pani redaktor. Ale nie wiadomo,

czego szukała na Wschodniej. Bo Wschodnia to nie jest ulica dla takich dziewczynek jak ona, a szczególnie z Warszawy. I to by było na tyle. Koledzy, ten koniec potnijcie od razu, i potem wytnijcie jeszcze co nieco ze środka. Przepraszam...

Kwestie Martensa prawie zawsze wymagały montażu.

– Według scenariusza zarejestrujemy teraz zniknięcie Kowalskiej, do programu na luty.

Przyjął pozę z początku nagrania. Zerknął do notatek, a nad trójką znowu zapaliła się lampka.

– Dobry wieczór. Witam państwa, mamy już połowę lutego. Jednak sprawa, którą poruszymy za chwilę, sięga minionych wakacji. Wtedy to zniknęła pani Halina Kowalska z Rzeszowa i do dzisiaj się nie znalazła.

– A jak się odnajdzie? – usłyszał w słuchawkach. – Martens, przecież mamy dopiero listopad.

– Załatwione. Wracamy do Fraumann. Czwórka, poproszę.

– Panie komisarzu, o czym jeszcze możemy poinformować telewidzów, nie zdradzając tajemnic ze śledztwa?

Martens odwrócił się do sunącej po szynach kamery, przesunął o kilka kroków i zatrzymał się tuż obok Króla. Komisarz, tradycyjnie, skierował spojrzenie donikąd.

– Panią Fraumann...

– Panią Fraumann zamordowano w łazience.

– W jakich okolicznościach?

– Pod wodą.

W reżyserce udławili się śmiechem.

– Została utopiona?

– Uduszona.

– A gdzie, konkretnie?

– W kąpieli.

– Czy znamy już ewentualne powody?

– Nic więcej nie mogę na razie powiedzieć.

Martens i Jarecka zaśmiali się jednocześnie.

– Jednak jesteśmy chyba, panie komisarzu, dobrej myśli, zakładamy, że wyjdą niedługo na jaw jakieś zupełnie nieznanne nowe fakty?

– Oczywiście, nadzieja przydaje się zawsze.

– No dobrze...

Martens zerknął w scenariusz.

– Jak już tu stoję, obok komisarza, to nagrajmy jeszcze ten finał o wampirze ze Rzgowa. Możemy?

– Gramy.

– Panie komisarzu, zatrzymaliście niedawno wampira ze Rzgowa.

– Dwanaście dziesięć, a na drugi dwadzieścia dwadzieścia dziewięć.

Realizator podawał tajnkody z nagrań z zatrzymania przestępcy.

- Jedyńka, uważaj, zaraz wchodzisz.
- Pomogli nam policjanci ze Rzgowa.
- Słyszałem, że przez przypadek?
- No, trochę.

Wszystkie cztery kamery próbowały uchwycić wzrok komisarza, lecz Król przemawiał wyłącznie w kierunku swojej panny aspirant.

- Przerwa. Wracamy za dziesięć minut.

Martens zszedł z podwyższenia.

Idąc przez zakamarki do palarni, zdążył napić się trochę wina. Od razu poczuł się pewniej i postanowił opowiedzieć przyjacielowi o Wioletcie i przebrzmiałym romansie.

Król był dzisiaj w policyjnym mundurze i miał na pagonach trzy gwiazdki. Do palarni wpadli razem z panną aspirant, od pewnego czasu wpatrującą się w komisarza jak w gnat. Z jednej strony z szacunkiem przynależnym podwładnej, a z drugiej niczym zabujana na zabój kobieta.

- Okłamałeś mnie, Martens.
- Nieprawda.

– No to przynajmniej nie powiedzialesz wszystkiego.

– Bo zapomniałem.

– A powiesz?

– Pewnie, że powiem.

– Nie trzeba. Poprosiłem twoją przemiłą producentkę Jarecką. I spisała się naprawdę na medal. Opowiedziała historię z Wioletką i oddała mi zdjęcie.

Wyciągnął z kieszeni zdezelowaną fotografię znad wanny.

– Gdzie jest Jarecka?! – Martens ryknął jak zwierzę.

– Poszła sobie.

Panna aspirant uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Jarecka, odbierz telefon!

Próbował zapalić.

– Jarecka, ja cię kiedyś zabiję! Pamiętaj, kto tu jest twoim szefem. Bo na pewno nie Król! – wrzeszczał pomimo braku połączenia.

– Nie żartuj. I nie kluj przy pani. Jesteś zwykłym krętaczem oraz pospolitym złodziejem. Zacierasz ślady i mam ochotę cię zamknąć.

– Przeszłość nie ma tu nic do rzeczy, przecież to było ponad trzydzieści lat temu.

Z Martensa zeszło powietrze. Poczuł, że natychmiast musi się napić. Najbliższą butelkę miał schowaną tuż obok, we wnęcie, kolejną w korytarzu za grubą kotarą, i jeszcze jedną w reżyserce, pod sto-

łem. Ale nie miał pomysłu, jak się uwolnić od reszty. A bez Terra Quente czuł się słaby jak dziecko. Poza tym w podbrzuszu męczył go od rana uparty dyskomfort.

– Król, przypominam ci o krawacie – odezwała się panna aspirant.

– Właśnie. Nie nagraliśmy wszystkiego.

– W scenariuszu nie ma żadnego krawata.

– Nie martw się, Martens. Pani aspirant przyniosła krawat ze sobą.

– Trzeba go jednak trochę poprawić – zauważyła stropiona Mejkap. – Szczególnie te sińce.

– Nie. Niech wygląda jak facet.

– Ale on wygląda, jak trup.

– No i co z tego. Mejkap, możesz już iść.

Usiadł naprzeciw Połanieckiego i oświetlił go lajtspotem na ostro. Tamten tarł oczy i nie odzywał się słowem. Martens pomyślał, że są w jednym wieku, ale Połaniecki wygląda przy nim na starca.

I bardzo dobrze. Mocna żarówka dołoży mu jeszcze parę lat pomyślał zadowolony i odprężony.

– Zadam panu tylko jedno proste pytanie... Przepraszam.

W kieszeni Martensa zadzwieczał telefon. Dzwonek programu oznaczał połączenie z Jareką.

– Dzwoniłeś, kotku?

– Dzwoniłem. Co mi możesz powiedzieć o Królu i zdjęciu? To zdrada! To jest zagranie poniżej pasa.

– Zaraz zejść – przerwała.

– Panie Połaniecki...

Połaniecki przykuśtykał na fotel.

– Zadam panu tylko jedno proste pytanie. Czytelnicy znają Fraumann jedynie z jej felietonów. Proszę powiedzieć, a jaka była naprawdę?

– Beata... – zająknął się Połaniecki. – Pani redaktor Fraumann stanowiła niezwykle połączenie urody i fachowości.

Z trudem opanowywał drżenie głosu.

– Banały klepie, ale trzymaj gościa do końca. Pierwszy raz widzę, żeby ktoś tak żałował dyrekcji.

Trudno, szef zawsze ma rację – kamerzysta spojrział znacząco na Mejkap. Zgodziła się, wywalając język w kierunku wychodzącego Martensa.

Kamera numer jeden pokazywała komisarza i pannę aspirant. Martens, ze słuchawkami na uszach, stanął na balkoniku, tuż przy Jareckiej. Złość na nią już dawno mu przeszła, więc tylko spokojnie przyglądał się sytuacji i słuchał.

– Gramy?

- A bo ja wiem?
 - Chyba gramy.
 - Zaczynamy bez niego?
 - Nie wiem.
 - Dawaj scenariusz.
 - Gdzieś się zapodział.
 - A Refik?
 - Pewnie chla w garderobie.
 - Może zasnął. Od początku był nieźle nachlany.
 - Nie przesadzaj, ty też jesteś „wczorajszy”.
 - Ja swoje robię. A on powinien tu stać i zadawać pytania.
 - Przede wszystkim powinien się leczyć.
 - Trzeba się zwrócić do personalnej. Muszą zatrudnić nam psychologa. Stworzymy pierwsze w Polsce telewizyjne koło AA.
 - I wszyscy solidarnie wszyjemy sobie esperal.
- Martens popatrzył Jareckiej w oczy.
- Nic nie mów.
 - W porządku.
 - Nie udawaj idioty.
 - Przecież wiesz, że to nie ma wpływu na program. W dodatku pijam jedynie wino. I to w zasadzie w umiarkowanych ilościach.
 - Bredzisz.
 - Niech będzie.

– Panie komisarzu, grajmy bez redaktora. Pani aspirant, poproszę w stronę jedyńki.

– Na koniec pragniemy państwu zaprezentować prawdopodobne narzędzie zbrodni.

– Dwójka, pokażcie to gówienko na biurku. Trójka, poproszę bliżej, na Króla.

Panna aspirant otworzyła niewielkie podłużne pudełko. Wyjęła z niego czerwony krawat i przyłożyła na piersi.

O kurwa! To jest jednak mój krawat. Ten ślubny... – Martens zalał się potem. Cały puder spłynął mu na kołnierzyk. – Miałem go na sobie od rana, ale do domu wróciłem już bez krawata.

– Jeśli ktoś rozpozna ten krawat, jest bardzo charakterystyczny, zapewne wyprodukowany z konkretnej okazji i możliwe, że tylko w jednym egzemplarzu, bo ma od spodu ręcznie wyszytą małą literkę „M”, to proszę zadzwonić pod numer pokazany u dołu ekranu albo do najbliższej jednostki policji.

„M” jak Morderstwo! – Martensowi zrobiło się, dla odmiany, gorąco. Przypomniwał sobie, jak przyciągał tym krawatem Wioletkę; ona robiła pod nim za klaczkę, a on ją ujeżdżał, brał od tyłu, niby przytrzymując za uzdę. I byłby ją w tej zabawie udusił, tak się zapamiętali w miłości.

Na szczęście jedynie Mewa wie o literce... No i Wioletta – uspokoił się trochę. Ale Mewa przecież mnie kocha.

– Proszę się jeszcze nie rozchodzić – poinformował realizator przez głośnik. – Jedyńka: zbliżenia statystów, dwójka: ogólny widok na studio, trójka: zdjęcie pani Fraumann z „Dziewczyny”.

Fotografia pokazywana przez trójkę przedstawiała młodą kobietę z rozpuszczonymi czarnymi włosami, w obcisłej błyszczącej bluzeczce i w tandetnej biżuterii z plastiku.

W bufecie, pół piętra nad studiem, Jarecka opychała się ciastkiem, a Martens palił jednego Lucky Strike'a za drugim. Wypalił już tyle, że drapało go w gardle i pokastywał co chwilę, ale nieprzemijające napięcie nie pozwalało mu przestać.

– Połaniecki już poszedł?

– A co nas obchodzi Połaniecki.

– Obchodzi. Bo myślę, że to on jest mordercą.

– Jest jedynie nieszczęśliwym człowiekiem.

– Był zakochany w tej suce.

– Martens, jesteś bez serca.

– Nie możesz nic o tym wiedzieć.

Jarecka zmieniła temat.

– Podobno dowiozą nam nową szefową.

– Jak to dowiozą?

– Z Warszawy.

– Kto to taki?

– Aktorka.

– Która aktorka?

– Reżyserka. Ma dyplom. Po naszej Szkole.

– Ja też ma mnóstwo dyplomów. Ostatni z Ostródy. Za pomoc w odnalezieniu jakiejś kretynki, która tak się ukryła przed mężem, że zapomniała, którędy wrócić do domu.

– Bardzo śmieszne. Zazdrościsz?

– Boję się bab-dyrektorek.

– Mizogin!

– Feministka!

– Ksenofob!

– Idiotka!

Przy stoliku pojawili się panna aspirant i Król.

– Pani kierowniczo, panie redaktorze. Policja musi się odmeldować, niestety.

Panna aspirant przysiadła się do Jareckiej, a Król wyciągnął Martensa za drzwi.

– Mam sprawę.

– No, słucham.

– Chciałbym, żebyś poszedł do tego mieszkania.

– Do którego?

– Nie udawaj.

- A niby dlaczego?
- Nie denerwuj się.
- Jestem spokojny.
- Widzę. Musisz się porozglądać.
- Wolę się rozglądać gdzie indziej.
- I przypomnieć sobie, czego kiedyś nie było, a co teraz przy-
było. Albo na odwrót.
- Nie rozumiem.
- Zrozumiesz. Gdyśmy tam przyjechali, to w zamku tkwił
klucz.

Pamiętam, przekręcałem go i zostawiłem na nim odciski pal-
ców – Martens postanowił na razie to i owo przemilczeć. Powie Kró-
lowi, gdy przypomni sobie wszystko dokładnie.

– Zadzwoiła do nas fryzjerka z parteru, niejaka Krzak, że jej
kapie na łeb. Okazało się, że kran był niezakręcony nad wanną i za-
lewało jej zakład. Ale nie chciało jej się włączyć na piętro. A drzwi
były otwarte. W dodatku wygląda, że nic nie zginęło, że po przestęp-
cy nikogo już tam później nie było. Gdyby pofatygowała się wcześ-
niej, kretyńka, to by się może natknęła nawet na mordercę.

– Podejrzewacie kogoś?

Znowu sobie przypomniawszy, że gdy był tam o piątej, jakaś postać
błyskawicznie czmychnęła na górę.

– Szukamy.

– Mężczyzna?

– Kobiety przeważnie nie duszą się krawatami.

– A feministki?

– Nie kłóć się ze mną, to facet.

– Połaniecki?

– Owszem, był wtedy w Łodzi, przyjechali samochodem we trójkę. On, Beata i jej kierowca. W Grand Hotelu wzięli trzy osobne pokoje. Podobno chcieli odetchnąć od Warszawki – wiesz, taki rajd po klubach i pubach. Bez zobowiązań i bez konsekwencji. Ale spokojnie, mamy faceta na oku. I tego kierowcę także.

– Po co mi mówisz to wszystko?

– Ze względu na przeszłość.

– Daj spokój.

– To ważne. Bywałeś tam w czasach studenckich.

– Jednak wolałbym do tego nie wracać.

– Proszę. W imię przyjaźni.

– Nie żartuj.

– No dobrze. W takim razie w ramach pomocy policji. Martens, ty pierwszy zobaczysz, jeżeli coś będzie nie tak.

– W porządku. Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

– O pani Fraumann?

– Na przykład.

– Beata to niezwykle tajemnicza osoba. Tak naprawdę, nie

bardzo wiadomo, kim była. Prawie trzydzieści lat temu została adoptowana przez nie żyjących już Hansa i Halinę Fraumannów. Z papierów wynika, że niby urodziła się w Berlinie Zachodnim, zaś ostatnio zamieszkiwała przy Kulbeweg 24A.

– Mówiła po polsku?

– Oczywiście, przecież tu żyła i pracowała. W dodatku jako redaktor. W Warszawie przebywała ponad dwa lata. To Niemka, ale jej przyszywana matka, Ślązaczka, zadbała, żeby nauczyła się po naszymu. Podejrzewamy, że pani Beata mogła wielokrotnie być w Polsce... Nie znałeś jej wcześniej?

– Jeśli coś sobie przypomnę, na pewno dowiesz się pierwszy. Na pewno.

Martens zastanowił się, czy mógł ją już kiedyś spotkać. Pewnie mógł, na przykład na jakimś bankiecie – w końcu bankiety stanowiły element jego i jej zawodu. Ale nigdy nie miał pamięci do twarzy.

– Czuję, że coś cię łączy z tym wszystkim.

– A ja czuję się po prostu tak sobie.

– Bo piłeś.

– Nie piłem.

– Współczuję. Masz, oto klucz od twojego mieszkania.

– Przestań. Moje mieszkanie jest na Piotrkowskiej.

– Spokojnie. I pamiętaj, niczego nie wynoś.

– Pamiętam.

– Mam nadzieję, że tym razem się zachowasz lojalnie.

– Zachowam.

Mały mosiężny kluczyk typu Yale wylądował u Martensa w kieszeni.

W mieszkaniu na Wschodniej było zimno i mroczno, a zawieszona pod sufitem, obsrana przez muchy żarówka, dawała tyle światła co nic. Martens spojrzał na piec. Gdy tu mieszkali z Wiolettą, codziennie rozpalał w nim ogień. I już po godzinie robiło się tak gorąco, że aż żal było wychodzić.

– Jestem zgrzany.

– Ja też.

Rozbierali się na wyścigi.

Tymczasem dzisiaj cały czas telepało go z chłodu. Zaglądnął do środka; niedopalone resztki wypełniały popielnik po brzegi. Nie mógł się oprzeć myśli, że to są jeszcze resztki po nim, że potem nikt nie korzystał już z tego pieca.

Podszedł do okna, odsunął zasłony. Wioletta zaciągała je zawsze do końca.

Rzucił okiem na przemykających pod ścianami przechodniów. Padał gruby marznący deszcz i, mimo południa, na Wschodniej zro-

biło się ciemno. W szarej perspektywie ulicy przesuwał się wolno sznur samochodów. Podmuchy wiatru podrywały z jezdni foliowe torebki, obklejając nimi wszystko po drodze. Po niebie przesuwały się ciężkie ołowiane chmury, zawieszane nisko, tuż nad pokrytymi porwaną papą dachami. Zacinające wielkie krople deszczu dudniły falami o szyby, powodując na przemian rozdrażnienie i smutek. Niewątpliwie tegoroczny listopad, przynajmniej w tej części miasta, sprawiał przygnębiające wrażenie.

W bramie naprzeciw znów tkwił znajomy facet, otłuszczony osiłek ostrzyżony na jeża.

Widocznie jakiś miejscowy boss. Albo raczej sutener – pomyślał.

Zajrzał do kuchni. W powietrzu czuć było smród zgnilizny i grzyba. Zapalił lampkę nad zlewem i rozejrzał się pobieżnie po wnętrzu. Na metalowym piecu stała maszynka ze staroświecką spiralą – rozważał przez chwilę, czy by ją na trochę nie włączyć. Sądził, że może zrobi się cieplej. Tuż obok piętrzyły się, jeden w drugim, emaliowane garnki z motywami z cepelii. W tamtych latach wszyscy posiadali podobne garnki, czyli, że były albo bardzo modne, albo żadnych innych nie rzucali na sklepy. W najmniejszym ciągle jeszcze tkwiła nalepka. Sprawiała wrażenie, jakby ów garnek dopiero co przyniesiono z argedu.

Tamtej jesieni z Wioletką nie mieli potrzeby, aby gotować

obiady – on stołował się na uczelni, a ona zupełnie nie nadawała się na kucharkę. Przezywał ją nawet pokojówką, bowiem właściwie nie opuszczała pokoju i raz na zawsze rozłożonej wersalki.

– Żywisz się wyłącznie...

– Carmenami i winem.

– No właśnie.

– Już taka jestem. Nie muszę się codziennie objadać.

Pili razem słodką Lacrimę i on zawsze upijał się pierwszy. A gdy przytulali się wieczorami, często myliła mu się z Mewą. Ale najczęściej z zupełnie inną, nieznaną mu panną, wyklutą w niespójnej wyobraźni niepoprawnego pijaka.

Ostatnią zapalką zapalił Lucky Strike'a. Zaciągnął się i odwrócił tyłem do pieca. Z przeciwnej strony stał powyginany z wilgoci kredens. Na jego tylnej ściance wisiały spiralnie skręcone, pogniecione aluminiowe koszyczki do szklanek. Machinalnie otworzył drzwiczki i zajrzał do wnętrza. Na najwyższej półce leżała pusta blaszana puszka po herbacie „Jubileuszowej” – przypomniał sobie, że taką właśnie przyrządzał Wiolecie co rano. Poza tym był cukier „Brydżowy” oraz kilka aluminiowych łyżeczek w obitym kubku z granatowym napisem „Społem”.

Na bocznej ściance ktoś przybił zardzewiałym papiakiem Kalendarz Przyjaciółki ze stronami na każdy dzień. Kolorowy, zdobny w kwiatki i kratki, ze zdjęciem młodej mamy bawiącej się z dziec-

kiem na rękę. Odślonił okładkę: pierwszy stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego, Nowy Rok, poniedziałek, imieniny Mieczysława i Marii. Wschód słońca: 06:58. Zachód słońca: 15:07. Nikt nigdy nie wyrwał z niego żadnej kartki.

No i najważniejszy przedmiot w tej kuchni, najnowszy produkt z czasów Edwarda Gierka, który, wielu w to wierzy, zrobił najwięcej dla Polski: Superautomat PS 663 Bio na licencji jugosłowiańskiej firmy „Gorenje”. Nie pamiętał już, jak można było zdobyć taki rarytas. Czy trzeba było mieć talon, czy znajomości w Centralu, czy wystarczyła tylko odpowiednia ilość gotówki. Nigdy nic w tej pralce nie prali, nigdy nie była podłączona; nie rozpakowali jej nawet ze spiętych stalową taśmą drewniaków. Przypuszczał, że w owym czasie była to jedyna taka osobliwość na Wschodniej.

Martensa ogarnęło nieuchwytnie zdziwienie, że wszystko jest tutaj jak dawniej, a jedynie jego i Wioletty już nie ma.

Za brudną szybą majaczyło obskurne podwórko. Po bokach miało szerniałe, sypiące się oficyny, a na końcu rozpaprane, przygarbione komórki. Zaś na środku, wokół bezlistnego kikuta uschłego drzewa, królowały nieczystości i gruz. Wyszczerbione parapety zostały dokładnie obsrane przez gołębie, które, o dziwo, żeby srać – musiały przecież coś jeść. Ale co mogły, biedaczki, znaleźć w tej betonowej studni bez życia? Bezruch owego dołującego szarego miejsca zupełnie zniechęcał do jakichkolwiek poczynań.

Martens sięgnął pod marynarkę, po niezastąpioną butelkę. Po namyśle odwrócił dwie przykurzone już mocno szklanki, wsadził w koszyczki i napłynął obie po brzegi. Nie był zupełnie pewien, czy mu wolno coś ruszać, czy Król nie opieprzy go z powodu tego beztrockiego używania przedmiotów – ostatecznie pochodziły jednak z miejsca przestępstwa. Nieważne, jedną szklankę opróżnił od razu. Z drugiej sączył powoli, trzymając mocno za trzęsący się uchwyt.

Jak jej się tutaj żyło? I co się z nią później stało? Może to brat nie pozwolił jej się ze mną spotykać? Słyszał, jak kręci się po pokoju, czuł dym dawno zapomnianych, mocno znormatywanych Carmenów. Pochłaniał zapach wody kwiatowej „Konwalia”, doświadczał gładkości jej skóry. Gdzie ty jesteś? Gdzie jesteś, moja Wioletto!? Dopił wino i ostatni raz rzucił wzrokiem za okno. Rafał Martens i Wioletta taka to a taka (zapytał ją kiedyś, gdzie mieszka i jak się nazywa, ale zbyła temat jakąś pospolitą wymówką) serdecznie zapraszają na ślub, który odbędzie się w kościele Świętej Teresy w sobotę o siódmej wieczorem – pomyślał jednocześnie rozbawiony i smutny. Tak mogło się wtedy stać, ale się bynajmniej nie stało. Zachichotała, że wszystkie dziewczyny na Wschodniej myślą wyłącznie o jednym; jak by tu upolować odpowiedniego mężczyznę. Innego dnia oznajmiła, że wychodzi niedługo za mąż. Jeszcze później, że najlepiej powodzi się pannom. Jawiła się jako istny kłębek przeciwieństw – dzisiaj można powiedzieć o takiej „trzy w jednym”. Ale nie dopytywał się o

nic. A gdy niedługo później zniknęła, to zgodnie z planem, ożenił się z Mewą.

Po ślubie pojechali w podróż poślubną do Istambułu i zamieszkali w hotelu „Varsova”, u dalekiego krewnego, niejakiego Hikmeta Çelika. Z zapalem zwiedzali zakamarki Kuyumcular Sokagi – znane z relacji dziadka, przeszli mostem wiszącym, kołyszącym się nad Istanbul Bogazi, dali się oprowadzić młodemu sprytnemu przewodnikowi po Topkapi Sarayi (Polonya – wykrzyczał, gdy usłyszał ich polską rozmowę – Jorek, ogórek, kiełbasa i sznurek). Zaszumiało im w głowie i Martens zapomniał na chwilę o Wschodniej.

Po powrocie z tych zimowych wakacji zamieszkali u jego rodziców, w bloku, na drugim piętrze przy ulicy Źródłowej. Zaś na drzwiach, pod tabliczką: „A. S. M. Martensowie”, umieścili drugą, z napisem: „Mgr Psych. Ewa Mariola Martens”. Bo Mewa skończyła właśnie studia i była dumna jak paw.

Natomiast od kiedy odziedziczyli mieszkanie na Piotrkowskiej, w ogóle nie posiadają tabliczki. Wprawdzie wejście do ich mieszkania zostało opatrzone najpierw wizytówką z typowym napisem: „R & E Martensowie”, ale jakiś czas temu ktoś wyskrobał dokładnie wszystkie litery, a Martens oderwał po prostu tabliczkę. Pozostał po niej tylko niewielki biały kwadrat na przemalowanych kiedyś z białych na czarno drzwiach. Na drugi dzień Mewa podpisała ją srebrnym mazakiem: Malewicz. Na tej klatce schodowej, w tym domu, a

prawdopodobnie i w całej Łodzi, była to wizytówka najbardziej oryginalna i najbardziej oszczędna w konstrukcji i treści.

Dwadzieścia dziewięć lat temu Martensom urodziła się córka i od tamtej pory Rafał ostatecznie przestał wspominać Wiolettę. Aż do zeszłego tygodnia.

Uchylił drzwi do łazienki. Wioletta często roniła tu łzy, a on nigdy nie zapytał, dlaczego. Nie zastanawiał się wtedy, nie myślał, że może istnieć jakieś życie poza tym obskurnym mieszkaniem, że ona ma jakąś rodzinę, pracę, problemy. Wszystko to było nieważne – nie istniało po prostu.

Nie działała lampa nad lustrem. Oczy przywykły mu wprawdzie powoli do ciemności, jednak zdołał dojrzeć jedynie szafkę za drzwiami. Po trzydziestu latach wciąż leżały tam jego stare toaletowe przybory: rozłożona na części maszynka „Lux”, zardzewiała żyletka „Rawa-Lux”, pędzel z prawdziwego włosia z nalepką „Befaszczot” na spodzie drewnianej rączki oraz byle laki kosmetyk z Pewexu, tandetna woda Yardley'a. A na półce poniżej krem „Nivea” poznańskiej firmy „Pollena-Lechia” w niebiesko-białym pudełku i dezodorant w sprayu marki „Dorado Miraculum”.

Jedynie na ścianie nad wanną nie było już zdjęcia, od którego się wszystko zaczęło.

Tego dnia Joe Alex skończył trzydzieści pięć lat, ale nie powiedział o tym nikomu i nawet niemal o tym zapomniał. Rano, kiedy spojrzął na kalendarz, przypomniały mu się dni dzieciństwa, tort, w którym co roku przybywała jedna nowa świeczka...

Zdenerwowany Martens odłożył kryminal na miejsce. Sam skończył niedawno pięćdziesiąt jeden i po raz pierwszy nie obchodził urodzin. Od kilku lat z coraz większą niechęcią odprawiał te idiotyczne dmuchania, aż w końcu zdecydował, że pięćdziesiąt i starczy. Postanowił, że nie będzie więcej gasił świeczek na tortach, nie będzie wynajmował lokali, oczekiwał prezentów i gości. I tak nie miał czasu, przyjaciół i regularnej kochanki, a zamiast Mewy czy Króla, na jubileusz wystarczą mu niezawodna Terra Quente Colheita i fajki.

Na ławie poniewierały się jeszcze inne książki z serii Klub Srebrnego Kluczyka, wszystkie bez najmniejszego zagniecenia czy zmarszczki. Brzegi kartek pożółkły już ze starości, jednak środki wyglądały niczym przyniesione prosto z drukarni. Obok kryminalów piętrzyła się kupka kultowych dzisiaj komiksów o przygodach radzieckiego agenta, zabójczo przystojnego kapitana Abwery, słynnego Hansa Klossa, czyli po polsku naszego swojskiego Janka Kluski. Na okładce tomiku „Oblężenie” widać były ruiny płonącego miasteczka, a z pierwszego planu uśmiechał się ironicznie Stanisław

Mikulski. Pamiętał, Mewa przyniosła mu te czytadła do szpitala, a on przeniósł je tutaj, i tak leżą, nieprzeczytane, do dzisiaj.

Znowu zachciało mu się palić, jednak zużył już ostatnią zapal-
kę.

Rozejrzył się po pokoju, po tym ich miłosnym azylu sprzed lat. Za piecem schowała się staromodna, zachowana w idealnym stanie wersalka. Wsparta na cienkich owalnych nóżkach, wąska i niewygodna – tylko teoretycznie została przewidziana dla dwojga. Przykryta wykończoną frędzlami, srebrno-brązową żakardową narzutą, nie kojarzyła się mu dokładnie, bowiem wówczas zawsze była rozłożona do spania.

Rozbierali się szybko nawzajem, a ręce drżały im z zimna.

– Skacz pod kołdrę!

Przez krótką chwilę mógł podziwiać jej biust.

– Bo się przeziębisz.

Wydawał się mniej efektowny, niż rano. Ale rano był jeszcze pijany.

– To zależy od cyklu, głuptasie – wyjaśniała gardłowym głosem. – Miałam niedawno miesiączkę.

– Może ci kupimy termofor?

– Ty mi w zupełności wystarczysz.

Rozmasowywała posiniałe stopy i dłonie, szczękała zębami i przykładała mu nogi do ciała.

Przed wersalką stała wysoka ława w oldskulowym dzisiaj dizajnie – z blatem w kształcie łódki, równo obciętym z obydwu stron. Zaś niedaleko od wejścia zajmowało miejsce prawie zupełnie nowe biurko. Posiadało dwie półki, niewielką szufladę i zamykane na kluczyk drzwiczki. A na najdłuższej ścianie królowała monumentalna meblościanka marki „Łódź”, marzenie większości ówczesnych młodych małżeństw, złożona z prostych paneli, bez jakiegokolwiek próby ozdoby; przypominała wielkie pudełka z płyty wiórowej oklejonej udającym świerk matowym papierem, ustawione obok i jedno na drugim. Cóż robić – niestety taki był wtedy w Peerelu jedyny obowiązujący i dostępny dizajn.

Zapałki. Królestwo za zapałki! – poprzesuwał ciągle błyszczące szybki, pozaglądał za drzwiczki.

Na półkach pyszniły się fajansowe talerze, filiżanki i dzbanki. Ręcznie malowana w zygzaki i kwiatki, biało-niebiesko-brązowa ceramika z Włocławka; najmodniejsza, z nie odlepiionymi cenami. I Eureka! Jego własna, otrzymana w prezencie od starego, gazowa zapalniczka Ronsona. Przez trzydzieści lat spokojnie czekała w uchylanej części segmentu, spoczywając na książce Ludowe Wojsko

Polskie 1943-1973; srebrna obwoluta, orzełek z czapki, kwadrat z białych i czerwonych trójkątów.

Niestety, Ronson, kultowy model „Veraflame” z regulowanym płomieniem, wypluwał z siebie wyłącznie iskielki. No cóż, od tamtej pory gaz miał się prawo ulotnić. Martens pocieszył się szybko, że palenie to rak i postanowił sprawdzić, co jeszcze kryje ów mebel. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że wówczas ani razu nie zajrzał do środka, że w ogóle mało się wtedy rozglądał.

Pierwsza część szafy była zasadzie niezajęta. Jedyne na metalowej rurce smutno dyndało kilka opuszczonych wieszaków. W drugiej wisiał męski płaszcz z dederonu. Pamiętał, kupił go na Zielonym Rynku od sympatyków z NRD, mając wrażenie, że mocno za niego przepłacił. Tymczasem ta jedyna w mieszkaniu rzecz do ubrania przywiodła mu na myśl kilka pytań.

Jeśli, jak twierdzi Król, niczego nie ruszono w tym domu, to gdzie się podziały łachy Fraumann? – pomyślał. Musiała się przecież rozebrać, zanim uduszono ją nagą. A może nie uduszono jej w wannie? Może w ogóle nie zginęła w tym domu? Może tylko podrzucono tu zwłoki? Wtedy on nie miałby nic wspólnego ze zbrodnią. W końcu, co tu robiła? Bo, do diabła, nie przyszła tu sama. Nie przyszła, żeby się potem samodzielnie udusić! Może to ktoś ze Wschodniej, na przykład ów bandzior z bramy, ten ostrzyżony na jeża sutener?

Nie miał po co dzwonić do Króla, bo na pewno nie powie. A

gdyby nawet, powiedziała mu już wczoraj. Poza tym śledztwo to, mimo wszystko, domena policji.

Swoją drogą, ciekawe, dlaczego Król w ogóle wpuścił mnie do tego mieszkania? – zastanowił się nad okolicznościami swojej bytności w tym miejscu. Z jakiego powodu tak mnie usilnie namawiał? Co może zyskać z tego szperania w przeszłości?

Pod barkiem, za dolnymi drzwiczkami, natknął się na nieużywany odkurzacz. Na każdy odkurzacz mówiło się wówczas elektroluks, z zachodnia. Ten konkretny nazywał się „Alfa K-2”. Niebieski blaszany korpus z gumową rączką, rury i ssawki z pospolitego szarego winiduru, chromowane zapinki niepewnie trzymające pokrywę i kaleczące niechybnie palce za każdą próbą dostania się do worka na śmieci. Wydawał się dopiero co wyjęty ze stojącego obok pudła z jasnobrązowej tektury. Taki sam kupiła jemu i Mewie matka – w prezencie na bliski już ślub.

Przed segmentem, prawie na środku pokoju, pysznił się telewizor. Na wysokich meblowych nóżkach, czarno-biały, dwudziestocalowy „Neptun 412”. Martens i Wioletta nie oglądali w zasadzie telewizji. Zapamiętał jedynie, że pierwszej niedzieli ona chciała obejrzeć na Dwójce amerykański dramat „Udręka i ekstaza”, a on wyświetlał w tym samym czasie na Jedynce „Tele Echo” z Ireną Dziedzic. Zmianianie programów nie było wówczas takie proste, nie było pilotów, za każdym razem trzeba się było zwlekać z wersalki. Więc sta-

nęło w końcu na biografii Michała Anioła, zaś Martens nie mógł zrozumieć, jak błyskawicznie kobietom zmienia się gust; jeszcze poprzedniego wieczora Wioletta twierdziła, że woli chodzić do kina. Na szczęście napili się wtedy szybko wina i problem został ostatecznie rozwiązany przez seks.

Co innego radio, stojący na podłodze u wezglowia tranzystorowy odbiornik „Beata” produkcji dzierzoniowskich zakładów Diora. Ustawione było na stałe na Trójkę i grało właściwie bez przerwy. Popołudniami, kiedy Martens przychodził z uczelni, przytulali się przy „Przebojach z Nowych Płyt” albo przy muzyce „Poetów Francuskiej Piosenki”, polem był czas na „Mój Magnetofon”, jeszcze dalej „Mini-Max”, aż wreszcie o w pół do ósmej „Muzyczna Poczta UKF-u” – i już mogli się kochać. Odgrzebał z owych czasów pewną kretyńską piosenkę, „Dwa razy dwa”. Wylansował ją żeński zespół wokalny „Partita” w tamtorocznym Opolu.

Któż wiedział, że samo życie

Rozwiązań tak wiele ma.

Że jak na złość nam nie wyjdzie

Dwa razy dwa, dwa razy dwa, dwa razy dwa.

Śluchali ją w ostatnią niedzielę, i nigdy więcej się nie spotkali.

– Co się stało?

Miała obrzmiałe, zsiniałe wargi i rozcięta skórę nad okiem.

– Przewróciłam się w kuchni – zachrypiała, jak ona.

– Ktoś cię uderzył?

Przyszła mu na myśl „Blondynka z Podbitym Okiem”.

Światło latarki natrafiło na zastygłą w bezruchu blondynkę. Jesienny deszcz spływał po rozsypanych na boki jasnych włosach. – Nie żyje – rzekł Mason. Delia Street odwróciła się od trupa ze wstrętem.

– Dostałaś po twarzy?

Włosy Wioletty były polepione i brudne, a powieki miała spuchnięte z przepicia.

– Nic mi nie powiesz?

– Nie mogę.

Tak się rozstali.

Martens wcisnął kwadratowy guziczek, ale „Beata”, niestety, nie zagrała.

W kącie przy piecu spostrzegł, ustawione na sztorc, dwa zrolowane dywany. Oba z materiałowymi etykietami przyszytymi od

spodu na rogach.

Dywan puszysty typu Axminster wyprodukowany z surowców najwyższej jakości, koloryzacja brązowo-złota, 275 x 350 cm, Fabryka Dywanów Kowary.

Dywan wełniany, 300 x 400, import. W początkowym okresie użytkowania, do czasu spilśnienia (przydeptania) kurz należy zmiatać wyłącznie miękką szczoteczką. Trzepać tylko po lewej stronie.

Na biurku nadal stał magnetofon, najnowszy czterościeżkowy model „ZK 140”, a obok leżały szpule „ORWO” w nierozklejonych pudełkach. Taki sam sprzęt otrzymali z Mewą na nową drogę życia od, nie pamiętał już, kogo.

Na kłamce lewego okna wisiał radziecki aparat „Smiena”. Czarny, ze srebrzystymi guziczkami i pokrętłami, w skóropodobnym pomarańczowym otwartym futerale. Pożyczył go wówczas od Króla, żeby porobić Wioletcie zdjęcia, ale się nie udało. Było w tym coś dziwnego – Król do dzisiaj nie zabrał „Smieny” do domu. A przecież wtedy, przed laty, wyrzucał mu, że poniósł taką ogromną stratę.

Od trzydziestu lat nie ruszano tutaj niczego i nic nie było tu traktowane jak śmieci. Butelka po winie Lacrima, kilkanaście flaszek

po Varnie i wiele po równie słodkiej Mistelli – przez tyle czasu nie ruszane, nie dotykane; szanowane jako eksponat jakiegoś absurdałnego muzeum. Muzeum ich przebrzmiałej miłości sprzed lat.

Stojący na szafie budzik produkcji łódzkich zakładów „Mera-Poltik” zatrzymał się równo trzydzieści lat temu.

Pod wersalką walały się stomilowskie pepegi z Grudziądza. Wyglądały, jakby je zdjął przed minutą, a przecież po raz ostatni zdjął je jeszcze na studiach. Oprócz tego dwa pogniecione opakowania po Popularnych, które pozostawił, porządkując przed wyjściem kieszenie.

Wyrzucę, gdy wrócę – zrymowało mu się na „do widzenia”. Jednak los sprawił, że nie miał już dokąd wrócić.

Zastanowił się chwilę. Puste pudełka po Popularnych stanowiły tu zupełnie obcy element.

Przyniósł z łazienki stołek, przycupnął na nim przed biurkiem i otworzył szufladę pod blatem. Na początku natknął się na pieniądze. Dwa banknoty dwudziestozłotowe i dwie aluminiowe monety. Wielka pięćdziesięciogroszówka z rybakim i malutka dziesięciogroszówka.

– Wioletto, jesteśmy bez grosza.

– To wszystko, co mamy?

– Niestety.

– To za co kupimy wino i fajki?

– Zapomnij. Starczy najwyżej na Sporty i na dwie butelki sika-
cza.

– Sporty i bełta to może mi kupić tu każdy.

– Właśnie, a skąd ty bierzesz pieniądze?

– Od ojca.

– Nie przejmuj się. Na pewno znajdziesz kiedyś bogatszego
ode mnie.

– No to od brata.

– Czy to jego mieszkanie?

Już mu mówiła, że to mieszkanie kolegi.

– Zróbmy mu niespodziankę. Odwiedzmy braciszka w szpitalu.

– Razem? Lekarz zabronił. Nie możemy go denerwować.

– A czym ja go mogę zdenerwować, Wioletto?

Wiedział, że kłamie. Ale podobno w ogóle nie ma takich, co
mówią wyłącznie prawdę. Biologia.

Blondynki potrafią zrujnować każdego człowieka... – po-
myślał.

Zrozumiał, że Wioletta zniknęła, bo jego zasoby pieniężne

skurczyły się definitywnie do zera. I że nie chciała, żeby odwiedzili brata w szpitalu, z całkiem innej przyczyny, niż zalecenia lekarza.

Z jakiego powodu Wioletta nie chciała mnie poznać z bratem? – pomyślał.

Dalej ujawniła sięteczka na dokumenty A4. Zaciekawiony zajrzał do środka. Na samym wierzchu walał się jego wypis szpitalny.

Pacjent przyjęty z powodu powtarzających się bólów brzucha i fusowatych wymiocin; rozpoznanie: susp. gastritis chronica activa, wypisany w stanie dobrym, zalecenia: dalsze leczenie w poradni gastrologicznej...

Lekarz prowadzący, ordynator, pieczętka.

Pod wypisem leżała białoczerwona samochodowa mapa Polski wydana przez Ministerstwo Obrony Narodowej – Szefostwo Służby Czołgowo-Samochodowej oraz książeczka szesnastej akcji autostopu. Rubryki oznajmiały kolejno; imię: Rafał, nazwisko: Martens, data i miejsce urodzenia: 23 Maja 1952 w Łodzi, i tak dalej, i tak dalej. W środku ostał się tylko jeden wypełniony i podpisany już talon. Pozostałe wydali kierowcom, spędzając z Mewą wakacje – jeżdżąc po całej Polsce.

Jeszcze dalej był kupon Małego Lotka, odcinek dla właściciela. Pięć rubryk, w każdej po pięć skreśleń z trzydziestu pięciu. Nigdy nie udało mu się wygrać cokolwiek.

Na samym spodzie leżał bilet: „Ulgowy 50% Kraków Gł. os.

Łódź Fab. p. Tunel 2 kl. Poc. pośp. Wyjazd w dniu datow.” Na ten bilet wrócił z Krakowa od Mewy. Było to w listopadzie, miesiąc przed ślubem, i tuż przed poznaniem Wioletty.

Do teczki przykleiła się wypłowiała pocztówka. Po stronie zdjęcia miała kan – a na odwrocie znaczek za 50 groszy ze Szczerb-
cem, adres jego rodziców i ostatnie przedślubne rady od narzeczonej.

Drogi Michale, do naszego wesela pozostał niecały miesiąc. Jakże się cieszę! Dzisiaj kupiłam sobie sukienkę i buty. Czy dotarł do ciebie już krawat? Jest czerwony, jak chciałeś. A jak ci się spodobało to wydziergane przeze mnie „M”. „M”, jak Martens. I „M”, jak Miłość! Najdroższy, proszę, nie zdradzaj mnie czasem. Kocham cię i bardzo tęsknię za tobą. Twoja na zawsze, Mewa. Kraków, 1 listopada 1973.

Na dnie walał się jeszcze proszek od bólu głowy z krzyżykiem oraz długopis Zenith 4 bez wkładu.

Cała szuflada – to były wyłącznie jego rzeczy!

Martens wyciągnął się na wersalce. Na tej wersalce, na której o mało co nie udusił Wioletty.

– Znowu piłaś.

Wrócił zmęczony i wsunął się od razu pod kołdrę.

– Daj mi spokój – zalatywała „Konwalią”.

– Znowu oblałaś się gównem.

– Dla niepoznaki.

– Przecież wiem, że nie dla mnie.

– No właśnie.

Śmierdziała też trochę śledziami, i nie za bardzo rozumiał, z jakiego powodu. W mieszkaniu nie trzymali nigdy nic do jedzenia, a już na pewno nie śledzie.

– Jestem zmęczona. – Odwróciła się do niego plecami. Przez kilka minut kochała się z nim od tyłu i na wprost śpiąco.

Ze szpary przy ścianie wydobyl pamięte „Dookoła Świata”. Pstrokata okładka popularnego tygodnika przedstawiała przysypaną śniegiem Ludmiłę Metanową, solistkę chóru i monterkę maszyn rolniczych z dalekowschodniego kołchozu. Fotografia socjalistycznej radzieckiej kokietki ilustrowała artykuł o Pięćdziesiątej Szóstej Roczniczy Wielkiego Października, co zapewne było wtedy wielkim krokiem do przodu w dziedzinie nowoczesnego fotoedytorstwa. Chciał je wrzucić z powrotem, ale nie pozwalało się wepchnąć. Za-

czepiło się o starą popołudniówkę, pognieciony „Express Ilustrowany”.

Pierwsze Ogólnopolskie Biennale Amatorskiej Fotografii Artystycznej. Taka będzie ulica Główna. Awaria wodociągowa na Chojnach. Spontaniczna reakcja na apel stacji krwiodawstwa

Spojrzał na winietę „Expressu”. Przypomniał sobie, że kupił go w kiosku na placu Dąbrowskiego, zaraz po wyjściu ze szpitala, a potem udał się od razu na Wschodnią.

Wczytał się w ogłoszenia.

Dr Helena Fedorowicz, skórne i weneryczne, Próchnika 8.

Gospoia do samotnego małżeństwa potrzebna od zaraz. Tel. 70715.

Samotni znajdą ciekawe oferty w Biurze Matrymonialnym. Piotrkowska 133.

Pierwsze ogłoszenie było zakreślone esem-floresem, i to na pewno jego ręką – ważne rzeczy zawsze zakreślał w ten sposób.

Rzucił „Express” pod ławę, ostatkiem sił przykrył się narzutą i zasnął.

I już za chwilę przyśniła mu się Wioletta. Puścił się jej wąsik

pod nosem, a pod oczami pojawiły się liczne bruzdy. Miała grubo ponad pięćdziesiąt lat. Gapiła się na niego, wpatrywała się mocno, namolnie, a on, wykorzystując ostatni chyba moment jakiej takiej jej atrakcyjności zewnętrznej, zaczął ją obmacywać. Kochali się potem długo, ale nie było już tak dobrze, jak kiedyś.

Później przyśniło mu się dzieciństwo. Przyśniły mu się wagary i pewna pracownia. Na czternaste urodziny ojciec sklecił koleżance ze szkoły szopę z desek i gówna, uciekali tam często razem po lekcjach. Tam zaliczyli pierwsze papierosy, a on, w siódmej klasie, pierwszy w naturze nagi biust. Tam też owa koleżanka o zapomnianym już dawno imieniu, przyniosła kiedyś przymiar krawiecki, po czym zdjęła bluzkę i pancerny biustonosz. Przez dwie godziny obmierzał ją wtedy dokładnie, w licznych wersjach: leżących, stojących, pochylonych, z podparciem i bez – a jej piersi, przybierające przeróżne kształty, powodowały za każdym razem nieco inną liczbę centymetrów w obwodzie.

Obudził się nagle. Wstrętne lepkie muszysko polazło mu głęboko w dziurkę od nosa i odcięło dopływ powietrza. Wydmuchnął ją jednym kichnięciem, jednak już więcej nie zasnął.

Pomimo braku zapalek sięgnął po Lucky Strike'a. Na dworze popadywało, ale chyba mieszkali w tej kamienicy jacyś ludzie, choćby sąsiad przez ścianę. Wyszedł na klatkę i zapukał do drzwi z tabliczką: W. Paluch. Czekał przez kilka minut, zanim ktoś je otwo-

rzył.

Przez przerwę na szerokość łańcucha zaskrzeczał czyjś głos.

– Czego?

– Pan Paluch?

– Paluch. A niby kto pyta?

– Ja tu spod trójki, z naprzeciwka.

– Nie kłam pan. Nikt tam od dawna nie mieszka. Drzwi zamknęły się i za chwilę otworzyły ponownie.

– Nowak?

W nieprzyjemnym, starczym klekocie pojawiła się nutka nadziei.

– Nie, nie Nowak. Kolega.

– A gdzie Nowak? – głos wyraźnie posmutniał.

– Sam chciałbym wiedzieć. Ale najbardziej mi chodzi...

– Prawda, Nowak przecież poszedł do armii.

Pomyślał, że stąd ta książka pod zapalniczką.

– Proszę pana, Nowak w ogóle mnie nie obchodzi.

– Olek?

Stary uczeplił się kolejnej osoby.

– Rafał.

Martens miał dość.

– Mnie chodzi o taką jedną, o Wioletkę konkretnie. Mieszkała tutaj... Czy ten Nowak to jej kolega?

– Ładna? – zainteresował się sąsiad.

– Nie wiem.

– Pytałem, czy ładna?

– Blondynka.

– To nie ona. Poza tym, panie, tam jest, odkąd pamiętam, pustostan. Na naszym piętrze nie było nigdy żadnej Wioletty. A oni nie mieli koleżanek, jedynie czasami przychodziły tu kurwy.

– Jacy oni?

– No oni, ci trzej. Przecież mówiłem, że poszli do wojska. Za sąsiadem zatrzasnęły się drzwi, nie zdążył nawet zapytać o ogień.

Rozejrzał się po klatce schodowej. Miał wrażenie, że ktoś się w niego wpatruje i uznał, że mieszkanie musi obserwować policja.

Albo to ja jestem pod obserwacją! To mnie mogą śledzić. Przecież dla Króla jestem na pewno głównym podejrzanym - pomyślał. Obrócił się w stronę, skąd wyszedł.

Na drzwiach, na mosiężnej tabliczce, widniało jedynie:

Nowak – bez żadnego imienia.

Powstrzymując wzbierające nudności, zszedł obślizgłymi zasykanymi schodami do bramy. Skrzypnęły cicho drzwi od „Studia Fryzury”. Z gabloty przy wejściu uśmiechały się utlenione blondynki. Dwadzieścia Jayne Mansfield skrzyżowanych z dwudziestoma lalkami Barbie. W spisie lokatorów były wyłącznie nazwiska. Pod dwójką Krzak, pod trójką Nowak, no i Paluch pod czwórką.

Moja mama pochodziła z Nowaków – zastanowił się, czy to zbieg okoliczności, czy może coś więcej.

Deszcz na Wschodniej przeszedł w gwałtowną ulewę.

– Z powodu przewlekłego alkoholizmu twój ojciec zmarł na wątrobę w wieku pięćdziesięciu dwóch lat – marudziła mu Mewa od rana.

Martens miał tyle samo, ale dzisiaj czuł się naprawdę nie-
zgorzej.

– Idź do szpitala. Połóż się, niech ci zrobią badania.

Oczywiście nie poszedł. No i proszę, ustąpiło, bez jakiej-
kolwiek ingerencji tych palantów doktorów.

Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju i kuchni. W mieszkaniu było wiele różnych urządzeń i przedmiotów, przeważnie zupełnie nowych, jednak nic nie świadczyło o tym, żeby tu ktokolwiek i kiedykolwiek przebywał. Nie było żadnego ubrania, żadnych kosmetyków, obuwia, torebki. Za to wszystkie ślady wskazywały na jednego mężczyznę. A ten mężczyzna nazywał się Martens!

Cholera, w całym tym domu nie ma żadnej kobiecej rzeczy. Więc może sąsiad miał rację, może Wioletta to sen?

Uzmysłowił sobie, że przyszedł tu, żeby zdobyć jakieś informacje dla Króla.

– Martens, musisz sobie przypomnieć. Czuję, że masz związek z tą zbrodnią.

Jak miał sobie przypomnieć, kiedy już od dzieciństwa miewał problemy z pamięcią. I co mu wtedy odpowie? Że nie było żadnej Wioletty. Że ją sobie wymyślił, bo nie chciał żenić się z Mewą. Że jego matka, o panięmskim nazwisku Nowak, trzydzieści lat temu odstąpiła mu chatę, żeby on, Rafał Martens, jak już ożeni się z Mewą, miał garsonierę na boku? A może nawet po to, żeby zawczasu przygotował sobie miejsce na mord?

Od nagrzonej spirali maszynki zapalił nareszcie Lucky Strike'a. Zasmakował jak rzadko. Zaciągnął się łapczywie, jakby się trzeba było napalić na potem. Jeszcze raz obszedł całe mieszkanie. Kuchnia, łazienka, pokój, przedpokój. Meblościanka, biurko, wersalka. Wszystko tu było podejrzane, przyszykowane, jakby dla młodego małżeństwa.

Myśl, Martens, trzeba od czegoś zacząć. Ale od czego? Może od tych ogłoszeń z „Expressu”? Wyjrzał przez okno.

Po przeciwnej stronie ulicy, w mieszkaniu na pierwszym piętrze, krzątała się jakaś postać. Długowłosa platynowa blondynka w wydekolutowanej czerwonej sukience kombinowała coś za firanką.

Wioletta – skojarzył w pierwszym momencie.

Idiota! – poprawił się zaraz.

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że skądś zna tą kobietę.

Dr Helena Fedorowicz, skórne i weneryczne, Próchnika 8.

Kamienica była najwyraźniej prywatna, gdyż odnowiono ją jako jedyną na całej długości ulicy. Martens zajechał tam około dziesiątej. Dom wydawał się niezamieszkały. Domofon posiadał jedynie numery, a bramę przegrodzono solidną stalową kratą. Nie było czego tu szukać.

– Mewuniu, znasz może nazwisko Fedorowicz? – zapytał przed wyjściem.

– Wyobraź sobie, że tak! – dogoniło go już na parterze. – Byliśmy z Krystyną na studiach.

– A teraz?

– Teraz pracuje chyba w podstawówce na Struga.

Szkoła Podstawowa na Struga okazała się zlepkiem kilku budynków. O jedenastej wkroczył do wnętrza. W labiryncie półpięter ledwo odnalazł odpowiedni gabinet. Od magister Krystyny Fedorowicz dowiedział się, że doktor Helena już od dawno nie żyje. Więc trochę jadąc, a przeważnie tkwiąc w korkach, wlokąc się Gdańską za powolną piętnastką i zatrzymując na wszystkich przystankach, o drugiej, nie wiadomo po co, dotarł na miejsce pobytu jej szczątków.

Na cmentarzu im. Świętego Józefa nie było praktycznie nikogo. Miejsce wiecznego spoczynku pani doktor odnalazł za pierwszym podejściem – przypomniał sobie, że był tu już wielokrotnie. Od głównego wejścia, prosto w stronę kaplicy, potem przy krzyżu w lewo, i dalej, po prawej, w połowie drogi do końca alejki.

Mogiła obejmowała podwójną kwaterę przykrytą solidną szarą płytą z granitu. Pionową czarną tablicę ozdobiono wizerunkiem Jezusa i przedzielono dokładnie na pół, zaś złote litery zaświadczały o przodkach świętej pamięci. Nad grobem pochylała się, opleciona przez dzikie wino, stara tuja, a przy alejce tkwiła rachityczna ławeczka. W oddali, między bezlistnymi drzewami, połyskiwała niebieskawa kopuła grobowca Juliusza Heinzla.

Przysiadł i zaciągnął się Lucky Strike'm. Uzmysłowił sobie, że ilekroć był na tym cmentarzu, a zdarzało się to przeważnie w Za-

duszki, mogła ta przywoływała w pamięci ogłoszenia ze starych „Expressów Ilustrowanych”. Bowiem w tamtych czasach drobne anonse pani doktor Heleny Fedorowicz były jedynymi ogłoszeniami prywatnego lekarza. W dodatku ukazywały się prawie codziennie. Przez następne siedem minut zastanawiał się, co by tu dalej zrobić. Męczył go kac, a nie mógł się napić, bo zamiast przywołać taksówkę, pożyczył od Mewy Toyotę. Rzucił okiem na Doxę, dochodziła piętnasta. No trudno. Pani doktor przestała przyjmować. Ruszył powoli w stronę zajmowaną przez prawosławie. Tam pochowano jego najbliższych przodków, mimo, że nigdy się nie wyrzekli islamu.

Ojciec Rafała nazywał się Mehmet Celik i był pół-Polakiem po matce – rodowitej łodziance oraz pół-Turkiem po ojcu, Refiku Celi-ku, naiwnym apologete wszystkiego, co polskie. Staruszek Mehmet zaraz po wojnie zmienił nazwisko na Martens, bowiem po turecku hikmet to stal, a piec do wytopu stali to marten. Natomiast swoje imię Rafał – Martens zawdzięczał Refikowi-dziadkowi; spolszczono mu je przy jakiejś okazji i dla świętego spokoju, żeby dzieci się nie czepiały.

Ostatecznie, w rezultacie tych przesiedleń, administracyjnych decyzji i małżeństw, Rafał Martens stał się w siedemdziesięciu pięciu procentach Polakiem, ale w Istambule czuł się równie swobodnie, jak w Łodzi. Z wyłączeniem ramadanu, rzecz jasna.

– Tatusiu, to ja, Refik. Twój syn.

Przytulił policzek do sterczącej, gęsto zapisanej stelli grobowca.

– Myślę, że niedługo do ciebie dołączę.

Pod bramą parkował znany skądinąd, wielki czarny samochód.

Gospoia do samotnego małżeństwa potrzebna od zaraz. Tel. 70715.

Trzydzieści lat temu numery były pięciocyfrowe, potem dodali jeszcze trójkę i szóstkę. Martens usiadł przy telefonie i wykręcił poprawiony już numer.

– Słucham, Marianna...

Starczy szept monotennie rozwlekał sylaby.

– Z tej strony Martens.

– Nie przypominam sobie.

– Z programu „Morderstwo”.

– Oglądam.

– Dziękuję.

– Wie pan, ja już nie ruszam się z łóżka i oglądam wszystko, jak leci.

– Zakreśliłem kiedyś kilka anonsów i zapomniałem, dlaczego.

– Z jakiego powodu ten anons?

– Służąca.

– Proszę pana, u nas, to znaczy u mnie i Frania, od zawsze była służąca. Za Bieruta, za Gomułki, za Gierka.

– Przypomina sobie pani tę zatrudnioną za Gierka?

– Oczywiście.

W głosie staruszki nie było cienia wątpliwości.

– Widzi pan, my zawsze mieliśmy gówniary z tej samej wioski. Jak poprzednia się dorabiała bachora, przychodziła następna. A dzisiaj wyłącznie przychodzą panie z opieki społecznej – roześmiała się cicho. – Ale Wioletta ciągle jeszcze czyta mi książki.

– Wioletta?

Martensowi skoczyło ciśnienie. Napił się wina, zapalił nerwowo Lucky Strike'a.

– No przecież, ta z ogłoszenia. Pamięta pan, Gierek postawił kiedyś fabryki. Okazało się potem, że to głównie dla moich dziewczyn. A potem podsunął im jeszcze te kredyty dla młodych małżeństw. Więc Franio nie miał właściwie wyboru i musiał dać ogłoszenie. To było w siedemdziesiątym trzecim. Zlikwidowali wtedy domiary, a prezydentem zrobili Jurka Lorensa.

– Mogę z nią chwilę pogadać?

– Może ją pan nawet zobaczyć.

Przedukała mu adres.

Serce waliło Martensowi, jak młotem. Stał przy domofonie eleganckiej międzywojennej kamienicy przy Alei Kościuszki i zaciągał się papierosem. Spisany na kartce numer mieszkania wskazywał na trzecie piętro. Nacisnął na dzwonek.

– Kto tam?

– Nazywam się Martens.

– Niech pan zaczeka. Na dole.

Zajrzał pod marynarkę, pociągnął z butelki. Terra Quente, jak zazwyczaj, przyniosła mu spokój. Otworzyły się drzwi.

– Wioletka...

Dygnęła, nie podając mu ręki. Była równie szczupła i niewysoka, jak tamta, a jej cienkie i rzadkie włosy nosiły ślady papilotów i farby sprzed kilku tygodni.

– Przyszłam do państwa jesienią siedemdziesiątego trzeciego. Z gazety. Moja pani to była wtedy persona! W mieście Łodzi wszyscy ją znali, miała telefon i przepiękny samochód. Moskwicza. I kto to do nas nie przychodził. A najczęściej pan Lorens. Zaś pan Franio głównie zarabiał pieniądze. Bo oni mieli taksówkę i sklepik niedaleko placu Wolności. Pan Franciszek to bardzo dużo pracował, aż tak osłabł, że zmarł.

– Czy pani jest może Wioletką?

– A jakże.

– Ale czy moją Wiolettą, ze Wschodniej?

– Rzeczywiście, pan przypomina mi kogoś, nawet bardzo.

Przyjrzała mu się z pod oka.

O Boże, powiedz, że to nieprawda!

– Był jeden taki. Jakże on miał na imię? Sprzątałam mu czasem mieszkanie. To było właśnie chyba na Wschodniej.

Przypominam się, Boże!

– Albo Zachodniej. Głupia jestem, sama już nie wiem. Tamten jednak był dużo grubszy od pana.

– W młodości byłem chudy jak patyk.

– Żartowałam! Pan jest przecież ten Martens. Z telewizora! Pani mi powiedziała, i już wiedziałam, jak szłam.

O dzięki wam wszystkim, na wysokościach. Odetchnął głęboko.

– Dostanę autograf?

– Proszę.

– Ma pan coś do pisania?

– Nie mam.

– Ale ja mam. Przyniosłam na wszelki wypadek. Pomyślałam, a nuż ten Martens się zgodzi.

Z przewieszanej przez rękę zdezelowanej torebki wyjęła papier i pióro. Z zielonego marmurku, z klipssem w kształcie dzioba i grawerowaną złotą obrączką.

– Pelikan?

– Pierwsza komunia.

Podsunęła mu papier pod nos.

– Ma być: Od Rafała – Wioletce.

Zaczął pisać.

– Albo: Wioletce od pana Rafała.

– No więc jak?

– I tak i tak. Mamusiu, o Boże, nie domyślasz się nawet, kogo ja dzisiaj poznałam!

Upajała się szczęściem.

– A może inaczej: Kochanej Wioletce – Rafał.

– Co mam pisać?

– Już wiem: Wioletka i Rafał. O Jezusieńku Nazareński, chyba oszaleję ze szczęścia! Inaczej.

Zaczynał się niecierpliwić.

– Przepraszam. Jeżeli panu tak spieszo, to niech już będzie tylko: Rafał.

Ta ostatnia wersja spodobała się Martensowi najbardziej.

*Samotni znajdą ciekawe oferty w Biurze Matrymonialnym.
Piotrkowska 133*

Na kamienicę pod sto trzydziestym trzecim spoglądał codziennie. Stała naprzeciw ich domu, po drugiej stronie Piotrkowskiej. Dostępu do lokatorów bronił cyfrowy domofon, Martens nacisnął kilka guzików na raz. I z kilku na raz mieszkań rozgadały się głosy. Niestety, biura nie znalazł. Dowiedział się tylko, że córka swatki mieszka obecnie na Zamenhofa. Niedaleko, o rzut beretem.

Grawerowana tabliczka na drzwiach oznajmiała: Irena Zalewska. Wieczorowe Centrum Leczenia Zaburzeń Neurotycznych i Psychoz. Otworzyła mu preparowana blondynka. Oprócz tej farby, była całkiem do rzeczy i dał się zaprosić na kawę.

– O rety, pan Martens! – zagadkała, powitała go w progu.

– Rzeczywiście nazywam się Martens. Rafał Martens.

Pocałował ją w rękę.

Mieszkanie urządzone nieco po staroświecku. Przeważały solidne meble z lat pięćdziesiątych, kryształ, oleje w złotych ramach. Do tego telewizor z trzydziestodwucalowym ekranem i kolumnami po bokach. Wszystko tu było bardzo piękne, ale najbardziej spodobała mu się sama Zalewska. Usta. Usta miała po prostu cudowne. Duże i nabrzmiałe; wargi jak przekrojone serduszko, apetyczne, dojrzałe, oryginalne na wskroś. No i ten kolor bez śladu jakiegokolwiek pomadki; winny, dziki, owocowy, wiśniowy i słodki. Całuśny. Z pani Ireny po prostu tchnęła kobiecość.

– Kawa dla pana?

– Poproszę.

– Ma pan problem?

– Jaki problem?

– No jak to, jaki? Ze sobą.

– Mój problem ma na imię morderstwo.

– Morderstwo to w pracy. A w domu?

– W domu mam żonę. Psycholożkę z zawodu.

– I to jest właśnie pana największy problem. Ale dobrze. Rozumiem, że pan tu, poniekąd, służbowo?

– Poniekąd.

Nie dopytywała się więcej. Usiadła naprzeciw niego i uśmiechnęła się pięknie. Zdawał sobie dobrze sprawę, że to jedynie premia za jego gębę z telewizora – od dawna nie miał złudzeń, że piękne panie mogą się do niego uśmiechać ot tak. Przez ostatnie trzydzieści lat roztył się i wyłysiał, a przy goleniu z trudem znosił w lustrze swoją nalaną podobiznę.

– Mogę zakurzyć?

Zapalili po Lucky Strike'u, a pani Zalewska opowiedziała mu rodzinną historię. W tej historii najpierw jej mama, Kramarz Marysia, wyrabiała ciasto u ojca, bo ojciec produkował pierniki; najlepsze w całej Łodzi. Lepsze nawet od tych toruńskich. Marysia pracowała potulnie całymi dniami, w zasadzie nigdzie nie wychodząc, aż naszła ją myśl o starości i staropanieństwie. Przy ojcu-potworze, który nie

dość, że nie chciał jej widzieć w roli Miss Polonia, bo był o córkę okrutnie zazdrosny, to nie pomyślał do tego, tępota, że Miss Polonia to nie jest przecież droga do Avonlea. Więc, żeby zaspokoić ciało i jakoś ratować psychikę, uciekła z domu do Gdańska i w tym Gdańsku wydała się za bosmana, za niejakiego Zalewskiego. Po dziewięciu miesiącach urodziła się im mała Irenka, a niedługo potem bosman wypłynął w ostatni swój rejs. Pani Irena wyjęła stary Dziennik Bałtycki.

10 stycznia 1965 roku polski drobnicowiec MS Nysa uległ katastrofie i poszedł na dno wraz z całą 18-osobową załogą. MS Nysa wypłynął ze szkockiego Leith i płynął do portu w Oslo, przewoził szyny kolejowe. O 22.33 przepływający nieopodal norweski statek Berby zauważył jednostkę, z której dawano sygnały świetlne SOS. Gdy o 22.50 Norwegowie dotarli na miejsce, nie znaleźli niczego.

Po tym zdarzeniu mamusia otrzymała po mężu rentę. W związku z tym nie musiała pracować, miała dużo wolnego i poszła na studia, na Wydział Socjologii i Psychologii. Niestety, podczas pięcioletniej nauki nie zapoznała żadnego mężczyzny; żadnego, z którym mogłyby spędzać razem święta. Więc po dyplomie wróciły do Łodzi, a mama założyła biuro matrymonialne – wyłącznie po to, żeby znaleźć dla Irki ojca. Jednak i z tego wyszły nici – przez na-

stępnie ćwierć wieku obie panie pozostawały samotne. Tymczasem Irena udała się w ślady mamy i również skończyła psychologię, jednak na życie miała już całkiem inny pomysł. Więc gdy mamusia przeszła na emeryturę i zajęła się działką nad Nerem, pani Irena zajęła się sobą i założyła Wieczorowe Centrum Leczenia Zaburzeń Neurotycznych i Psychoz. – Proszę, może się przyda.

Wyjęła ulotkę.

Leczę następujące zaburzenia: lękowe, obsesyjno-kompulsywne, adaptacyjne, psychosomatyczne, osobowości, odżywiania, reakcji na stres oraz łagodną i umiarkowaną depresję. Zajęcia odbywają się codziennie, pod okiem doświadczonej terapeutki i w różnej formie: terapii indywidualnej i grupowej, psychorysunku, ćwiczeń komunikacyjnych, wizualizacji, treningu relaksacyjnego oraz wybranych zachowań asertywnych.

- I to by było na tyle. Mama mieszka na działce nad Nerem. W Rudzie Pabianickiej, przy ulicy Wędkarskiej. Przeniosła tam swoje papiery i udaje, że nadal pracuje. Jak się czujesz?

Przeszła niespodziewanie na ty.

– Dobrze.

– Ale na ile dobrze? Chodzi mi o afektywność na skali: dobrze i źle.

– Nie rozumiem.

– Naprawdę? Nie podobam ci się? Psychicznie czy fizycznie? Niejaki Sheldon odkrył związek pomiędzy osobowością i wyglądem kobiety.

Zaczynała się mądrzyć jak Mewa. Pomyślał, że pewnie u psycholożek to norma; to nadęcie, te słówka, te definicje.

– Ale w moim przypadku to się nie sprawdza.

Przysunęła się do Martensa.

– Nie powinnam się w zasadzie rozbierać, szczególnie jako psychoterapeutka. Ale jestem jednocześnie introwertyczką i ekstrawertyczką – w dodatku ryczącą czterdziestką. Więc, żeby się pozbyć odzieży, nie potrzeba mi zbyt wielu bodźców zewnętrznych.

– Nic z tego.

Odsunął krzesło.

– Nic z tego? A kim ty jesteś, do diabła!?

– Ja? Nikim.

Na ulicach ruch był przed południem niewielki. Do willi pani Marii powinien dotrzeć w dwadzieścia minut, więc po drodze postanowił ułożyć sobie w głowie kilka spraw. Takich, które mogłyby mieć związek jednocześnie z nim i z Beatą.

Przede wszystkim: na Wschodniej były wyłącznie jego rzeczy.

Potem: kto kupił te graty? Może on, ale po co? Albo raczej, dla kogo? Czy prowadzi podwójne życie? Dalej: kto sprząta, kto płaci rachunki? Król twierdzi, że Fraumann może mieć jakiś z nim związek. Jednak jeżeli już, to tylko w postaci krawata. Więc może to on jest mordercą? Ten krawat już raz się otałał o śmierć – trzydzieści lat temu, na szyi Wioletty. Może wtedy ją zamordował i dlatego nie wpuściła go więcej do środka. Czy Wioletta rzeczywiście nie żyje? Fuga dysocjacyjna?

Podczas, gdy utrata pamięci może mieć wiele powodów, fuga dysocjacyjna nie ma bezpośredniej przyczyny fizycznej. Wywołuje ją raczej silny stres lub traumatyczne przeżycie. Tak bolesne, że mózg wydaje się wyłączać i wymazywać wszystkie dane, jak w przypadku zepsutego twardego dysku. Jednak, w odróżnieniu od komputera, większość pacjentów w końcu odzyskuje wspomnienia. Zwykle równie nagle, jak poprzednio zniknęły.

Przyszło mu na myśl, że Beata może być dzieckiem jego i Wioletty, bo nie używali wówczas kondonów. Kondomów. „N” czy „m”?

Martens uzmysłowił sobie nagle, że wcale nie szuka mordercy Beaty. Że najważniejsze pytanie brzmi nie: kto zabił?, ale: gdzie jesteś, moja Wioletto? I że podąża głównie tropem siebie samego

sprzed lat.

Rzucił okiem w lusterko. Czarne auto uparcie trzymało się za nim od centrum. Zaś za kierownicą tkwił jegomość w skórzanym płaszczu i okularach à la Cybulski.

Król jednak postanowił mnie śledzić. To jest dokładnie ten sam samochód. Ten sam, który ruszył za mną po Wschodniej, w dniu popełnienia morderstwa – dał się wyprzedzić, przyhamowując gwałtownie.

Przejechał spokojnie przez przepust nad Nerem i skręcił w Wędkarską. Wystukał numer do Króla.

– Panie komisarzu, melduję posłusznie, że zgubiłem wasz ogon.

– Jesteś chory?

– Być może. Ale czy z tego powodu musicie mnie śledzić?

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz.

W telefonie zapadła cisza, kłopotliwa dla obu. W tle było słychać pospieszne szepty i urywane śmiechy pracowników policji.

– Martens...

– Ustalacie, co mi można powiedzieć?

– No więc dobrze. Mamy cię, można powiedzieć, na oku.

– Ale po co?

– Żeby się czegoś się dowiedzieć.

– Jak coś się dowiem, to powiem ci dobrowolnie.
– Żeby nic ci się, broń Boże, nie stało.
– Zdecyduj się. Albo podejrzewacie, że udusiłem Beatę, albo dbacie o moje zdrowie?

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Wyklucza!

Wyrzucił komórkę na tylne siedzenie.

– Kto cię tu przysłał, moje dziecko?

Pani Maria była sporo po sześćdziesiątce; tak wynikało i z wyglądu i z wieku jej córki. Ale nie pogodziła się ze starością. Szczupła blondynka, w rozpinanej do dołu sukience z różowego prześwitu, cała w tiulach, koronkach i pąsach.

– No więc, kto cię tu przysłał, moje dziecko?

– Pośrednio komisarz Król.

– A konkretnie?

– Irena.

Usta miała identyczne, jak tamta, wiśniowe – nie było wątpliwości, że to matka i córka.

– Powiadasz, że Irenka...

Zlizwała okruszyny po pączku.

– To wszystko w porządku. Bo wiesz, ona prowadzi teraz swo-

ją własną praktykę i o moją jest w pewnym stopniu zazdrosna.

Praktyka pani Marii okazała się opowiadaniem bez końca. Martens dowiedział się, że działalność owa była stara jak świat i polegała na kojarzeniu panów i pań, oraz odwrotnie. Zajęcie swatki nastawione było na wszystkie heterotowarzyskie i heteroseksualne interesy, jakie kiedykolwiek przychodziły ludziom do głowy. Kojarzenie odbywało się kiedyś przy Piotrkowskiej, a dzisiaj już tylko w wielkim stołowym pokoju – jedynym pokoju na pierwszym piętrze domku na peryferiach Łodzi, nad Nerem.

– Założymy ci fiszkę, wszystko będzie jak trzeba.

– Jaka fiszkę?

– Do katalogu.

– Nie potrzebuję.

– Masz zdjęcie?

– Kiedyś miałem, ale nieopatrznie podarowałem takiej jednej.

Po co to wszystko?

– Musisz się spodobać kandydatce na żonę.

– Ale ja mam już żonę.

– Nie szkodzi. Możecie się rozejść.

– Pani mnie nie rozumie.

– Rozumiem. Jak najbardziej rozumiem.

– No dobrze, niech będzie.

Pokój wypełniało kilka zużytych już mocno mebli. Pod jedną

ścianą ustawiono mahoniowy pięcioczęściowy segment. Na czterech szafkach był napis „Interes”, a na jednej „Prywatne”. Pod drugą posadowiono szeroką wersalkę, tuż obok stolik z telewizorem, a na nim lampkę z pływającymi złotymi płatkami z plastiku. Naprzeciw drzwi królowało ogromne zwierciadło, czego zazwyczaj się nie spotyka w biurach innego typu. Podejrzewał, że owo lustro oraz wersalka do matrymonialnego biznesu przynależały jedynie w połowie, a w połowie do pani Marii, jako do osoby prywatnej. Przy ostatniej już ścianie kiwały się dwa stare krzesła, schowane symetrycznie za mocno kulawym stołem, wciśniętym pod parapet pod okno. No ale najważniejsza była w tym wszystkim podłoga, którą pokrywał biały puszysty kobierzec z wielkim czerwonym sercem pośrodku.

– Pani Mario, coś śmierdzi?

Rozchylił okno.

– To Ner, moje dziecko. Każdy zapach jest zarazem subiektywny i introspekcyjny

Oszaleję od tych psychologicznych wywodów – pomyślał.

– Więc się nie zgodzę, że śmierdzi. No, może troszeczkę.

Swatka przyniosła pączki i talerzyki, i pozwoliła zapalić.

– Opowiem ci teraz o kandydatkach na żony.

– Niech będzie.

Martens rejestrował co piąte słowo. I coraz intensywniej rozmyślał, jakby tu napić się wina. Tymczasem pani Maria, uprzedzając

jego potrzeby, z segmentu, z części oznaczonej „Prywatne”, wyjęła butelkę wermutu.

– To Ciociosan Americano. Półśłodki.

Nalała do szklanek, do obu od razu do pełna.

– Ciociosan Americano sporządzany jest według pilnie strzeżonej receptury, na bazie wyśmienitych win gronowych, pochodzących głównie z winnicy Vinex Slavyantsi z Bułgarii, z dodatkiem mieszanki starannie dobranych ziół i korzeni – odcyfrował z nalepki.

Wypili.

– No a teraz starsza pani musi się zdrzemnąć.

Głowa opadła jej gwałtownie na piersi. Martens nalał sobie po raz drugi do pełna i przeszedł się po pokoju.

Z ułożonych w serduszko ust pani Marii nie padło żadne konkretne słowo. Rzeczywiście, piękne miała te usta, miała je oryginalne na wskroś. To znaczy wydatne i niepokojąco ponętne oraz samorodne w swojej naturalnej barwie zbliżonej do winnej wiśni. Identyczne, jak córka, może nawet ładniejsze, więc trochę szkoda, że była już stara. No ale dość o ustach, czas przemyśleć, co swatka usiłowała mu powiedzieć o związkach. A nie była to czcza gadanina bez sensu. Otóż celem przebywania istot żywych na Ziemi jest samopowielanie się na swoją własną modłę, która to czynność odbywa się w przeważającej ilości przypadków za pomocą instytucji małżeństwa. Tym większa jest moja szansa na związek, im wyżej jestem w hierarchii.

Więc w konsekwencji panie i panowie o wysokim statusie w owej hierarchii przekazują swoje geny dalej, a pozostali wymierają powoli i nieuchronnie. W ten sposób ostają się w końcu wyłącznie pierwszorzędni seksualnie osobnicy obojga płci. Ale obserwacja oczekiwań godowych z poziomu biura pani Marii nie miała żadnego sensu. Martens nie przyszedł tu przecież, żeby się żenić.

– Podejrzewam, mój drogi, że przyszedłeś tu do mnie, gdyż spółniczki są przyczyną twojej nieustającej neurozy.

Pani Maria obudziła się równie gwałtownie, jak wcześniej zasnęła.

– I że w związku z tym w twojej głowie wciąż pozostają jakieś silne wyparte treści.

– Na przykład?

– Na przykład na temat seksu.

– Seks nie jest, niestety, moją zbyt mocną stroną.

– Dlatego najpierw założymy ci fiszkę. Przyznasz się w niej do zalet i wad. Potem określisz swoje potrzeby i napiszesz, czego oczekujesz od kobiet. A na koniec zostawisz zdjęcie i uiścisz sto złotych.

– Drogo się pani ceni. Nie zapiszę się chyba.

– Sto złotych za trzy sztuki napalonego na mięso mięsa, to jest taniej, niż w najtańszym powiatowym burdelu! Byłeś kiedy w burdelu?

Pani Maria nabrała rozpędu, z dobrze udaną kokieterią popa-

trzyła mu w oczy.

Spojrzał na Doxę. Od przyjazdu minęła dokładnie godzina. Doszedł do wniosku, że już czas na konkrety. Opowiedział jej o Wioletcie i o anonsach w gazecie.

– Przepraszam. Tylko zajęłam panu czas. Jednak musi pan wybaczyć kobiecie, po prostu chciałam się trochę rozerwać. Bo nikt mnie tutaj nie odwiedza, nawet Irena. A z mężczyznami umawiam się wyłącznie w skoroszytach z mojego rocznika.

Napiła się jeszcze wina.

– Ja przecież wiem, panie Martens, że pan jest ten Martens z telewizora. Ale dajmy już spokój. No to jak ona miała na imię?

– Wioletta.

– Dobrze mi z tobą – pogłaskał jej włosy.

– Mnie także.

– A jaka ona była, ta pana Wioletta?

– Pełna sprzeczności. Dzisiaj taka, jutro inna, a pojutrze jeszcze ładniejsza – jak to kobieta. Jedyne dwie rzeczy miała absolutnie niezmiennie; nosiła wyłącznie czerwone sukienki i głos miała zawsze gardłowy, jakby przepity i przepalony. Wtedy kojarzył mi się z Loui-

sem Armstrongiem, a dzisiaj bardziej z Marianne Faithfull i Tomem Waitsem.

– A jak wyglądała?

– Trochę jak Pamela Anderson, a trochę jak Barbie. Głównie chyba ze względu na włosy.

– Włosy?

– No, takie utlenione i w lokach. Jak w katalogach.

– Rozumiem. Kiedyś panny często farbowały włosy na blond. Na znak, że są wolne, że można podrywać. Naturalne blondynki nie miały przy takich najmniejszych szans.

Chciał dodać, że teraz podobnie.

– Wioletta, Wioletta?

– Ze Wschodniej.

– Może i była. I może nawet ze Wschodniej. Jednak nic mi nie przychodzi do głowy.

– To poszukajmy w jakimś spisie czy katalogu.

– Nie mam żadnego spisu. Dla klientów dziewczyny posiadały jedynie numery. Na przykład siedemnasta z siedemdziesiątego trzeciego to było 17/73. Natomiast adresy i nazwiska trzymałam przed nimi do końca w tajemnicy. A potem wyrzuciłam wszystko na śmietnik, bo komu byłaby dzisiaj potrzebna jakaś pięćdziesięcioparoletnia babcia imieniem Wioletta, za całe wiano mająca jedynie stertę wyników badań, lekarskich zaświadczeń i decyzję o rencie, w dodat-

ku niezbyt wysokiej.

– Ma pani rację. Ale może zostały jakieś zdjęcia? Żebym się mógł rozpatrzeć, na przykład po biuście. Bo pod tym względem moja Wioletta była zupełnie wyjątkowa. Pamiętam, coś między czwórką i piątką. Raz tak, a raz tak. W zależności od tego, czy byłem trzeźwy, czy pijany.

– Oj, ależ z pana demoralizator, panie Martens! W siedemdziesiątym trzecim pierś były w zasadzie demode. Wtedy mieliśmy modę na hippisów, na takie tam małe wrzody...

Pogładziła się z dumą po gorsie.

– Żadnych spódniczek nie trzymam. Jedyne, co mi zostało, to ten kajecik, nazywa się „Lista Przebojów”. Jak już mówiłam, wyłącznie same numery, żadnych imion czy nazwisk. Tylko to, co same napisały o sobie, i zdjęcia.

Pocałował ją w rękę i wyszedł.

Kamienicę Schychtów zbudowano w stylu wczesnej secesji wiedeńskiej. Splendoru nadawała jej, usytuowana asymetrycznie, strojna snycerska brama i zdobna głowami lwów, lekka w rysunku fasada. Szczyt wieńczyły dwa okna o spłaszczonym łuku; nad jednym umieszczono twarz kobiety, a nad drugim mężczyzny – obie w obramowaniu z kwiatów i liści. W prawej oficynie mieścił się „Salon

Fryzjerski Janeczka. Manicure-Pedicure, Modne Fryzury Dla Pań, Panów i Dzieci, Pn-Pt 9⁰⁰ – 18⁰⁰, Sob 9⁰⁰ – 14⁰⁰” – Martens przycinał tam sobie czasem włosy. Parter od frontu zajmowała cukiernia Bli- klego.

Na pierwszym piętrze urzędowało dwóch ginekologów, z któ- rymi nie utrzymywali kontaktów, zaś ich mieszkanie mieściło się bezpośrednio nad nimi, pod czwórką. Wchodziło się tam dość wąską klatką schodową, nie zapowiadającą luksusów, ale w środku zacho- wały się sztukatorskie dekoracje sufitów, kinkiety, mosiężne klamki oraz parkiety układane w wielokolorowe mozaiki. Od początku nale- żało ono do dziadka Mewy, adwokata z zawodu. Jedynie w czasie drugiej wojny światowej rezydował w nim niemiecki notariusz Horst Kollpack. Do dzisiaj pozostały po nim meble, obrazy, porcelana i szkło, po które nikt się nie zgłosił. Po dziadku natomiast Mewa odziedziczyła portret babci, rozstrojone pianino i secesyjną serwant- kę. Znający się na rzeczy znajomi twierdzili, że było to najbardziej łódzkie ze wszystkich znanych im wnętrz.

Tego dnia Martens nie zabrał ze sobą kluczy. Wrócił od pani Marii w okolicach obiadu i nie zastał nikogo w domu. Na wszelki wypadek trochę podzwonił, trochę popukał, trochę poprzemawiał do drzwi. Ale jedynie Fatma wydarła się na niego z wyrzutem.

– Chcesz wyjść?

Wychodził z nią jedynie na wiosnę, żeby najadła się młodych

liści mleczu na klombie obsikanym przez psa fryzjerki z zakładu fryzjerskiego z podwórka. Wierzył, że to pomoże na stwierdzoną u kotki bezpłodność.

– A ja bym chciał wejść.

Dał sobie spokój i wszedł na półpiętro na trzecie. Ktoś pałący trzymał na parapecie popielniczkę i książkę autorstwa jednego takiego z Krzeszowic. Była już mocno sfatygowana, rogi w strzępach, papier pożółkły, urwany kawałek okładki. „Stanisław Czycz. Nie wiem, co ci powiedzieć”.

Pewien poeta z Krakowa (no bo niby skąd miałyby być prawdziwy poeta), onegdaj recytował mu przy winie w „Łodzi Kaliskiej” całe fragmenty tej książki, przytaczał z pamięci dość długie wersy i przy okazji wyrażał się dosyć dobrze o Czyczu.

– On już jest prawie kultowy, a niedługo może być nawet modny, poznaliśmy się przed laty w przedziale drugiej klasy, w pociągu na Śląsk. To znaczy w Krzeszowicach powiedziałem gościowi przy oknie, że Czycz chyba tu mieszka, a ten przy oknie to właśnie był Czycz.

Pomyślał wtedy, że ów poeta wciska mu kit, bo kiedyś już raz, na dworcu Łódź Kaliska wcisnął mu powieść pod tytułem „Poeta”, dwudziestego trzeciego maja, na jego urodziny. Najpierw zamierzał

wprawdzie dać mu flaszkę likieru, sam ją dostał w prezencie od dyrektorki teatru, ale butelka była jeszcze nietknięta, a „Poeta” już przeczytany, to było mu żal dużo mniej.

– Gdy nocą pachnie kwiat magnolii, poddaje serce się bez woli.

Zapalił i oderwał resztę okładki. Zapisał od tyłu: *Byłem o drugiej. Za godzinę będę z powrotem.* Zrobił dziurkę i zostawił kartkę przywieszoną na klamce. A potem udał się do pubu na wino.

Piotrkowska była prawie opustoszała. Jedyne pod ścianami przemykali nieliczni zziębnięci przechodnie, bez powodzenia próbujący się ukryć przed zacinającym wiatrem i deszczem. Do „Łodzi Kaliskiej” było zaledwie trzysta metrów, lecz i tak dotarł tam przemoczony i zły. Ubrany był tylko w jeden z tych swoich telewizyjnych garniturków – zdążył przemarznąć, zaczęło mu kapać z nosa.

– Pan Martens coś dzisiaj chory – powitał go w progu pan Janek.

Martens zastosował standardową kurację opartą na winie. Trzy kolejki czerwonego portugalskiego sikacza przedłużyły obiecaną żonie godzinę do dwóch.

Kiedy o czwartej wdrapał się z powrotem na piętro, Mewa zdążyła dopisać pod spodem: *Wpadłam na chwilę o trzeciej, ale nie mogłam się ciebie doczekać. Wrócę prawdopodobnie o piątej.* Odpowiedział jej jeszcze poniżej: *O w pół do piątej mam bardzo ważne spotkanie. Będę omawiał program z Jarecką.*

Powrócił do domu dokładnie o piątej, ale drzwi były zamknięte na klucz, a następne zdanie na kartce brzmiało niepokojąco: *Jadę do telewizji. Odpisał: Okłamałem cię. Nie byłem w telewizji, tylko w Kaliskiej. Na pewno pojawię się przed wieczorem.*

Po raz trzeci poczłapał do pubu.

Przed drzwiami od mieszkania zjawił się dopiero przed ósmą. Kartka na klamce była zapisana od góry do dołu. Mewa dołożyła na końcu: *Czekałam na ciebie do siódmej, potem udałam się do Jareckiej. Małżeństwo jest drogą składającą się z samych błędów, a problemy rozwiązują się często dopiero po serii przypadków. Twoja psychoterapeutka i żona – Mewa Martens. Do Jareckiej do domu? – zaniepokojony zapytał na samym dole.*

Gdy o dziewiątej zjawił się po raz piąty, nie zastał już kartki na klamce. Za to drzwi do mieszkania były otwarte, a Mewa czekała przy stole.

– Nie trzeba było, ale dziękuję.

Poczuł się głodny.

– Ty mi nie dziękuj, ty mnie tylko od czasu do czasu przytulaj.

Zrzucił mokre ubranie, pogłaskał Fatmę.

Usiadł naprzeciw żony i z przyjemnością pochłaniał schabowego z frytkami i zasmażaną kapustą. Kotka weszła pod stół. Była spokojna o swoje, przeważnie dostawała na talerz to samo, co oni i nigdy jeszcze nie zaznała smaku jakiegoś tam „Kitekata”. Ale zaczy-

nała mieć kłopoty ze zdrowiem. Nie piła przecież, jednak ostatnio jakby traciła apetyt. Martens pomyślał, że to z otyłości.

Po obiedzie przyszedł czas na desery, czyli na wino i łożko. Mewa przyniosła Terra Quente i naląła do pełna do kufli.

– Pani Maria namawiała mnie na nowe małżeństwo. Kosztowało mnie to całe sto złotych!

Przytulił ją mocno.

– Bardzo śmieszne.

Pocałowała go w ucho.

Kotka przyjrzała im się uważnie, z ciepłego pod brzuszkiem telewizora. Stwierdził, że oboje przywierali na wadze po równo.

– Przestań. – Pogroził jej palcem.

Kicia imieniem Fatma składała się z samych sprzeczności. Raz uważała Martensa za swoją matkę, a kiedy indziej zachowywała się jak blondynka-idiotka o mentalności małego dziecka i ciele dojrzałej nastolatki zazdrosnej o każdego faceta. No cóż, prawie każdy stosuje podwójne standardy.

– To „Lista Przebojów”.

Pokazał Mewie, co przywiózł.

– Czyli katalog kobiet wartych, żeby im poświęcić uwagę.

Wy tłumaczył jej sens „Listy Przebojów”.

– Otóż wiadomo, że obraz kobiety na żywo jest inny niż na obrazku, a dysponując odpowiednią „Listą Przebojów”, można wcisnąć

facetowi każdą żenadę. Spotyka potem taki kandydatkę w realu i natychmiast się żeni.

– Czyli kobiety na zdjęciach powinny być trochę brzydsze?

– Znacznie. To socjotechnika.

– Iluzja wzrokowa, złudzenie Muellera-Lyera. Zniekształcenie percepcyjne, które zależy od poglądów i gustów.

Mewa znowu popisała się bezużyteczną wiedzą ze studiów. Wysłuchał jej ze spokojem.

– To kto czyta? Ty czy ja?

– Ja czytam, a ty wypatrujesz.

Wszystkie lale były właściwie identyczne – jednocześnie podobne i niepodobne do tej, którą mieli odszukać. Ułożono je numerami, według kolejności zapisów. Trzy, te najbardziej zbliżone do Villas, wpięto na trzech następujących po sobie stronach. Panny nosiły sygnatury 15,16 i 17, łamane przez 73.

Trzy ponumerowane nieznane kandydatki na żony skojarzyły się Martensowi z antycznymi zawodami na miss. Boginki-konkurentki miały na imię Afrodyta, Atena i Hera. Ta pierwsza obiecała jurorowi Parysowi oddać za swoje zwycięstwo niejaką Helenę. Ale ów niewdzięcznik za najładniejszą uznał tamtą ostatnią, pomimo, iż była już od dawna zamężna. A w ogóle to starodawne niewiasty niewiele sobie robiły z wierności, nawet sama naczelną bogini Afrodyta. Na przykład już jako żona Hefajstosa zadała się z o wiele młodszym

Aresem. Na szczęście mąż zaraz przyłapał kochanków in flagranti i, dosłownie, schwytał ich w sieci. *Cosi fan tutte* – tak czynią wszystkie kobiety, miała mu rezolutnie odpowiedzieć małżonka.

– Piętnaście łamane przez siedemdziesiąt trzy.

Jestem niebanalna i rozgarnięta. Jestem pełna wdzięku i seksapilu. Jestem zadbana i elegancka. Jestem atrakcyjna i zdaję sobie z tego dobrze sprawę. Ponieważ podobno każdy musi jakoś wyglądać, to ja na pewno prezentuję się zupełnie jak najbardziej w porządku. Jestem z zawodu krawcową, pracuję jako kelnerka. W przyszłości otworzę zakład fryzjerski, dlatego potrzebuję faceta z gotówką.

Martens przyjrzał się zdjęciu.

– Świat wypełniają same wspaniałe kobiety i sami durnie-mężczyźni. Jedna taka zaufała kiedyś takiemu drugiemu i dlatego dożyli oboje do późnej starości, a wcześniej do rozwiązania zagadki dwunastu małych Murzynków, przezywanych przez feministki Indianami. Ale to było w kryminale Agaty Christie.

– Moje zainteresowania to uroda i telewizja. Moim ideałem jest brunet. Rozwiedzeni nie wykluczeni.

– Blondynka.

– Fiksacja. Fiksacja to zatrzymanie się rozwoju na etapie dzieciństwa. Z punktu widzenia psychologii nie było jej śpieszno do za-

mążpójścia.

– Chińczycy twierdzą, że męża szukamy dla forsy, natomiast kochanka dla urody.

– Byłam na winie...

– Więc wystarczy mieć trochę pieniędzy i nie trzeba się wtedy wstydzić zapadniętej klatki piersiowej albo nieistnienia bicepsów.

Spojrzał na kotkę. Przeniosła się na dywan obok grzejnika pod oknem i leżała leniwie na boku.

– Chodź do mnie.

Odpieprz się – zamruczała. Przewróciła się jednak do góry brzuchem, wbrew początkowej odmowie, gotowa na ewentualną pieszczotę.

Dałbym wiele, żebyś była kobietą – pomyślał rozgoryczony – albo, żebym znalazł sobie taką kobietę, jak ty.

– Byłam na winie.

– Słyszałem.

– Byłam na winie u Jareckiej.

– Byłaś na winie u Jareckiej?

– Byłam. I odkryłyśmy, że obie przyglądamy się tym samym mężczyznom. Zastanawiałyśmy się, który z tych panów jest hot, a który not.

Wyjaśniła, że hot to jest facet, o którego warto się bić, a nawet zabić dla niego rywalkę, zaś not to jest w zasadzie gość do skreśle-

nia.

– Ty jesteś bezwzględnie not. Bo taki niby-mężczyzna nie może być przyczyną poważnego przestępstwa. Możesz być co najwyżej ofiarą.

– Powiedz mi, dlaczego ty dręczysz Jarecką?

– A dlaczego ty się spóźniasz na obiad?

Mewa przyłożyła Martensowi „Listę Przebojów” do głowy, żeby mu ulżyć w bólu rozważań, wątpliwości i pytań (podobnie, jak to czynią prawosławni z Ewangelią, używaną jednak przez nich jedynie na zwykły ból głowy).

– Taka broszura to pewny drogowskaz na drodze do męskiego spełnienia i remedium na wszystkie sercowe kłopoty samotnych pań z dużą forszą.

Przejrzeli „Listę Przebojów” na kilku kolejnych stronach – blondynki gapily się na nich idiotycznie. Uśmiechnęli się do siebie i zajarali na spółkę jednego papierosa, a potem Mewa rozsiadła się w nogach i rozpoczęła przemowę.

– Otóż obecnie słowo blondynka jest „be” i „me”. Tak nakazuje nam polityczna poprawność. Rozumiem, że politycznie niepoprawne jest określanie Niemców hitlerowcami, homoseksualizmu pedalstwem czy nawet pederastią, zwracanie się panno do kobiety prawie trzydziestoletniej, kalkulowanie czy ona wygląda na niešťęśliwą żonę czy może szczęśliwą wdowę, na używanie wobec

kobiet określenia słaba pleć, czy nazywanie naczelnej redaktor naczelnym redaktorem – rozumiem; to wszystko może być oczywiście politycznie poprawne albo i nie, ale żeby robić problem z blondynek!

Mewa nie miała już wina, więc Martens poszedł do kuchni. Gdy wrócił, zdążyła się wdrapać na biurko i przemawiała dalej, niczym na wiecu gospodyń domowych.

– Na marginesie, panie doktorki. Zakaz fizycznego wartościowania kobiet, nawet według obiektywnych starożytnych idealnych greckich probierzy, a zwłaszcza zakaz stosowania kryterium piękna, oznacza w konsekwencji przyzwolenie na bylejakość, marność i brud! Na bezwartościowość, partactwo, fuszerkę i śmietnik! Na imbecylne zanegowanie naturalnej urody przyrody!

– Mewuniu, jesteś pijana.

– Jestem! Z psychologicznego punktu widzenia to wpływ uprzedzenia na postrzeganie.

– Znowu udajesz mądrzejszą od Boga.

– Według mnie, każda blondynka powinna nosić czerwone sukienki. Czerwone, rozumiesz? Bo czerwień to podniecenie, niczym nie poskromiona chuć i żar wstrętnej plugawej zwierzęcej namiętności. A kobieta szkarłatna to prostytutka. Nie żadna tam *call girl*, elegantka przywołana na kwaterę do Ritza. Nie. Taka panna to, do wyboru: roztrzepana pomoc biurowa, zahukana pomoc domowa albo pomoc kuchenna z prowincji. I tak mi się jawi ta twoja Wioletta!

Zeszła na ziemię.

– Powiedz mi, Martens, a jakie ta twoja Wioletta miała nogi?

– Nie wiem. W wyobraźni zawsze widzę ją topless.

– W półwyobraźni.

– Nawiasem mówiąc, nie widziałem jej nigdy dokładnie. W dzień trzymaliśmy zasłonięte zasłony, a w nocy było zupełnie ciemno.

– Więc może Wioletta to były jedynie piersi?

Mewa przerzuciła fiszki w „Liście Przebojów”.

– Topless to jedyna potrzebna rzecz, którą hippisi dali kobietom.

– Nie kobietom, a mężczyznom, nie topless, a striptiz i nie hippisi, a Ameryka. Nawiasem mówiąc, to striptiz jest wynalazkiem francuskim. W Moulin Rouge już sto lat temu co wieczór spadało z biustów sto jedenaście staników!

– Wynika z tego, że ta twoja Wioletta to był okaz o pięknych piersiach i pewnie takich sobie nogach oraz niebywale sprytnym rozumku. Dokonała przeróbki striptizu, założyła spodnie i wyszedł jej topless. No cóż, wielkie piersi schodzą się czasami z inteligencją. Na przykład słynna gwiazda striptizu, niejaka Rita Renoir, która wzięła pseudonim od nazwiska francuskiego artysty malującego owocowe półakty, w ubraniu była magistrem.

– Przestań mnie dręczyć.

– No dobrze. Szesnaście lamane przez siedemdziesiąt trzy.
Wróciła do łóżka.

Jestem wierząca. Jestem przygotowana do życia w rodzinie. Gospodarna. Zaradna. Po Gastronomiku. Specjalność: kolduny litewskie, pierogi ruskie, kluski francuskie, tosty hawajskie, barszcz ukraiński, pieczeń rzymska, sałatka grecka, sernik wiedeński. Dodatkowo: karp po żydowsku, śledź po japońsku, fasolka po bretońsku, sznycel po wiedeńsku, ryba po grecku. Higieniczna i schludna. Umiejętności: pranie, prasowanie, zmywanie, podlewanie, przetykanie zlewu i licowanie przepalonych korków, krzyżówki, Krzyżacy. Ulubiony kwiat to konwalia.

– Wioletta?

– Konwalia pasuje. Ale reszta to jej przeciwieństwo.

– Czasem mniemania kobiety o sobie są absolutną nieprawdą.

Projekcje i urojenia.

– Urojenia, są to sądy utrzymujące się bez względu na ich głosowność – zapamiętał jedną z najczęściej powtarzanych przez Mewę formułek.

– Dokładnie.

Położyła dłonie na biurku.

– Ale, ale! Co za wspaniałe obrazek!

– Siedemnaście łamane przez siedemdziesiąt trzy. Przydałby się jakiś koneser biustów. Albo amator napalony na sztukę.

Wzrost 160, oczy niebieskie, średnia budowa ciała, sylwetka raczej puszysta. Wykształcenie zawodowe, fryzjerka. Atrakcyjna blondynka, ładna, zadbana. Chciałaby zmienić miejsce zamieszkania. Lubi spacerować i operę. Kino, muzykę oraz teatr. Pracę na działce, wycieczki rowerowe i piesze, ład i porządek. Kocha ludzi. Nie znosi kłamstwa. Pogodna, z poczuciem humoru. Pragnie kochać i być kochana. Ubiera się modnie. Preferuje kolor czerwony. Lubi rozmawiać i umie słuchać. Ceni seks. Uwielbia przyrodę, w szczególności wycieczki. Bardzo samotna. Szczera i opiekuńcza. Pisze wiersze. Nie lubi chamstwa i obłudy. Romantyczka, ale realnie patrząca na świat.

– To ona?

– I tak, i nie. Opera? Wykluczone. Ale rozważna i romantyczna, to tak. Bo rzeczywiście Wioletta była nieprzewidywalna i zmienna.

– A ty pijany i zakochany.

– Znowu mnie dręczysz.

– To zobaczymy, czego ta panna oczekuje od chłopca.

Od kandydata na męża oczekuję, że będzie bogaty, bez na-

łogów, zdrowy, złota rączka, działkowiec, że w związku ceni zaufanie i prawdomówność, oczy niebieskie, spokojny, skromny, preferuje spędzanie wolnego czasu na łonie natury, wie czego chce, kobiety traktuje z szacunkiem, nie pije w nadmiarze alkoholu, zmotoryzowany, optymista, stały w związku, wierny, umie zadbać o żonę, domator o dobrym sercu. Ryba. Stałe zatrudnienie na odpowiednim stanowisku i własne mieszkanie posiadane przez kandydata stanowi dla mnie podstawowy warunek stworzenia związku z mężczyzną.

– To na pewno nie ty.

– To na pewno nie ja.

15/73, 16/73 i 17/73. Żadna z nich nie była Wioletką.

Przejrzał jeszcze dziesięć następnych ofert na dziesięciu kolejnych pożółkłych kartkach i doszedł do wniosku, że taka lista przebojów to starodawny rodzaj dzisiejszej „Polki w łóżku” – najtańszego krajowego świerszczyka.

Prawie wszystkie klientki dawnego biura z Piotrkowskiej miały dusze facetów odpowiednimi, najlepiej brzmiącymi przymiotnikami i najwięcej obiecującymi, stosownymi rzeczownikami: serdeczna przyjaciółka, ciepła piastunka-kołodziejka, melancholijna bogdanka, romantyczna strażniczka domowego ogniska, przemiła prawiczka, rozmarzona zwolenniczka, delikatna jak pensjonarka, bliska sercu pani twojego serca, liryczna kandydatka na miss, ujmu-

jąca Julia wzdychająca na balkonie, czuła Dulcynea tęskniąca za swoim rycerzem, uroczą Ksantypa obiecującą, że już więcej nie będzie.

Ale czy aby nie były to czasem te same panie, które, tym razem, już jako Polki w łóżku, kusiły męski organizm troszeczkę innymi przymiotami, wycelowanymi w najbardziej czuły męski punkt: odnowiona i zdecydowana na wszystko siódemka, piąteczka z bardzo dużymi potrzebami, napalona pachnąca i kwitnąca trzydziestolatka, spragniona opalona młodziutka jagódka, nienasycona i doświadczona przekwitająca ciotka, superlaseczka o słodkich suteczkach, popróbuj na całego wszystkiego obfitego z dominującą od rana do nocy.

No więc w odważnej Polce w łóżku puszczały się grzesznie rajskie Ewy, a w biurze matrymonialnym pani Marii pyszniły się czystością doczesne Ave Maryje. Ave i Eva, cnota i grzech, soft i hard – w różnych miejscach, ale w tym samym ciele i dokładnie w tym samym czasie.

Martens napił się Terra Quente, przypomniała mu się piosenka Henryka Warsa.

Taki pech to się zdarza może raz na sto lat.

Znam Wiolettę, dla której bym słoneczko z nieba skradł.

Lecz nazwiska jej nie znam i adresu nie znam też

I dlatego wołam, szukam wzdłuż i wszerz...

– Przestań.

Tak mi smutno bez ciebie, a przy tobie dobrze mi.

Ja bez ciebie już nie mogę dłużej żyć!

Gdzie dzisiaj mieszka panna Wioletta?

Ta najmilejsza, najśliczniejsza jaką znam!

– Dosyć!

Rzuciła „Listą Przebojów”.

– Fedorowicz nie żyje.

– Co ty mówisz. Była z mojego rocznika.

– Nie ta. Pani doktor. Skórne i weneryczne.

– Ach, pani doktor. Wyobraź sobie, olśniło mnie dzisiaj. Przypomniałam sobie, że przed ślubem byliśmy razem u Fedorowicz. Podejrzywałam, że mnie zdradziłeś, że złapałeś jakąś paskudę. Wprawdzie zdradziłeś mnie rzeczywiście, ale owa paskuda to nie była wcale Wioletta. To była jedynie twoja alergiczna reakcja na chyba Biseptol.

W taki oto sposób wyjaśniła się sprawa zakreślonego anonsu z „Expressu”. Podążanie pozostałymi tropami okazało się zupełnie bez sensu.

Zapalili po Lucky Strike'u.

– Dzwoniła twoja córka. Wyszła za mąż. Za Franza.

– Jak to, wyszła za Franza?

– Każdy, mój drogi, ma jakieś dziwactwo. Popatrz, prawie wszyscy hitlerowcy to Hermann albo Hans. Na przykład obleśny Hauptsturmführer Hermann Brunner z Gestapo, kolega naszego sympatycznego oberlejtnantsa Klossa z Abwery. Albo sam elegancik Hans Kloss, znajomy owego Brunnera. A jej polega właśnie na tym, że wyszła za mąż za Franza.

– Za hitlerowca?

– Nie, za twojego Franza, za tego z Łazów. Dwadzieścia lat temu balowałaś u niego prawie przez dwa tygodnie.

– Za Franza?

Staął mu przed oczami nieduży drewniany domek przy głównym zejściu na plażę, z przyklepioną od frontu ogromną smaźalnią. I wielki grubas z tubalnym głosem i wiecznym uśmiechem na twarzy.

– Mówiła, że jedzie do Niemiec.

– Mówiła, ale dojechała gdzie indziej. Bo Franz ma w Łazach pensjonat.

– Smaźalnię.

– Smaźalnię. A tamten z Niemiec na razie nic nie ma. Więc może kiedyś... Poza tym Franz to przystojny mężczyzna.

– Ona ma przecież dopiero dwadzieścia dziewięć, a on pewnie z pięćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt jeden.

– No to tyle, co ja.

Nie mógł się nigdy nadziwić, że jedna taka koleżanka z liceum, w dodatku miała na imię, jak jego córka, zakochała się w prawdziwym dojrzałym mężczyźnie. Takim nieco przedwojennym facecie w garniturze i z wąsem. Nie rozumiał tej uległości starości; tak, tak, starości, bo należy to nazywać odważnie, gdyż jej ówczesny chłopak miał czwarty krzyżyk na karku. A jeszcze bardziej zdumiewał go fakt, iż był to konkretny elektryk, który pracował na najwyższych napięciach, łąził godzinami po słupach i tylko podłączał jakieś druty do drutów. Przecież wszyscy z tej szkoły dostawali się w komplecie na studia, a tamta nawet nie spróbowała, tylko wyszła za tego węża od razu po maturze i nikt z ich klasy nigdy już jej nigdzie nie spotkał.

– Mógłby być dla niej ojcem.

– Ojca już ma.

– To rozpusztnik, który zbruka nam nasze niewinne dziecko. Będzie ją zalewał tą swoją ohydną łazowską spermą. Jeżeli w ogóle jeszcze ma spermę.

– Wiem skądinąd, że ma. Mówiła, że naprawdę nieźle się spisuje w pościeli. Popatrz, kupiłam sobie buty. Z przeceny.

Wróciła do łóżka.

– A Franz kupił jej buty po pani Imeldzie Marcos.

– Wszyscy ludzie obowiązkowo noszą jakieś buty. Piechurzy na szlakach i stójkowi na chodnikach. Liderzy na rowerach i wariaci na Hondach. Fordanserzy na balach i kurwy na Wschodniej. Nieżywi na katafalkach i oseski na zdjęciach. Nawet karmelici bosy noszą czasem jakieś obuwie. Ale umiera się bez butów przeważnie – wyciągnął nogi i przyjrzał się eleganckim bamboszem najmodniejszej marki „Activa”.

– Pojechali razem na aukcję do Christie's.

– Pojechali z Łazów do Anglii?

– Trzy pary jej kupił. Kozaki, pantofle i szpilki. Wszystkie po tysiąc dolarów.

Martens pstryknął pilotem w Panasonica.

We Frankfurcie nad Odrą wylowiono z wody obuwie. Było w stanie postępującego rozkładu, jednakże dzięki zachowanej charakterystycznej podeszwie nie mamy wątpliwości, że znaleziono buty radzieckiego żołnierza z okresu drugiej wojny światowej. Połączymy się teraz z naszym reporterem na miejscu zdarzenia. – Panie redaktorze, Odra to jest rzeka graniczna. Proszę nam wobec tego powiedzieć, czy znalezionym obuwem zajmie się nasza policja, czy raczej niemiecka? A może archeolodzy? Halo! Panie redaktorze. Halo! Przepraszamy państwa, ale chwilowo nie mamy połączenia z Frankfurtem...

– Buty i buty. Wszędzie tylko o butach. A ja mam dwie pary na krzyż, w dodatku zupełnie identyczne. Schodzone.

– Podobno Beata Fraumann też miała kolekcję butów. I wszystkie czarne.

– Fraumann, to po niemiecku obojnak.

Wypili po drugim kuflu i zaczęli się kochać. Fatma przyglądała się im ze stoickim spokojem.

Przed trzydziestu laty Wschodnia też nie była sopockim deptakiem, ale dzisiaj zwyczajnie umierała, zaś uparta jesienna mżawka tylko wzmagala wrażenie beznadziei i smutku.

Martens bez powodzenia zmagał się z rozszarpywanym przez wiatr parasolem. Listopadowa pogoda nie rozpieszczała przechodniów; temperatura wahała się wciąż wokół zera. Po trzech godzinach pisania scenariuszy i podań postanowił coś zjeść. Bar w telewizji nie oferował niczego ciepłego, ale o rzut kamieniem była restauracja „Alina”. Nie zastanawiał się dłużej. Gdy przekraczał skrzyżowanie z Narutowicza, o mało co nie rozjechał go czarny samochód.

Co za idiota! – ledwo zdążył uskoczyć, jednak i tak całe spodnie miał w błocie.

Przed trzydziestu laty auta były na Wschodniej czymś wy-

jątkowym – zapamiętał jedynie furgonetki: Żuki i Nysy. Oraz Syreny i Warszawy z kogutem – wówczas taryfy, a dzisiaj taksówki. Było mało prawdopodobne, aby ktoś wtedy wpadł pod samochód

Po niebie przesuwały się bure chmury. Właściwie to jedna; zapamiętał ze studiów, że nazywa się nimbostratus. Złowroga deszczowa chmura w postaci ciemnoszarej ponurej wilgotnej masy. Pod nią przemieszczały się szybciej, i w trochę innym kierunku, postrzępione kawałki nieco jaśniejszej stratus fractus. Taki stan rzeczy teoretycznie powinien powodować ciągłe opady – i tak też się działo. Padało bez przerwy. Czasem była to wielka pompa, a czasem kropiło jak z nosa – tak na zmianę: ulewa i mżawka.

W gazetach piszą, że w Polsce gwałtownie zmienia się klimat. Jeżeli już, to na deszczowy i zimny. Ale latem, gdy przyjdą upały, zrobi się malarycznie!

Ostatnie kilkadziesiąt metrów przebiegł ze zwiniętym, nieprzydatnym już parasolem. Zatrzymał się na chwilę przed wejściem. Restauracja „Alina”, Pn-Pt 10⁰⁰ – 20⁰⁰, Sob 10⁰⁰ – 15⁰⁰ – oznajmiał szyld przykręcony na drzwiach. Tablicę o identycznej treści przyczepiono na murze. Pokonał jeszcze trzy schodki i znalazł się w środku.

Ściągnął namokły płaszcz i rozwiesił go na wieszaku, a przez sąsiednie krzesło przerzucił zawilgoconą marynarkę. Rzucił okiem na kartkę nad barem: „Alina Olszak – Kierownik”. Przed piętnastu laty, gdy był tu po raz ostatni, pani Alina była tylko jedną z kelnerek

i nie nazywała się Olszak. Poza tym nie zmieniło się wiele.

Po prawej stronie ten sam kredens z płyty wiórowej, nadal ozdobiony wymyślnymi pustymi flaszkami z Pewexu. Między nimi sztuczne kwiaty, kiedyś pewnie naturalne suszone. W oknach podobne, może nawet te same zasłonki, zaś na ścianach powyginana boazeria i łuszcząca się farba w mocno nieokreślonym kolorze. No i bar. Tutaj zmieniło się wszystko. Zamiast dwóch, kilkanaście gatunków piwa, inne różne alkohole, a nawet wino. W tamtych czasach po prostu zamawiało się browar. Nikt się nie zastanawiał, jakiej marki, bo piwo było marką samą dla siebie – podobnie, jak wódka z czerwoną kartką. Martens zamówił golonkę.

– Jeszcze jako uczennica zaczęłam tu pracę. Knajpa nazywała się wtedy inaczej, „Alina” to po mnie. Pamiętam, pracowałyśmy wtedy we trzy; ja, Agnieszka i Anna. I wszystkie trzy byłyśmy ze Wschodniej.

– Blondynki?

– Wszystkie dziewczyny robiły się wtedy na blond. Agnieszka prowadzi dzisiaj „Studio Fryzury”, a Anna zeszła na psy. A raczej utknęła, gdzie była.

– W którym miejscu?

– Prowadzi melinę. Ma znany adres, Włókiennicza, róg Wschodniej. Wchodzi się od podwórka.

– Pani Olszak, czy pani jest może szesnaście łamane przez sie-

demdziesiąt trzy? Biuro matrymonialne... Piotrkowska...

Przysiadła się do stolika, sprawiała wrażenie, że nie rozumie.

– Czy pan wie, panie Martens, że kiedy już kelnerowałam na dobre, identycznie traktowałam dyrektora i robociarza, artystę i szumowinę.

– A teraz?

Uznał, że była to aluzja do niego.

– Teraz...

Uśmiechnęła się bez uśmiechu. Wyraźnie preferowała „Alineę” sprzed lat. Opowiedziała, jak to się załatwiało kiedyś towar za łapówki, jak to trzeba było mieć kogoś w centrali, czyli w Łódzkich Zakładach Gastronomicznych. Ale w zamian zawsze dostawali golonki, piwo i wódkę. Nawet wtedy, gdy była na kartki, a piwa nie było wcale.

– Nie zapomnę śledzików. Żeby ode mnie nie jechało, polewalam się wodą kwiatową „Konwalia”. Najtańszą.

Przypomniał sobie, że taką samą wodą pachniała czasami Wioletta. I śmierdziała od śledzi.

– A dziś osobiście przyrządzam golonki. Moje, nie te z „Tesco”. Z chrzanikiem, z grochem, z ogóreczkami z piwniczki.

Zamówił dokładnie taką; duszoną, z grochem puree z ogóreczkami i chrzanem. Ale dostał nie duszoną, tylko z wody, a w dodatku bez grochu i ogóreczków.

Przesiadł się do innego stolika, pod ścianę upstrzoną zdjęciami. Zaświadczały dumnie, jakie tu kiedyś chlało towarzystwo. Telewizja, prasa, filmowcy, sztuka z galerii spod dwudziestki dziewiątki. Na odwrocie awangardowo pomalowanej fotografii dokumentującej jakiś odległy już w czasie wernisaż znalazł mnóstwo znajomych nazwisk. Obok zdjęć tkwiły wycinki z „Expressu”.

Tajemnicze spotkanie lekarzy w „Alinie”. Kierownictwo dużej firmy farmaceutycznej, ludzie skupujący długi szpitale, ściśle kierownictwo Narodowego Funduszu Zdrowia, przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia oraz dyrektorzy szpitali spotkali się w czwartek wieczorem w restauracji „Alina”. Organizatorem bankietu był największy w Polsce producent antybiotyków...

Soczysta, rozplywająca się w ustach golonka, otoczona galaretowatą skórką, to symbol restauracji „Alina”. Tym staropolskim przysmakiem raczy się kolejne już pokolenie łodzian...

Nie miał ochoty czytać. Mokre spodnie przykleiły mu się do łydek. Więc poszedł do toalety, a po drodze zajrzał do kuchni. Uwalane sosami ściany, odpadające poszczerbione kafelki, zakurzone półki, szafki pełne starych garów, utluszczone firany, roztrzaskane radio, wybebeszone stare puszki. Słowem Sodoma i Gomora.

Przydałby się sanepid – pomyślał, i postanowił nie kończyć obiadu.

Omijając kałuże, powlókł się w kierunku Pomorskiej. Wprawdzie deszcz niepostrzeżenie przeszedł w taką tam kapaninę, ale Martens czuł się cały zawilgocony od wewnątrz. I rozczarowany ulicą. Kiedyś były tu warsztaty, składziki z mydłem i powidłem, sklepiki, butiki, a dzisiaj przeważały secondhandy trzeciego sortu i lombardy dla najuboższych.

Zatrzymał się przed sklepem z modą i ubrankami dla dzieci. Właścicielka – projektantka, artystka, poetka, członek Związku Literatów Polskich; swój interes prowadziła tu już ponad ćwierć wieku. Poznał ją na jednym z wieczorków w Klubie Nauczyciela na Piotrkowskiej, chadzał tam czasem, miał dwa rzuty beretem od domu. Pamiętał też, że dawniej mieściła się tu pracownia kapeluszy, a jeszcze wcześniej sklepik z żelazem.

Brr! – plucha i chłód co jakiś czas ordynarnie przypominały o sobie. Postanowił ogrzać się w środku, ale interes był zamknięty na klucz.

Dalej strzałka do bramy „Jolanda”, wystający na chodnik sztyld „Czapki” i skrzyżowanie z ulicą Jaracza.

Na rogu Jaracza i Wschodniej, tam gdzie dzisiaj sprzedaje się buty, działał kiedyś spożywcza. Przypomniał sobie stalowe siatkowe pojemniki, zapełnione butelkami od mleka i usłyszał znowu to

charakterystyczne brzęczenie pełnych i pustych flaszek. Złote kapsle znaczyły mleko tłuste, a srebrne to chude. Nie raz, nie dwa „poży-
czał” sobie nad ranem jedną, zawsze tą złotą, na kaca – przypomniał
sobie scenę z „Dzięcioła” i panią mecenasową Tylską-Villas dys-
kretnie wykradającą butelkę z koszyka.

Spojrzał w perspektywę Jaracza, w stronę supermarketu „Mag-
da”. Przynajmniej dwa razy dziennie latał tam dla Wioletty po wino.

Sto metrów dalej odchodziła od Wschodniej Włókiennicza
czyli Kamienna. Utrwalona w piosence Osieckiej, kojarzyła się z
najsmutniejszą na świecie parą kochanków, przypisanych przez los
urodzenia do miejsca, gdzie może być wyłącznie brudno, wściekle i
źle.

Wieczorami na schodach i w bramach

Dotykają się ręce spierzchnięte.

Trwają tak czasem do rana,

Kiecki są stare i zmięte.

Pięćdziesiąt lat później Kamienna nadal sprawiała dołujące
wrażenie. Na parterach nie prowadzono tu żadnych interesów, na
murach nie było szyldów ani reklam, przy krawężnikach nie parko-
wały samochody, zaś nieliczni mieszkańcy martwo trwali przy bra-
mach swoich do cna zdewastowanych kamienic. Wyniszczeni niemi

strażnicy przeraźliwego, ale jakże swojskiego łódzkiego *status quo*.

Jak po ataku atomowym – zauważył markotnie. Ale gdzieś tutaj prowadzi melinę pani Anna.

Słowo „melina” adekwatnie oddawało sytuację w mieszkaniu. Zaś właścicielka świetnie pasowała do wnętrza. Natapirowana, utleniona na blond – istna niegdysiejsza Wioletta. Przyjrzał się gospodyni dokładniej: to nie mogła być ona. Bo w roli kobiety pani Anna prezentowała się po prostu fatalnie. Z przodu niedopinająca się bluzka, za nią jedna wielka potrójna góra mięsa z piersi i brzucha, zaś pod spodniami z półprzezroczystego stylonu chude i blade nogi. Makabra.

Chętną pannę można łatwo rozpoznać po tym, że wylatują jej z głowy bąbelki – stwierdził swego czasu komisarz Król, ale nie przedstawił na to jakichkolwiek dowodów. Obok głowy pani Anny żadnych bąbelków nie było, jednak kurwiki w jej oczach mówiły właściwie wszystko.

Meta jako taka, prezentowała się dość oryginalnie. Na wstępie, bezpośrednio za drzwiami, żarzył się mały piecyk. Dalej był skład rupieci; stare płaszcze, sukienki rzucone na kupę, połamane talerze, sztuce i co tam jeszcze oraz zużyte flakoniki po wodzie kwiatowej „Konwalia”. Potem kilka krzeseł i stolik z prasą liczącą ćwierć wie-

ku. Wreszcie obtłuczona emaliowana miska na stołku, koślawy fotel i zmatowiałe lustro nad przechyloną komodą. Ten fragment przypominał burdele z francuskich niemych filmów albo ze smutnych powieści Georges'a Simenona. W samym centrum królował zapadnięty pośrodku tapczan. Zapewne używano go w jeden tylko sposób; w górę i w dół. Wszystko to nie budziło zaufania, lecz, o dziwo, nie sprawiało też specjalnej przykrości.

Było, jakie było i nawet pasowało do siebie.

Ściany meliny zdobiły liczne zdjęcia, tak zwane artystyczne portrety. Uznał, że były nadzwyczajnie zmysłowe. Twarz pani Anny z rozchylonymi lubieżnie ustami, z rozszerzonymi z pożądania oczami. Pani Anna błagająca o koniec i jednocześnie prosząca o jeszcze. Twarz pani Anny z półprofilu, wpatrzona w kogoś podłego – usta ściśnięte, oczy zmrużone ze złości. Pani Anna z miną bezzębnej dziewczycy; upokorzona, lecz wciąż uśmiechnięta. Fotograf musiał być zaiste artystą – wydobył z modelki coś, czego w niej na pewno nie było. Kiedy Renoir mówił: „maluję moim penisem” – porównywał malarstwo do gwałcenia kobiety pędzlem na płótnie. Natomiast kiedy jakiś nieznany mu fotografik robił te zdjęcia pani Annie, było już właściwie po gwałcie.

Co by nie mówić, jestem zatwardziałym męskim faszystą, szowinistą, i antyfeministą. Ale za to bardzo kocham kobiety – pomyślał i przyjrzał się gospodyni. Oczywiście, niektóre.

Przezroczyłość odzienia ujawniła na niej jeszcze tak zwane stringi, czyli majtki w postaci kawałka szmatki i sznurka.

– Z majtkami jest kłopot.

Mewa przymierzyła staromodne barchany.

– Kiedyś kurtyzany zakładały reformy do kolan. Mężczyzn to bardzo podniecało, więc owe panie dyktowały co raz to wyższe stawki.

– To dziwne. Teraz kurwy przeważnie w ogóle nie noszą majtek.

– Wtedy było odwrotnie. Biło to panów po kieszeni, więc, oczywiście, wtrącił się Kościół.

– I noszenie długich gaci zostało zakazane z ambony.

– Dokładnie. Ustanowiono nawet kary. Czym gacie dłuższe, tym kara była wyższa. Większość z tych spraw kończyła się chłostą.

– Sado-macho?

– Idiota.

– Więc co? Normalne kobiety też chodziły bez jakichkolwiek osłon na pupach?

– Niestety.

– Zimą przymarzały im do siebie pośladki.

– Praworządne dzielne kobiety chodziły przez wieki bez żad-

nego stroju na nogach, aż z czasem pogodzone wszystkie racje i wymyślono ponownie stringi.

– A dlaczego ponownie?

– Bo pierwsze z nich, z lat sześćdziesiątych, miały kształt i wymiary biblijnego figowego listka i nazywały się figi. Więc wobec ich oczywistej najświętszej proveniencji odpuścił sobie także i Kościół. Jak ci się, Martens, podobam?

Barchanowe majtki po babci miały osiemdziesiąt centymetrów długości.

– Flaszeczka czy dziurka? – pani Anna zachrypiała przykrym, charczącym głosem starego palacza i alkoholika.

Rozłożyła się na tapczanie. Ogromny nadmiar brzucha i biustu kojarzył się z Japonią i sumo.

– Ale numer! Pan jest tym gościem z programu! – zarechotała ze szczęścia. – Nie poznałam pana od razu, bo mi wynieśli Panasonica. Ale to żaden problem – albo siedzę sobie przed lustrem, albo wyglądam przez okno.

Martens spojrział na zalepione gazetami szyby i stary koc, udający zasłonę.

– Czy była pani kiedyś kelnerką? W siedemdziesiątym trzecim.

– Owszem, pracowałam w podobnej branży. Ale nic nie pamięć-

tam.

– Znała pani Wiolette?

– Może i znałam.

– Czy pani i koleżanki, szukałyście mężów przez biuro matrymonialne z Piotrkowskiej?

– Panie, pan mi zadaje za trudne pytania. Ja mam kłopoty z pamięcią. W siedemdziesiątym trzecim... Wtedy byłam panienką. Coś na rozgrzewkę?

Przejechała ręką po kroczu.

– Sama się chętnie napiję. A za dwie dychy obsłużę pana jak lorda.

– Nie jestem nawet szlachcicem.

– Nie szkodzi. Normalny facet, jak sobie dogodzi, to najpierw zapali i zaraz potem zasypia. A taki lord zupełnie odwrotnie. Na przykład obejrzy zdjęcia, te moje, na ścianie. Bo ja przecież jestem na Włókienniczej najpiękniejsza, no nie?

Okręciła się, wypięła tyłek do lustra.

– A może nawet i w Łodzi.

Bał się cokolwiek powiedzieć.

– Raz, pamiętam, jeden taki mi zasnął. Ale zasnął, jeszcze zanim się zdążyłam rozebrać. Pomyślałam, że pewnie się przywłókł, przemęczony, prosto od tej z Jaracza, bo przez sen krzyczał bez przerwy „Furman, wista wio! kurwa mać!”

– Niedobra ta pani.

Uznał, że nic tak nie wspiera kobiety, jak wyrazić się źle o rywalce

– Niedobra.

– Muszę już iść.

Spuścił głowę, zakłopotany.

Chciał się jeszcze zapytać, czy, jeśli korzystała z usług biura, to może razem z Agnieszką i Aliną, ale nie był już w stanie.

Dymaj się Ania, bez przerwy, ty najpiękniejsza kurwo ze Wschodniej. Dymaj się z kim chcesz, ale na pewno nie ze mną, ty moja panno na „A”. „A” jak „Adultery” – to z ubrania Hester ze „Szkarłatnej Litery”. Mewuniu, możesz być ze mnie dumna.

– Do widzenia.

– A forsa!?

Skręcił w kierunku Rewolucji i potknął się o wystawiony na środek stand. Doszło do niego, że Wschodnia to zagłębienie męskich i damskich fryzjerów. „Dana”, „Bogdar”, „Irena”, „Grażyna”, „Alicja” i pewnie jeszcze wiele, wiele innych gdzieś za Pomorską. Smagany wiatrem i deszczem, ostatnie dwieście metrów przemierzył prawie biegnąc. Mokrzućki i zgrzany, zatrzymał się przed kamienicą Wioletty. Staranny napis na murze zapraszał do „Studia Fryzury”. W

bramie, na środku gabloty, przybyła kolejna wersja blondynki. Z fryzury przypominała wyobrażenie jego kochanki sprzed lat skrzyżowane z Beatą Fraumann.

Odświeżył w pamięci poprzednią wizytę. Nie skorzystał wtedy z grzebienia, bo musiałby długo czekać. Obtarł krople spływające po twarzy i zaryzykował obcięcie włosów raz jeszcze.

Wszystko tu porażało nowością, a najbardziej ogromne, sięgające sufitu zwierciadła. Pod nimi królowały chromowane regały na rozmaite narzędzia oraz mniejsze i większe flakoniki z tajemniczą fryzjerską zawartością. Pomalowane na biało ściany dawały po oczach. Podłoga lśniła czystością polerowanych czarnych kafli, upstrzonych w kreski i kropki. Fotele były miękkie, czerwone i obrzydliwie skóropodobne. Nowoczesność wdarła się z Zachodu na Wschodnią w najgorszym nowobogackim wydaniu.

Na środkowym fotelu siedział facet i żarł. Ten sam, co tydzień temu szarpał się z dziwką w bramie, ten sam, co mu się tak dokładnie przyglądał w wieczór morderstwa. Orientując się po swobodnych manierach, był albo bliskim znajomym fryzjerki, albo kimś bardzo ważnym. Może miejscowym sutenerem, a może bossem całej ulicy. Z wyglądu przypominał bezrobotnego boksera, jednak mogły to być tylko pozory.

Jegomość objadał się smażonymi dorszami. Albo śledziami – nie wiadomo dokładnie, albowiem wysuwał rybkę z gazety na góra

dwa palce. Tymczasem fryzjerka podgalała mu kark. Martens i grubas wymienili spojrzenia przez lustro.

Jedzcie dorsze, gównu gorsze. Też powinien się spryskiwać „Konwalią”. Jak Alina po śledziach. Śledziodorsz! – pomyślał.

Śledziodorsz był nieestetyczny do granic. Pomięta marynarka, przykrótkie spodnie, zakurzone buty, rozpięty, utyłany kołnierzyk koszuli, z którego wylewała się szyja jak u regularnego tucznika trzymanego za długo w chlewiku, bo miał być gotowy dopiero na weselisko. Tłusta świnia składała się w większości ze ścierwa trzeciej i czwartej jakości: głównie ze słabizny i boczku.

– To ja może później...

Martens machnął ręką na drzwi.

– Ale po co? Przecież nikogo nie ma!

Pani fryzjerka otaksowała go przy pomocy odbicia w zwierciadle.

– Oczywiście. Poczekam.

Zdecydował się na kanapkę naprzeciw luster. Z tyłu od foteli, gdzie się strzyże i, jak widać, czasami też żre. Zdjął przemoczony na wylot płaszcz i równie mokrą marynarkę, i umieścił je na wieszaku. Potem odpiął jeszcze guziki koszuli oraz poluzował krawat pod szyją. I w tym momencie sobie przypomniał.

Przypomniał sobie, że gdy wstąpił tu po raz pierwszy, to w ogóle zdjął ten cholerny krawat!

Szykując się potem do wyjścia, założył marynarkę i płaszcz, a o krawacie zapomniał. Zaś później ten właśnie krawat znalazł się na denatce.

To sprawka półstarszego sierżanta, pani fryzjerki, Śledziodorsza lub ich wszystkich – indywidualnie albo pospołu. W każdym razie coś ich wiąże ze zbrodnią. Mój krawat – krawat wciąż mu nie dawał spokoju.

Dłonie grubasa przypominały bochenki.

Pasuje na mordercę jak ulał – Martens zasłonił się przedwczorajszą gazetą. Udając, że czyta, rozejrzał się uważnie po wnętrzu. W witrynie królowały tlenione blondynki z zagranicznych czasopism. Platynowe idiotki z profilu, od tyłu i en face. A powyżej, na szybie, napis: „Studio Fryzury – Agnieszka Krzak”, wymalowany artystycznie na ukos, przetrąconą w balansie domorosłą odręczną kursywą.

Agnieszka Krzak. Oraz Alina i Anna. Same panny na „A” kręcą się wokół tego morderstwa. Czyżby to jakiś nowy trop kryminalny? Zastanówmy się, co mają ze sobą wspólnego, na przykład Afrodyta, Artemida oraz Joanna d'Arc, która też jest właściwie na „A”? Afrodyta miała kochanka Aresa, jej przydomki to Afrogeneja i Anadyomene, oraz towarzyszkę Aglaję. Konkurowała też z Ateną w konkursach piękności. Artemida natomiast zamieniła myśliwego Akteona w jelenia, ale najlepiej czuła się w towarzystwie jelenic,

czyli łań. Dlatego z taką chęcią zajmowała się Amazonkami. Joanna d'Arc została sprzedana Anglikom, a jej dusza wcieliła się w Joannę de Armoises.

Wyszło, że wspomniane kobiety na „A” mają ze sobą wspólne dwie rzeczy. Mianowicie, że wokół nich kręcą się całe tabuny innych postaci na „A”. I że są to na pewno kobiety, mimo że Artemida wykazuje skłonności lesbijskie, a w przypadku Joanny d'Arc musieli ją po śmierci rozebrać, bo niezupełnie chciano w tę kobiecość uwierzyć.

Uśmiechnął się w myślach na tą skomplikowaną myślową konstrukcję, istniejącą jedynie dla samozadowolenia z posiadania takiej przedziwnej, niepotrzebnej i nie wiadomo nawet, czy rzetelnej, wiedzy na tematy mityczne, a prowadzącą donikąd.

„Zakład zawsze jest czynny, oprócz niedziel i świąt” – informacja poniżej zniewalała głupotą.

Pani fryzjerka masowała temu od dorsza łusy już prawie łeb. Fartuch odchyłał się jej na gorsie, odsłaniając koronkową bieliznę. Dla przemoczonego Martensa był to widok jak z bajki.

Ha, ha, ha. Od biedy mógłbym zostać emerytem przy takiej pani jak ta – przypomniał sobie „Męża Fryzjerki”.

– To wszystko.

Agnieszka omiotła Śledziodorsza szczotką fryzjerską.

– Dziękuję. Dobrze ci się pracuje?

– Dobrze.

– Kocham cię i cieszę się razem z tobą.

– Ja też cię kocham.

Tłuścioch zniknął za drzwiami zaplecza. Martens rozsiadł się w ciepłym jeszcze fotelu, a pani fryzjerka ugniotła go ścierką.

– Pan jest Martensem?

– To prawda.

– I zna pan te wszystkie piękne panie z telewizora?

– Może i znam.

Przyszła mu na myśl pewna persona z najwyższej półki. Kilka lat temu zeszli się w takiej knajpie, gdzie nie chodzi się po to, by jeść. Siedziała przy stoliku pod oknem, z samym panem Prezesem, a on w oddali i tyłem do nich, jednak charakterystyczna paryska modulacja jej głosu wyraźnie wskazywała, że to na pewno Caryca. Znali się, odkąd robił swój program, ale do tej pory spotykali się wyłącznie na płaszczyźnie podwładny – szefowa.

– Mahrtens coś bahrdzo mahrkotny.

Przysiadła się z wódką.

– Jest rzeczywiście tak sobie.

– Pohruta twóhrcza?

Zajrzała mu w oczy. Energicznie, po swoje.

– Prawdopodobnie.

– Hrozumiem. Phroponuję, żeby się throchę hrozehrwać.

Parła jak czołg.

– Chyba tak.

Czekało go ciężkie zadanie.

– Kiedyś poznałem Irenę Dziedzic.

Fryzjerka męsko-damska Agnieszka nie grzeszyła urodą. Siedząc w pubie, nieraz obserwował zmagania dziewczyn z urodą i obawiał się, że współczesne kryterium piękna nie odwołuje się bynajmniej do greckiej klasyki. Nie odwołuje się nawet do matematycznego piękna zakłętego w proporcji 90-60-90. Nawet się do niego nie zbliża, a jednak jest egzotyczne i fascynujące w swojej popkulturowej bezładnej metodzie. Ale pani Agnieszka nie była piękna w żaden znany mu sposób.

(Na marginesie: Martens uważał, że zmagania z oceną kobiety jedynie poprzez jej wygląd zewnętrzny, które to niegodne postępowanie feministki określają jako opresyjne ustalanie kryteriów atrakcyjności, to nie był problem życia i śmierci, więc ze spokojem dzielił dziewczyny na dwa podstawowe rodzaje: na ładne i brzydkie. I robił to często na głos, w zależności czy chciał je wywyższyć w chwilowej mikrospołecznej hierarchii, czy wpędzić w opresję, żeby już sobie

poszły. Przecież one, a szczególnie te ładne, ale także te mądre, podobnie odnoszą się do facetów i nazywają ich na przykład przysadzistymi albo korpulentnymi. Czy ktoś się ujmie, dajmy na to, za takim Śledziodorszem na przykład? Nikt, oczywiście, że nikt! Żadna feministka się za nim nie ujmie. Natomiast każdy facet, niezależnie od tego, jak się wysłowi o babie i w jakim kontekście, zawsze jest podejrzany o seksizm.)

– Czy do biura matrymonialnego zapisała się pani razem z Ali-
ną?

– Nie rozumiem.

Pogładziła go grzebykiem po włosach. Oceniała fryzurę i, nieproszona, przejechała się po nim maszynką.

– O przepraszam...

– Nie szkodzi...

Spocony z wrażenia, pogładził się po przecince.

– Teraz muszę do końca.

W trzy minuty wyczyściła mu włosy na pół centymetra.

– Od dawna ma pani ten zakład?

– Od roku.

Spojrzał na sufit, na bąble po niedawnej powodzi. Wybrzuszona farba i brunatne zacieki wylewały się jęzorami na ścianę.

Przypomniął sobie, co powiedział mu Król – że policję wezwała fryzjerka, której zabrakło odwagi iść i sprawdzić, dlaczego się leje.

– Znała pani dobrze tę Fraumann?

– Fraumann?

Zdawało mu się, że się zmieszała.

– Tylko tyle, co fryzjerka klientkę. Rozmawialiśmy.

– Ile płacę?

– Nic. Przez nieuwagę ostrzygłam pana właściwie na zero.

Stwarzała wrażenie zakłopotanej, może nawet i przestraszonej.

– Nie szkodzi. Ładnie tutaj...

Uśmiechnął się, spróbował rozładować napięcie.

– Ładnie. Wie pan, ja jestem z zawodu kelnerką, jednak zawsze bardziej interesowały mnie włosy. Stąd ta fryzjernia.

– Ale dlaczego w tym miejscu?

– Bo to moje mieszkanie.

Rozejrzała się dumnie.

– Od nowego roku wprowadzę tu jeszcze usługi.

Wyliczyła te usługi, zaglądając do karteczki wyjętej z kieszonki fartucha: drenaż limfatyczny, rozbijanie depozytów tłuszczowych, terapia tlenowa, biologiczna indukcja kolagenu, manicure, pedicure i tipsy.

– Mieszkała pani tu trzydzieści lat temu?

Od strony zaplecza przedzierały się różne dźwięki. Zaszurały

buty, cicho skrzypnęły deski podłogi.

– Siostrzyczko, przyniosłem ci pizzę. Czy ten Martens czegoś aby nie zwąchał?

Był to głos Śledziodorsza.

– Proszę poczekać...

Zniknęła za drzwiami.

O, do diabła, nasz sutener to fryzjerski braciszek. I pewnie też nazywa się Krzak. Ciekawe, co to takiego miałem wywąchać? Czy aby nie to, że ten dupek udusił Beatę? W dodatku moim własnym krawatem?

Martens doszedł do wniosku, że jak najszybciej powinien stąd iść.

Rozłożył parasol do wyschnięcia, a przemoczony na wylot płaszcz powiesił na wieszaku w segmencie. Po namyśle ściągnął też zachlapanę przez auto spodnie. Po wizycie u Anny i po spotkaniu z grubasem, w półzwywy uwalnił się na wersalkę. Niby był sam, ale bez spodni czuł się zawsze upokorzony i zły. A od wczoraj w ogóle czuł się niedobrze.

– Uważaj na siebie.

Mewa wcisnęła mu do kieszeni ulotki.

Pierwsze pisemko miało w nagłówku: Wojewódzki Ośrodek Leczenia Uzależnień na Pomorskiej. Z uprzedzeniem rzucił okiem na treść.

Gdy wątroba zaczyna chorować, skarżymy się wówczas na trudne do zidentyfikowania objawy: ogólnie złe samopoczucie, zmęczenie, osłabienie, brak apetytu, bóle głowy, a później bóle brzucha, wzdęcia, zaparcia. W tle tych dolegliwości może pojawić się osłabienie odporności i skłonność do infekcji bakteryjnych, wirusowych i drożdżakowych, a czasami także alergii. W przewlekłych stanach chorobowych, obok leków i ziół, bardzo ważna jest dieta. Zasadą jest unikanie potraw tłustych i smażonych oraz całkowita eliminacja alkoholu. Leczenie schorzeń wynikające z nadużywania alkoholu teoretycznie jest proste, ale w praktyce niekiedy zupełnie niemożliwe.

Zapalił Lucky Strike'a, sięgnął po flaszkę.

W okresie abstynencji zmiany w wątrobie mogą być całkowicie odwracalne.

– W końcu i tak się zdycha... – mruknął pod nosem. – Mnie jest pisane od Terra Quente.

Kolejny druczek wydała Poradnia Zdrowia Psychicznego i Patologii Współżycia.

– Idiotka! – wrzucił papierki za piec.

Pociągnął łyk wina i wcisnął peta do środka. Cała historia nie podobała mu się coraz bardziej. Dlaczego Król nie odzywa się od tygodnia? Miałem przypomnieć sobie różne rzeczy, a on udaje, że mnie nie ma. Wprawdzie wiem na razie tyle, co nic, ale on i tak powinien odezwać się od czasu do czasu.

– Król? – wydzwonił komisarza z komórki.

– Martens? – zachichotał komisarz.

– Posłuchaj. Mnie nie jest do śmiechu.

– No, mów.

– Chciałem ci zadać pytanie.

– Jedno?

– Jedno bardziej ogólne, a drugie konkretne.

– Słucham.

– Dlaczego wpuściłeś mnie do tego mieszkania? Po co ci to szperanie w przeszłości?

– A drugie?

– Drugie, kto to jest Nowak?

Wykorzystując milczenie, Martens sięgnął po wino. Z petem

po Lucky Strike'u smakowało niczym stara skarpeta.

– Król, jesteś tam jeszcze?

– Jestem.

– No to co nic nie mówisz? Widzisz, moja mamusia była z Nowaków. W dodatku mieszkała kiedyś na Wschodniej. Co mam robić? Rodzice nie żyją, nie mogę ich o nic zapytać. Król, słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Powiedz mi, kto to jest Nowak. I czyje jest to mieszkanie. Bo podejrzewam, że musiałem zwariować. Albo nie było nigdy żadnej Wioletty, albo duszę kobiety od lat!

– Nowaków jest ponad dwieście tysięcy. Nie wiemy, który z nich może być właścicielem tego akurat mieszkania.

– Nie wierzę!

– Policja zaś słabo wierzy w istnienie Wioletty. Leczyłeś się u psychiatry, więc z głową masz nie wszystko porządku, chociaż Me-wa uważa inaczej. Ale pociesz się, my nie ufamy nikomu. Jednak powiem ci coś, dla świętego spokoju. Rozumiem, że dzwonisz ze Wschodniej, więc powiem ci, że w tej garsonierze bywały już różne kobiety. I przekomarzały się z takimi jak ty, właśnie na tej pieprzonej wersalce.

– W jakiej garsonierze? To domowe pielesze.

– Niech ci będzie.

Król zakończył rozmowę.

Martens zajął się wyciąganiem peta z butelki, lecz papieros rozpadał się na coraz drobniejsze kawałki. Położył się zniechęcony, zamknął oczy i odwrócił się na bok. Potem przykrył głowę gazetą, zamyślił się nad Wiolettą i zasnął.

Gruby deszcz dudnił beładnie po szybach.

Do pokoju weszła fryzjerka ze „Studia Fryzury”. Była młoda i miała na imię Wioletta. Dosiadła się na wersalkę i włączyła czarno-biały telewizor Neptun 412. Rozpoczął się program „Morderstwo”.

Dzień dobry Państwu. Nazywam się Martens i witam państwa, jak co tydzień, w programie „Morderstwo”. Dzisiejszy wieczór w całości poświęcimy sprawie zabójstwa pani Beaty Fraumann. Pani redaktor Fraumann była osobą fascynującą, podniecającą i ekstrawertyczną. Pracowała w sztuce, w kulturze i w mediach. Jednakże od zawsze mieszkała sama i ciągle pozostawała tak zwaną starą panną. Była bowiem jedną z tych atrakcyjnych panien na wydaniu, co to mogą bez końca przebierać w mężczyznach jak w ulęgalkach. Była ona także osobą zamożną, więc również dlatego nie śpieszno jej było do byle jakiego wydania się za mąż. Wszystko to wiemy od zazdro-

snego fotografa z „Dziewczyny”. Pan Połaniecki dzwonił do niej kontrolnie co godzinę i zadzwonił też przed północą. Przyszła denatka żyła wtedy jeszcze, albowiem słyszał, jak chlapała się w wannie.

Agnieszka o imieniu Wioletta przysunęła się bliżej.

W telewizji puścili inscenizację wydarzeń. Pani scenograf zadbała, żeby w wannie pieniała się piana. W pianie wylegiwała się naga kobieta. Przeglądała przemoczony tygodnik „Dziewczyna”, rozmawiając z kimś przez telefon. Równocześnie paliła papierosa za papierosem i popijała wino z butelki. Na stoliku położono bezprzewodową słuchawkę, zaś nad wanną rozciągnięto sznurek z ręcznikiem. Aktorka udająca Beatę rozpoczęła rozmowę.

Połaniecki? Tak, to ja, Fraumann. Właśnie sobie czytam i palę. Oraz spożywam wino. Prosto z flaszki. Ha! Ha! Ha! Daj spokój. Przestań! Za nikogo się nie wybieram. To i za ciebie nie wyjdę. Czy jestem nago? Ha! ha! ha! Trafiony, bo akurat chlapię się w wannie! Jestem w pianie, więc to nie jest literalne saute. Ha! ha! ha! Nie, nie ma go tutaj. Do jutra. Tak, o tej samej godzinie. Pa, pa, pa. Ha! ha! ha!

Roześmiana Fraumann sięgnęła na stolik po fajki. Wyciągnięty papieros wypadł na wodę i od razu rozkleił się na dwa krótsze i mo-

kre.

Fryzjerka położyła Martensowi rękę na rękę.

Tymczasem z głośnika dobiegł narastający odgłos kroków. Słysząc było niepokojące stukanie obcasów. Zbliżały się wolno, ale wyraźnie. Nagle umilkły niespodziewanie.

Fryzjerka całym ciałem przywarła do Martensa.

W telewizorze otworzyły się drzwi.

Kto tam?

Lęk w głosie Beaty-aktorki był przejmująco prawdziwy. Odruchowo zakryła piersi butelką.

Martens przyjrzał się pani Agnieszce udającej na wersalce Wiolettę. Jej biust skrywała czerwona sukienka z krempliny.

Tymczasem w łazience pojawił się facet w marynarce Martensa. Pochylił się nad kąpielą i zasłonił kąpiącą się Fraumann. Skomlące jęki przeszły w cichnące rżenie.

Fryzjerka wbiła się Martensowi biustem w przedramię.

Na ekranie plecy przestępcy odchyliły na chwilę widok na wannę. Kamera pokazała zbliżenie szyi z zaciśniętym krawatem. Ozdobiono go małą literką „M”. Morderca wyciągnął flaszkę z ręki aktorki, dopił wino do końca i z powrotem umieścił ją w dłoni ofiary. W programie dali teraz Króla przemawiającego z promptera.

Tradycyjnie zwracamy się do państwa o pomoc w rozwiązaniu

tej ponurej zagadki. Tej jakże wstrząsającej historii zabójstwa naszej drogiej koleżanki, pani Beaty Fraumann. Czekamy na telefony, e-mesy i listy.

Wioletta-Agnieszka ściągnęła ubranie i rozłożyła się obok Martensa.

Obudził się z zimna i rozejrzył się po pokoju. Telewizor był wyłączony, a na wersalce, prócz niego, nie było nikogo. Przykrył się płaszczem i zasnął na powrót.

Kobieta siedząca obok niego była kurwą i nosiła podwójne imię Anna-Wioletta.

Na ekranie Neptuna znowu pojawił się obraz z łazienki. Na podłodze walały się gumowane pepegi, na sznurku wisiał frotowy ręcznik z różami, a na stoliku stało radio Beata. W wannie leżała naga kobieta ze słuchawką przy uchu. Scenograf magazynu kryminalnego „Morderstwo” wykonał swoją robotę dokładnie – nie czuło się wcale, że to jedynie dekoracja. Realizator włączył Martensa.

Pani Fraumann zabawiała się czasami jak kurwa, a czasami jak dziewczyna z sąsiedztwa. Czyli tak samo. Wiemy to od fotografa z „Dziewczyny”. Bowiem co godzinę dzwonił do niej kontrolnie i za-

dzwonił też tuż przed północą. Denatka żyła wtedy jeszcze, albowiem słyszał, jak chlapała się w wannie.

Menelka wpatrywała się w ekran. Wyświetlono inscenizację wydarzeń.

To ja, Beata. Czy jestem goła? Ha! Ha! Ha! Masz rację. To znaczy nie całkiem, bo zostawili mi krawat. Więc nie jestem zupełnie do rosołu. Kto zostawił? Ha! ha! ha! Połaniecki, nie bądź taki zazdrosny! Najpierw grałam w rozbieraną butelkę. I, oczywiście, przegrałam. Przegrałam, bo chciałam! A wtedy oni też szybko przegrali i polali mnie winem. Zalali mi cycki i ufajdali przy tym krawat. Więc teraz siedzę w wannie i zmywam to wino z krawata i z cycków. A potem... Co będzie potem, tego nie powiem, bo sama nie mam pojęcia. Ale podejrzałam, co chciałam. Więc wiem, że będzie gorąco. Połaniecki! Jestem napalona na obu. Ha! ha! ha! Nie, nie, nie! To nie Martens. Martens śpi teraz na wersalce na Wschodniej. W łazience go nie widziałam od dawna.

Aktorka wychyliła się z wody. Piersi Fraumann były mniejsze od tych Wioletty sprzed lat, ale i tak patrzyło się na nie z przyjemnością.

Martens spojrzął na kurwę. Jej cycki zlewały się z brzuchem.

Tymczasem w telewizorze Beacie-aktorce wypadł papieros i natychmiast poszedł pod wodę. Za chwilę gdzieś z tyłu dobiegł zło-wróźbny dźwięk kroków.

Prostytutka chwyciła Martensa za rękę.

Kroki stawały się coraz głośniejsze. Zbliżały się powoli, żeby się ostatecznie zatrzymać przed drzwiami. Beata uniosła się w wan- nie, ukazując na chwilę biust.

– Za małe ma cyce. Za małe... – zajęczała menelka.

Na ekranie pojawił się facet w samych tylko skarpetkach. Był to niewątpliwie on sam, czyli Martens. Jęk duszonej Beaty ucichł w rżężącym finale.

Wioletta-kurwa przestała nareszcie stękać.

Tymczasem sylwetka Martensa-zabójcy przesunęła się w tył, a na wizję dali zbliżenie na obrzękniętą szyję z zadzierzgniętym czer- wonym krawatem. Od spodu miał, wyhaftowane kiedyś przez Mewę, złowieszcze maleńkie „M”.

Obudził się przerażony. Było zupełnie ciemno.

Zwłókł się z wersalki i poczłapał zapalić światło. Dopił powoli resztkę wina, wypluł peta, zapalił nowego Lucky Strike'a i zaczął przeglądać gazetę. Wprawdzie już ją przeglądał przed dwoma dnia- mi, ale wówczas jedynie przeleciał tytuły. Teraz postanowił ją rów-

niez poczytać. „Express Ilustrowany” donosił: Amnezja może dotknąć każdego.

Czy amnezja może dotknąć każdego? – pytamy panią doktor Janinę Kowal z Poradni Zdrowia Psychicznego przy ulicy Nowotki. – Oczywiście, że może. Są różne rodzaje amnezji. Ale najciekawsza jest amnezja dysocjacyjna. Nie poprzedzona urazem lub chorobą, spowodowana jest często alkoholem lub stresem. Czasami, zdawałoby się normalne osoby, nagle porzucają swoje życie i znikają, nie przypominając sobie, kim są, skąd pochodzą ani jak wygląda ich przeszłość. Dla ludzi postronnych funkcjonują natomiast prawidłowo. Taka amnezja jest przedzielona okresami pełnego zachowania pamięci. To częsty motyw w literaturze, ale zdarza się także w życiu. Pewien alkoholik, redaktor, 52-letni mąż i ojciec, po stresującym nagraniu opuścił budynek telewizji i zniknął. Sześć miesięcy później został odnaleziony w schronisku dla bezdomnych w Krakowie. Zupełnie nie wiedział, kim jest.

Rzucił gazetę za piec i wystukał numer do Króla.

– Martens, jestem zajęty.

– Pewnie sprawdziłeś, że leczyłem się na amnezję.

– Sprawdziłem. I pamiętam z autopsji. Nagłe utraty pamięci, zawsze poprzedzone pijaństwem. Nie dzwoń do mnie, bo nie mam

czasu.

– A niech cię!

Zajrzał do biurka i jeszcze raz przejrzał swój wypis szpitalny. Wyciągnął teczkę na blat. Na spodzie przyklepiono metkę z papieru:

Teczka na wiązanie z klapami, Spółdzielnia Rzemieślnicza Branży Introligatorskiej Drzewnej i Różnej INTRODRZEW Katowice, ul Warszawska 10, Zakład czł. nr 16, Art. Teczka z Klapami, Data prod. Marzec 1973 A4 Gat I Znak KT -KT 1 Dec. Wro. IV-5117/62/71 z dnia 24.2.1973

Martensowi zachciało się sikać. Otworzył drzwi do łazienki. Było ciemno i zimno. Nic nie widział, prócz małego fragmentu odbijającego światło z pokoju. Łazienka przypomniała mu panią Fraumann i odganiane od tygodnia pytania.

Kto ją zabił? I po co? To drugie było bardziej istotne. Bo nie dusi się bez konkretnych powodów. No więc: dlaczego ktoś zabił tę Fraumann? Czy Śledziodorsz na spółkę z fryzjerką, z niewiadomej przyczyny? Czy Połaniecki z odtrąconego uczucia? Czy brat Wioletty, który się pojawił po latach? Czy może ten sąsiad? Nie wiadomo nawet, jak ten stary wygląda. I skąd ona się wzięła na Wschodniej? Chyba, że zaciukał ją ktoś dla forsy i biżuterii. Szedł za taką, nietutejszą z wyglądu, nabrał ochoty, obnażył i zgwałcił. A potem obra-

bował, udusił i na wszelki wypadek utopił. Nie. Wersja z bandytą nie trzymała się kupy. Bizuterię miała na sobie. Mogła zginąć dla forsy, bo to bywa motywem zbrodni, jednak ktoś musiał to uknuć. Ale kto? Kto i po co? To nie ma sensu. Nie myśl już o tym, Martens, nie masz pojęcia o faktach. Tutaj przewagę zawsze będzie miał Król. Ale przecież nie muszę się ścigać z policją!

Poszedł się wysikać do kuchni.

– Będiesz gotować? Przydybał Wioletkę przy piecu.

– Nie jestem głodna.

– To co robisz?

– Oglądam garnki.

Poodrywała nalepki z denek; zostawiła jedną, na tym najmniejszym.

– Ale bardzo lubię się kochać.

– Ze mną?

– Wyłącznie z tobą.

– To ci na pewno wystarcza?

– Na pewno.

– Wspaniale.

Ale nie było tak dobrze. Ostatnio sam też nic nie jadł, bo całą forszą przeznaczali na wino i fajki.

Poczekał, aż ściekną ostatnie kropelki moczu. Zakręcił kran, powrócił na wersalkę i znowu zaczął przeglądać „Express”.

Pierwsze Ogólnopolskie Biennale Amatorskiej Fotografii Artystycznej w Łodzi. Wśród kilkudziesięciu wystawionych fotogramów dominują prace z Warszawy. Nasze miasto reprezentuje zdjęcie pod tytułem Wioletta. Przypominamy, że jego autor jest laureatem Wystawy Fotografiki Członków Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego.

Spontaniczna reakcja na apel stacji krwiodawstwa.

Na ilustracji pod tym ostatnim tekstem widniała twarz młodego chłopaka. Gdzieś już musiał go widzieć.

Spontaniczna reakcja na apel Stacji Krwiodawstwa. Dramatyczna walka o życie 22-letniego żołnierza. Sytuacja była krytyczna – powiedziała nam dr Jadwiga Kobza. – Poszukiwana grupa krwi ORh- należy do specyficznych. Szpital zażądał aż kilku litrów. Była niezbędna do szybkiego przeprowadzenia operacji i ratowania życia 22-letniego pacjenta S.N. Uległ on wypadkowi róg Nowotki i

Wschodniej. Prowadzona przez niego Syrena uderzyła w słup trakcji tramwajowej, a siła zderzenia była tak wielka, że wyrzuciła kierowcę na chodnik. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, iż ofiara wypadku miała się żenić na drugi dzień...

Martens zaczął przemierzać pokój. Ten S.N. musiał być jego Nowakiem. Czyli właścicielem tego przekłętego mieszkania!

Sztachnął się Lucky Strike'm, zapalonym od strony filtra. Poczł, że płoną mu żołądek i płuca.

– Kurwa mać!

W każdej paczce wkładał jeden papieros odwrotnie i wypalał go zawsze na końcu. Podobno przynosiło to szczęście.

„Express” nosił datę wypisu Martensa ze szpitala, zatem wypadek wydarzył się w przeddzień. Pamiętał, czekał akurat przy windzie, gdy tamtego przywieźli na neurochirurgię. Przypomnił mu się teraz jak żywy. Nowak ledwo się mieścił na wózku, a jego zielony żołnierski mundur pokrywały brunatniejące plamy od krwi.

Więc jej brat nazywał się Nowak. Sąsiad miał rację, mówiąc, że poszedł do wojska. A mieszkanie nie było kolegi.

Zaciągnął się dwa razy na jednym oddechu.

Wioletta... Wioletta Nowak. Szkoda, że tak pospolicie.

I nagle go oświeciło. To nie mógł być brat. To musiał być narzeczony! Dlatego nie mogliśmy go razem odwiedzić. Przygotował

mieszkancko, kupił na nową drogę życia meble. A potem spowodował wypadek i leżał w szpitalu. A ona się, gówniara, puściła! Ze mną się puściła, z Rafałem Martensem! I vice versa. Ja na ten tydzień zupełnie zapomniałem o Mewie.

Uzmysłowił sobie, że gdzieś jeszcze musiał go widzieć. Wystukał numer do Króla.

– Nie mogę odebrać telefonu.

– Odbierz.

– Proszę zadzwonić później – upierała się mechaniczna sekretarka-idiotka.

Widział go na zdjęciu w restauracji „Alina”. Zadzwonił do komisarza do domu.

– Tu Król.

– A tu Martens.

– Proszę się nagrać, oddzwonię.

Wyrzwał na zewnątrz, spojrzął w okna naprzeciw. Blondynka w czerwonej sukience odsłoniła zasłony i bawiła się sznurem.

Po trzech godzinach na jego stoliku wciąż jeszcze tkwiły resztki golonki.

Odsunął talerz na środek. Usiadł i przyjrzał się zdjęciom. Ważne było tylko to jedyne, małe na środku – kiedyś kolorowe, dzisiaj

już tylko wyblakłe. Przedstawiało cztery osoby, wśród których jedna to na pewno był Nowak. Zdjęcie zrobiono w kuchni, bez wątpliwości w „Alinie”. Bo takiego syfu, takich rupieci, na pewno nie było nigdzie indziej, w żadnej restauracji na świecie.

Fotografia przedstawiała zdezelowany piec, wymurowany na-przeciw wejścia na salę. Na nim, pod brudnymi garami, siedziała natapirowana blondynka-idiotka. Była ubrana w bistorową czerwoną sukienkę. Obok stali dwaj długowłosi młodzieńcy oraz jeden ogolony na zero. Ten ogolony był bez wątpienia Nowakiem.

– Pani Olszak.

– Tak, panie Martens.

Przytrzymał ją, usadził na krześle.

– Niech pani będzie ze mną szczerą. Jak na spowiedzi.

Popukał po osobach na zdjęciu.

– Po kolei, od lewej.

– Nic nie wiem.

– Od dawna zbiera pani te fotki?

– Od niedawna.

– I przybija do ściany?

– Nic nie powiem.

– Mów, wstrętna babo.

– Nie ma mowy.

– Bo ci naślę sanepid!

Zerwał fotografię ze ściany.

– Sanepid?

– Sanepid i inne kontrole!

– Oddawaj!

Wyskubała kawałek.

– Mów prędzej, bo szkoda czasu!

– No dobrze. Ten z prawej to Nowak. On był stąd. Zaś dziewczyna pracowała tu i miała na imię Wioletta..

– A na nazwisko?

– Nie wiem. Nie mam pamięci do nazwisk.

– Z fryzury była bardzo podobna do pani.

– Wszystkie robiłyśmy się wtedy na Villas.

– Oraz wszystkie używałyście perfum „Konwalia”. Czy Nowak to był brat tej Wioletty?

– Poproszę o następne pytanie.

– Pierwszy z lewej.

– Paluch, sąsiad Nowaka.

– I jeszcze ostatni.

– Ten ostatni to Krzak.

Który podejrzewa, że coś chyba zwąchałem – pomyślał.

– Krzak i fryzjerka to siostra i brat?

– Paluch, Nowak i Krzak – nie podjęła tematu. – Wszyscy trzech poszli razem do wojska.

– A Wioletta? Co zrobiła, gdy się zwolniła z kelnerstwa?

– Nic nie zrobiła, po prostu dawała każdemu dupy. Dawała dupy każdemu, kto ją o to poprosił. One wszystkie dawały wtedy dupy za sikacza i fajki.

– A dzisiaj za kosmetyki i stringi.

– Było, minęło. Może i tak.

– Ile? Ile lat minęło?

– Trzydzieści. Pamiętam, Nowak miał wtedy wypadek.

– I co dalej?

– Nic. Po roku wyszłam za Olszaka i przenieśliśmy się zaraz do domku na Stokach. Ale oni tydzień temu byli w „Alinie”. Wszyscy tu byli, panie Martens. We trzech! Jednak mnie jakby nie dostrzegali. Szeptali tylko, pili i żarli golonki. Na koniec Nowak zawołał, żeby płacić. Otluszczony, łysy i stary. Taki Nowak – nie-Nowak, posunął się z nich wszystkich najbardziej. Podobno pracuje w Węgorzewie, w jakimś zielonym garnizonie.

– A mieszkanie?

– Trzyma je, żeby tu wrócić.

– Po co?

– Zawsze się wraca na starość.

– Poda pani dwa wina?

Ujęła go filozofią tego ostatniego stwierdzenia. Zapalił nowego Lucky Strike'a, chociaż nie skończył jeszcze poprzedniego.

– Panie Martens, całe wino już wyszło. Niech pan tu więcej nie wraca.

– Czesze się pani w pobliżu?

Przyjrzał się jej fryzurze w drobne loczki w platynowym, sztucznym kolorze.

– Na przykład u Agnieszki, koleżanki ze Wschodniej?

– Po co panu to wszystko?

– Czy wyszła pani za mąż za pośrednictwem biura matrymonialnego z Piotrkowskiej?

– Proszę już iść.

– Co się stało z Wioletką?

– Nie wiem, niech pan pyta Agnieszkę.

– Czy Wioletta to pani?

Wyciągnął z marynarki sto złotych i położył na stole. Wsunęła banknot pod talerz.

Martens usadowił się naprzeciwko Jareckiej, Mewa przysiadła się nieco z boku. Po raz pierwszy przebywali w pubie w tym składowisku.

– Dzień dobry. Co podać?

Barman, nie oczekując odpowiedzi, sięgnął po czerwone wytrawne, bowiem nigdy się dotąd nie zdarzyło, żeby spożywali tu in-

ne.

– Nie tym razem. Przynieśliśmy ze sobą.

– Można?

– Proszę.

Postawił przed nimi trzy błyszczące kieliszki. Ze zwężającą się ku górze pękatą czaszą i średniej długości cienką nóżką.

– Takie będą w sam raz.

Rzucił okiem na flaszkę.

– Te wyższe nadają się najwyżej do burgunda.

Napełnił kieliszki winem, do przepisowej, dwie trzecie wysokości.

– Terra Quente Colheita, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewięć. Zawartość alkoholu dwanaście i pół procent
– wyrecytował z nalepki.

– Zmarzło.

– Postoi, to się ogrzeje.

– Nie ma mowy.

– Dwadzieścia stopni.

– Szesnaście.

– Trudno, nie będziemy się spierać. Ale poniżej, to by już było świętokradztwo...

Przyjrzał się z uwagą butelce.

– Wspaniały kolor. Mogę?

Nalał sobie, ogrzał kieliszek dłonią.

– Jaka harmonia! Łaskawe dla podniebienia i szczególnie bogate w garbniki.

Wciągnął powietrze znad wina.

– Delikatny aromat, i jednocześnie zapach południa.

– Skąd pan wie takie rzeczy? – zachichotała Jarecka.

– Nie wiem. Trochę przeczytałem, a trochę zmyśliłem.

– Na zdrowie.

Mewa dołała wszystkim do pełna. Wypili, zapalili, posiedzieli w milczeniu.

– No to na druga nóżkę.

– No to na drugą.

W kilka minut opróżnili całą butelkę. Zapalili znowu, a pan Janek przyjrzał się paczce.

– Lucky Strike. It's toasted. Substancje smoliste dziesięć miligramów na papieros, nikotyna zero osiem miligrama, tlenek węgla dziesięć.

Martens zamówił dwa wina, jak zawsze, plus dzisiaj takie samo dla Jareckiej i Mewy. Pan Janek obsłużył się identycznym.

– Jak śledztwo?

– Nijak.

Martens wypił z obu kieliszków.

– Na szczęście nie jestem śledczym.

– Proszę państwa, coś mi przyszło do głowy – wtrącił się barman. – A może ta Beata wypadła z obiegu. Może jej piętnaście minut, które tak rozkwitało przez ostatnie dwa lata, dobiegło właśnie do końca. Może ją skreślili, tam w Niemczech, a listę aktualnej pierwszej dziesiątki, już bez niej, wywiesili w redakcji, zaś Fraumann nie odnalazła siebie w spisie wybranych i przeżyła załamanie nerwowe. Stąd ta wyprawa do Łodzi. Myślała, samozadowolona ważniaczka, że ma na siebie bezterminową gwarancję, a tu bach! wyszło, że każdy, niestety, ma jakiś termin. I jej termin właśnie się skończył.

– Samobójstwo?

– Och nie, samobójstwo to grzech. Raczej morderstwo. Oczywiście, przez samobójstwo!

– Idiota.

Martens pogrzebał w marynarce, wyciągnął zdjęcie z „Aliny”.

– To moja Wioletta.

– Ta na piecu?

– Ta sama. W czerwonej sukience.

– Ładna.

– Ładna, nieładna, co to za problem. Najważniejsze, że wiemy, jak wyglądała.

Mewa spojrzała niewinnie na męża.

– Przyjąłem, że była podobna do Villas. I rzeczywiście wyglądała tak samo.

– Jak Villas – powtórzyła Jarecka.

– Jak Villas – zgodziła się Mewa.

– Kiedy znalazłem tę fotkę, to jakbym ją samą odnalazł. Wzruszyłem się. Ale natychmiast mi przeszło. Przestała mnie nagle obchodzić.

Beata mogłaby być córką Wioletty i któregoś z tych dupków ze zdjęcia. Albo moją... – zadumał się nad niewiadomą sprzed lat. Przypomniał sobie zdjęcie znad wanny, wyrwane trzydzieści lat temu z legitymacji i podarowane Wioletcie przy pierwszym spotkaniu. Znowu poczuł związany z nim fałsz.

No jasne! Nie było żadnego zdjęcia w łazience. Wioletta schowała je wpiern za biustonosz, a zaraz potem wyleciało pod ławę. I leżało tam cały czas – zatryumfował.

Zaciągnął się mocno, zaszumiało mu w głowie. Od wczoraj był na zmianę to zawiedziony, to wściekły, bo odnaleziona na zdjęciu dziewczyna nie czyniła na nim najmniejszego wrażenia.

Tak jej szukałem, wyglądałem, tak przeżywałem wspólnie spędzone chwile. I nic. Zupełnie nic. Czyżbym w realu był wypalony i stary, a żywił się tylko wyobraźnią? – zastanowił się nad empatią. To straszne. W jednej chwili straciłem dla niej całe zainteresowanie. Jedynie, co mnie ciekawi, to jak wygląda obecnie. A i to nie za bar-

dzo.

Zaciekawili go natomiast panowie. Przez całą noc dręczyło go, kim są dzisiaj i na ile zdążyli się zmienić. Oraz jaki mają związek z morderstwem.

Na przykład Nowak; czy był bratem, czy narzeczonym? Dalej Krzak, i ten trzeci, nie pamiętał nazwiska, jakieś takie na P. Wszyscy trzej zaciągnęli się jednocześnie do wojska. Wszyscy tworzyli kiedyś paczkę i różni dziwki w mieszkaniu Nowaka. A kilkadziesiąt lat później, w tym samym mieszkaniu, ktoś udusił Beatę. Więc, być może, zrobił to któryś z nich. Tylko z jakiego powodu, przecież nie mogli jej znać. Czy coś się wtedy nie stało, a powinno się stać i w końcu się dokonało trzydzieści lat potem? Wszyscy spotkali się niedawno w „Alinie”. W dniu morderstwa, tylko przed, czy już po? Zaś Wioletta nie ma tu nic do rzeczy.

Martens przestał się przejmować minioną miłością, za to odnalazł się w roli śledczego. Zrozumiał, że rozwiązanie zagadki tkwi głęboko w przeszłości i że morderca prawdopodobnie leży przed nim na blacie.

– Poznajecie kogoś?

Jarecka i Mewa pochyliły głowy nad zdjęciem.

– Dzisiaj to są zupełnie inni ludzie, głównie wyłysiałe grubasy. Nowak, Paluch i Krzak.

Napili się, zapalili, usiłowali skoncentrować uwagę. Ale było

już widać, że wypili za dużo, przynajmniej Mewa i Martens. Jedynie Jarecka stawiała jeszcze jakiś opór, ale ona nigdy nie poddawała się winu bez walki.

– Ten z prawej nazywa się Nowak. Wydaje się być najważniejszy. Stosunkowo łatwo można go połączyć z Beatą, bo zamordowano ją w jego mieszkaniu. Z drugiej strony podejrzewam też Krzaka, głównie ze względu na krawat.

– Ten z literką? – zainteresowała się Mewa.

– Ten sam. Wiesz może coś o tym?

– Nie mam pojęcia.

– To dobrze. Co o tym myślicie?

– Na pewno coś wymyślimy, Rafałku.

Pan Janek przeszedł z redaktorem na ty.

– Myśl, Jasiu, myśl. Ale prochu nie już wymyślisz. – Sfraternizował się także Martens.

– No bo proch już wymyślili Chińczycy. Ha, ha, ha! Muszę ci przyznać, że Wioletta to była suka, jakich mało, więc rozumiałe, że się musiałeś zakochać.

– Jasiu, chcesz w mordę?

– Rafałku, czy ona była ci wierna?

– Przez pierwszy tydzień nigdy się nie rozglądamy na boki.

– Miłość jest ślepa – wtrąciła się Mewa.

– Podobno – zgodził się barman.

– Z wiekiem coraz trudniej o miłość – włączyła się do rozmowy Jarecka. – Pojawiają się na przykład pytania, kim jest ta druga osoba? I czego chce? Ale życie i tak pisze zawsze swój własny scenariusz. Przeważnie odwrotny.

Popatrzyła na Martensa z ukosa.

– Prawda? – kopnęła go w kostkę.

– Fraumann to była kurwa – na wszelki wypadek zmienił temat pan Janek. – W „Łodzi Kaliskiej” kilku ją znało.

– Kto konkretnie?

– Połaniecki, na przykład.

– Tyle to i wiemy bez ciebie – obśmiały go Jarecka i Mewa.

– Siedzi i pije. W drugiej sali – nie poddawał się barman.

Jarecka zniknęła w pomieszczeniu za drzwiami.

– Rzeczywiście. Połaniecki tam siedzi.

Wróciła, szturchnęła Martensa torebką. Udał, że go to nic nie obchodzi.

– Martens, Połaniecki tam siedzi.

Mewa kopnęła go w kostkę.

– Odwal się. Co mnie obchodzi ten palant.

– W taki razie zegnamy panów.

– Do widzenia.

– Życzymy wesołej zabawy.

- Idiotki.
- A szczególnie Jarecka.
- Dostawiała się do mnie. Przy Mewie.
- Nie zauważyłem. Ale dobrze, że sobie poszły.
- Pewnie, że dobrze.
- Wracaj za ladę. A ja idę pogadać z tą świnią.

Przy stoliku pod oknem tkwił facet z sińcem pod okiem i rozciętą spuchniętą wargą. Obracał w dłoniach okulary przeciwsłoneczne, w dizajnie zapamiętanym z „Popiołu i Diamentu”.

Kryminalni to snobi – Martens przywołał w pamięci Cybulskiego. – Dzięki temu można ich z miejsca rozpoznać. Swoją drogą, Król mógłby dać sobie spokój.

Podszedł do gościa na miękkich nogach i stanął nad nim w rozkroku.

– Odczep się pan ode mnie.

Usiłował wyrażać się powoli i w miarę dokładnie.

– Coś pan za jeden?

– Olszak.

Olszak uśmiechnął się do Martensa szeroko.

– Olszak? Lepiej by było 07. Albo 007. Oczywiście, z licencją

na zabijanie.

– Olszak to moje nazwisko. A na imię mam Ginter.

Bardzo dziwne to imię – zastanowił się Martens. I facet jakiś taki plastikowy, nosi się, jak Beata. Pasują do siebie.

– Czy jest pan krewnym pani Olszak z „Aliny”? – skojarzył tablicę nad barem.

– A co to pana obchodzi?

– Właściwie to nic. Więc idź pan, panie Olszak, do diabła! I przestańcie mi wchodzić w drogę.

– Jak sobie szanowny pan życzy.

Potrząsnął kluczykami od auta, uklonił się grzecznie i poszedł.

W naszym pośpiesznym życiu co krok spotykamy osoby, które są tylko żalostną kopią kogoś kim chciałyby być, bo nie mają czasu ani chęci, żeby być sobą po prostu – pomyślał Martens. A ten Olszak jest tego klinicznym przypadkiem.

Tymczasem Połaniecki, kuśtykając, przemierzał salę. Powoli, w tę i z powrotem. Wyraźnie powłóczył lewą nogą, jakby sztywną i krótszą. Mruczał coś przy tym pod nosem i zaciągał się gwałtownie Marlboro. Martens zaszedł go chwiejnym krokiem i jednym ruchem usadził na wyściełanej kanapie. Przy okazji przewrócił się na podłogę.

– Co pan robi?

Połaniecki zaniósł się szlochem.

– Robię, co mi się żywnie podoba! – zabelkotał Martens z emfazą.

– Jestem inwalidą. Wojskowym.

– Zamknij się. Bo ci przetrączę drugiego kulasa!

Obaj pozostawali na swoich miejscach, w półleżących pozycjach.

– Marlboro...

Martens obejrzał peta, który spadł mu prosto przed nos.

– Takie pretensjonalne gówno palą wyłącznie dezodoranty z Warszawy.

– Ja nie jestem z Warszawy.

– Ale zamordowałeś Beatę!

– Ja?

– A kto? Święty Mikołaj? Zakochałeś się, gnoju, a ona dała ci kosza. Bo nie masz w sobie niczego, czego potrzebują takie laski, jak Fraumann. Mógłbyś być jej ojcem, a nie jakimś sparszywiałym kochankiem!

– Oznajmiła mi, że jest w ciąży.

Zwalił się obok Martensa.

– Popatrz sobie...

Wyciągnął zza swetra „Dziewczynę”.

– Najnowszy numer. Dzisiejszy.

Elegancka, wielka na całą stronę fotografia, przedstawiała re-

daktor Beatę Fraumann. Leżała w pustej wannie, z zamkniętymi oczami. Prezentowała się, niczym nieboszczyk w otwartym sarkofagu. Niby wszystko było w niej, jak do tej pory, jedynie nie zgadzały się włosy. Zamiast ciemnych, długich i prostych, były utapirowane i sterzące na boki. W dodatku w kolorze platyny.

– Istna Wioletta!

Martens wytrzeźwiał.

– Już nie żyje, czy może tylko udaje?

Coś jeszcze się nie zgadzało; pierścionek na prawej dłoni. Dwa splecione serduszka ze złota. On jeden nie pasował do ozdóbek z tandetnego, czarnego plastiku.

– Złoty pierścionek, złoty pierścionek na szczęście – zanucił, fałszując.

– Jaki pierścionek? – nadstawił uszu Połaniecki, też jakby trzeźwiejszy.

– A, jeden tam taki...

Martens znowu poczuł się źle. Nie mógł opanować rzeczywistości przed sobą. Alkohol pustoszył mu resztki mózgu odpowiedzialne za prawidłowe widzenie.

– Rozebrała się sama, czy jej pomogłeś, zanim ją zgwałciłeś i udusiłeś! I co zrobiłeś z łachami?

Próbował skoncentrować wzrok na czymkolwiek, ale wszystko powielalo się, pływało bez sensu. Tymczasem Beata-Wioletta dawała

mu z wanny znaki.

– Zrobiłem jej to zdjęcie w dniu śmierci...

Połaniecki znów zaniósł się płaczem.

Martens zamknął oczy, wszedł do wanny i przytulił się do Wioletty. Jej ciało było sztywne i lodowate.

– Nie żyje – stwierdził ze smutkiem. – Ale po co się prze-farbowała przed śmiercią?

– Widać postanowiła umrzeć blondynką.

– Widocznie.

Martens i Fraumann leżeli nago bok w bok. Na niewygodnej wersalce, w przykrytym granitową płytą, przestronnym grobowcu pani doktor Heleny Fedorowicz. Mosiężne litery nad nimi układały się w napis: „Wioletta i Rafał – Kochankowie ze Wschodniej”.

– Jako szatynce też jej musiało być dobrze.

– Beata, to była suka. Takie bez przerwy muszą coś zmieniać. Jak nie włosy, to wargi. Jak nie biust, to pośladki. Co chwilę przyklejała sobie inne paznokcie. I drapała nimi, obcierała się bezustannie o tych bezczelnych gnojów, gówniarzy bez mózgu i forsy. Nie żałowała sobie męskiego mięsiwa, w dodatku dużo młodszego od siebie. No więc w końcu miałem jej dosyć.

– Jaka Beata? Kogo miałeś dosyć, palancie? Jasiu!

Nie mógł już dłużej wytrzymać. Myśli krzyżowały mu się i płątały we wszystkich kierunkach. Chciał się natychmiast napić, wie-

rzył, że to pomoże. Że pomoże wyłowić coś sensownego z bełkotu tego połamanego Połanieckiego. Ale barman nie przyszedł. Za to pojawił się litościwy Morfeusz.

Za chwilę cały pub „Łódź Kaliska” wypełniło głębokie, chaotyczne chrapanie.

Martens obudził się w innym miejscu.

– Musiałem cię przeciągnąć na górę. Przepraszam, ale klienci zaczęli się schodzić.

– Dziękuję.

Siedzieli z panem Jankiem przy stoliku na pierwszym piętrze, w miejscu intymnym, we wnęce na końcu sali. Przed nimi, w wielkich pękatych kieliszkach, stało wino – portugalskie czerwone wytrawne.

– Połanieckiego już nie ma?

– Godzinę temu przyjechał po niego kierowca. A mnie zmienił kolega przy barze.

– Od dawna tu jestem?

– Od niedawna.

– Niedawno to było w siedemdziesiątym trzecim. Miałeś myśleć. Wymyśliłeś coś może?

– Ten z lewej to prawdopodobnie Dominik.

– W siedemdziesiątym trzecim... Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata.

– A ja najwyżej dwa.

– W siedemdziesiątym trzecim Polska zremisowała na Wembley. Wcześniej odwiedzili nas Breżniew i Rockefeller. Dwudziestego drugiego lipca zaczęli robić Małe Fiaty. Potem wybuchła wojna z Żydami. Tłusty czwartek wypadł wtedy pierwszego marca.

– A prima aprilis pierwszego kwietnia.

– Poza tym umarł Pablo Picasso. Studiowałem wówczas biologię, ale bardziej, niż *Drosophila Melanogaster*, interesowały mnie kobiety i sztuka.

Martens zapalił Lucky Strike'a, napił się wina. Barman przyglądał się zdjęciu.

– Ten z lewej to Dominik. Na pewno.

– Nakręcili też kilka filmów. „Szczęśliwy człowiek”, „Wielkie żarcie”, „W pustyni i w puszczy”. Ta mała Nelly Rawlison musiała pochodzić z południa, czyli, wybaczyć, była jednak dość brzydka.

– Tak dokładnie to wszystko pamiętasz?

– Na starość przypomina się wiele rzeczy, niepotrzebnych przeważnie, choćby postacie z seriali. Janosik. Kloss. Stare miał dzinsy, starą koszulę, w dziurawych kamaszach szedł...

Zanucił piosenkę z „Przygód Tołka Banana”.

– I jeszcze „Ciemna Strona Księżycy”. Oraz ojciec alkoholik,

odziedziczyłem po nim Doxę na piętnastu kamieniach, nigdy jej nie nakręcał...

Spojrzał na nieruchomy sekundnik.

– Nosił ją wyłącznie dla szpanu. Jak ja.

Zdjął zegarek z nadgarstka i podał go barmanowi. Zmatowiała czternastokaratowa koperta, z numerem seryjnym 015931. Lekko zżółkły cyferblat z kreseczkami w miejsce godzin i liczbami znaczącymi minuty i sekundy. Wytarte pokrętko naciągu sprężyny, porysowane pęknięte szkiełko. Doxa starego miała wartość rodzinnej pamiątki – w przeliczeniu około trzystu dolarów.

– No i „Wesele” Wajdy. Pamiętam, bo sam miałem wtedy wesele. W siedemdziesiątym trzecim ożeniłem się z Mewą, a miesiąc przed ślubem zakochałem się w Wiolecie.

– Właśnie, a propos Wioletty. Usiłuję ci coś powiedzieć. Ten z lewej, to na pewno Dominik.

– Dominik?

– Dominik. Fotograf. Casanova spod baru.

– Już wiem! Śluby, chrzciny, komunie, rozwody, pogrzeby, et cetera, et cetera. Gablota „Foto-Dominik”. Dwie kamienice ode mnie.

Piotrkowska koła skacowanego Martensa późnojesiennym

słońcem i ciszą.

Przyszedł mu na myśl „Piękny Listopad” z Giną Lollobrigidą i leniwą muzyką Ennio Morricone. Na niebie nie było prawie chmur, no, może pojedyncze cirrusy czy cirrostratusy. Zwiastowały pogodę. Mimo temperatury poniżej zera wcale nie odczuwało się zimna. Jedynie w zacienionych zakamarkach przy krawężnikach mieniła się cienka warstewka lodu. Kostki Pomnika Łodzian Przełomu Tysiącleci lśniły detalami wypolerowanych podeszwami tabliczek. Nasłonecznione zachodnie elewacje kamienic wydawały się, jak z pocztówek. Na całej ulicy panowała atmosfera sympatycznej, leniwej bez troski. Po prostu chciało się żyć.

Martens wyszedł przed bramę. Już skręcał w lewo, kiedy odezwał się kac. Chciał sięgnąć po Terra Quente, ale przypomniał sobie, że Mewa odebrała mu przed wyjściem butelkę. Trudno. Zrobił w tył zwrot i udał się do „Łodzi Kaliskiej”. Przebiegł na czerwonym świetle przez Nawrót i, przeganiany klaksonem osiemdziesiątki trójki, zatrzymał się, żeby zapalić. Na ulicy było bezwietrznie i cicho. Żadnego przeciągu, nawet najmniejszego powiewu. Można było spokojnie popalać.

Trzy mocne podwójne machy przywróciły mu kontrolę nad ciałem. Teraz jeszcze tylko dwa wina i dotrwa spokojnie do jutra. Miał nadzieję, że przeżyje ten dzień bez abstynenckiej uporczywej udręki.

Łodzianie kontestowali robotę i upajali się aurą. Bezrobotni rikszarze smutno kiwali się na siodełkach, bowiem wszyscy ich potencjalni klienci postanowili poruszać się pieszo, albo wcale nie chodzić. Jedni snuli się leniwie i bezstresowo Piotrkowską, inni wylegiwali się na cokołach otaczających drzewka i klomby. Przytulone pary, rozbawione maluchy, dostojnie kroczące staruszki; wszystko to składało się na widok, niczym z malowideł Watteau. Martens pomyślał o zimie, o Gubałówce zapamiętanej z dzieciństwa. Skąpo odziani wczasowicze wylegiwali się na leżakach pod górną stacją kolejki i opalali, pomimo śniegu i mrozu.

Brama przed McDonald'sem prowadziła w podwórko łączące posesje sto czternaście i sto szesnaście. Miejsce na samym środku zajmowała odnowiona, zdobna w kolumny z kapitelami, kiedyś synagoga, a dziś budynek przeznaczony na potrzeby artystów. Galeria nazywała się „Atlas Sztuki”.

„Roman Opalka 1965/1 $\rightarrow\infty$ ” – witał widzów transparent zawieszony na ukos nad wejściem. Wnętrze podzielono na dwa ogromne, wysokie na wiele metrów pomieszczenia. Na wystawę składało się siedem prac wyeksponowanych w specjalnie zbudowanym z tej okazji tak zwanym oktagonie – bryle geometrycznej o kształcie regularnego ośmioboku. Na siedmiu ścianach wisiały obra-

zy przedstawiające namalowane kolejne liczby, zaś ósma była, zgodnie z ideą, otwarta na nieskończoność. W sali obok eksponowane były fotograficzne autoportrety Opalki, dokumentujące stan jego ducha i formy po kolejnym dniu tej malarskiej matematycznej udręki. Taka surowa w formie, emocjonalnie oschła sztuka nie wywoływała w Martensie specjalnego zachwytu, więc pełen ambiwalentnych odczuć i pewną ulgą przywitał się z powrotem z Piotrkowską.

W pasażu Schillera młodzież raczyła się piwem. Postanowił się na chwilę zatrzymać. Usiadł na Ławeczce Tuwima, potarł nos spiżowego poety, wyciągnął zza pazuchy pozostawioną przez Połanieckiego „Dziewczynę” i jeszcze raz przyjrzał się uważnie Beacie. Była doskonałą kopią Wioletty.

Wracasz na scenę, moja droga – skonstatował rozdygotany. Beatę Fraumann uduszono, bo przypomniała komuś ciebie sprzed lat! To ty, moja niegdysiejsza kochanko-blondynko, jesteś jedyną przyczyną całego tego zamieszania. Dusiciel kryje się wśród facetów ze zdjęcia. Menele nie wchodzi w rachubę. A Dominik jest moim pierwszym podejrzanym.

– Do dzieła!

Ogarnęła go fala podniecenia, opanowała potrzeba natychmiastowego działania. Senny nastrój Piotrkowskiej prysł, ni-

czym bańka mydlana. Słońce znów świeciło zbyt ostro, wydobywało walające się wszędzie śmieci i obnażało poszarzałe, niemyte elewacje kamienic. Ludzie spieszyli znowu do biur, fabryk i sklepów, a rozwydrzone bachory konkurowały we wrzaskach z matkami. Łódź ponownie żyła intensywnie i szybko. Z otoczonego ozdobną balustradą balkonu sygnalista wytrąbił „Prząśniczkę”.

Dwunasta. Dwa wina i starczy. Dwa wina i stanę na nogi!

Szybkim krokiem przeszedł sto metrów i zatrzymał się przed witryną stowarzyszenia amatorów fotografów, mieszczącego się w tej samej kamienicy, co pub. Dominik i zdjęcie – przypomniał sobie o czekającej go wizycie i zaszedł na chwilę do środka.

Ściany galerii wypełnione były pracami autorstwa Inez i Andrzeja Baturo. Wystawa „Wobec Chwili” składała się z barwnych fotografii przedstawiających krajobrazy lasów i gór. Były to landszafty bardzo polskie w nastroju, liczyła się w nich wyłącznie emocja. Zaśnieżone parkowe alejki, złamane resztkami pożółkłych liści, żdzbla trawy gonione wodą potoku, panorama bieszczadzkiej doliny, wreszcie surowe i sine Tatry. Z zadowoleniem pomyślał, że sztuka może po prostu cieszyć oczy, bez wygórowanych intelektualnych pretensji – w przeciwieństwie do obrazów Opalki. Podobne w nastroju i formie zdjęcia robił także Dominik. W siedemdziesiątym trze-

ciem, podczas „Biennale Fotografii”, pokazał w tej sali pracę pod tytułem „Wioletta”. Trzeba koniecznie sprawdzić, czy owo zdjęcie jeszcze istnieje.

W „Łodzi Kaliskiej” było ciemno i cicho. Pana Janka zastępowała nieznaną nową bufetową, bez rozeznania w alkoholowych preferencjach klientów. Martens rozejrzał się po butelkach. Caliboro Reserva, Erumir Tinto Crianza, Finca Sobreno – wszystkie czerwone wytrawne. Nie wiedział, którym raczył go barman.

– Jest portugalskie?

– Nie wiem.

– Proszę poszukać.

– Nie ma.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Pan Janek...

– Pan Janek już tu nie pracuje.

Nic gorszego nie mogło go spotkać. Wypił kieliszek pierwszego z brzegu sikacza i wyszedł wstrząśnięty do głębi.

Zatrzymał się przed wejściem do bramy. Przyjrzał się gablotce

z napisem Foto-Dominik, gdzie kilka tandetnych zdjęć zaświadczało o ślubach. W podwórku, na murze prawej oficyny, odnalazł drzwi do zakładu. Otwarte lewe skrzydło z pionowym napisem „FOTO” informowało, że fotograf przyjmuje. Jeszcze tylko dwa schodki, gong wywołany otwarciem lichych drewnianych drzwi i Martens znalazł się w środku.

– Jest tam kto?

– Jestem, jestem. Proszę zaczekać – doleciało z zaplecza.

Przysiadł na krześle przed monitorem, przyjrzał się zdjęciom przy wejściu. Klasyczne atelierowe pozy, uroczyste miny idiotów. Najpierw się żenią, potem chrzczą dzieci, wysyłają je do komunii, aż w końcu się rozwodzą i mrą. A przy tym wszystkim jest obecny fotograf. Obowiązkowo. Bo przecież tak wiele osób trzeba obdarować swoim smutkiem i szczęściem – swoim odbiciem zaklętym w plastikową odpustową odbitkę.

Przyjrzał się sobie w lustrze. Potworkowata twarz, zaczerwienione oczy, zmierzwiłone resztki włosów na głowie, a na zsiniałym dziurawym nosie krople zimnego potu. Wyglądał na ostatniego menela. Poczul, jak mu mięso odchodzi od kości i spazmatycznie falują kiszki, doznał wrażenia, że zupełnie przestał panować nad doczesną powłoką. Obwisłe brwi, drżące wargi, oklapnięte policzki – bez wątplenia był chory.

Mam raka – pocił się całą noc, myśląc o zużytej wątrobie. Zda-

je się, że jestem jeszcze żywy, ale w coraz to mniejszym stopniu. I wyjątkowo obmierzły. Jednak umysł wciąż jeszcze pracuje. Przede wszystkim nie powinienem tak pochopnie rozstawać się z winem. Kiedyś miałem je zawsze na podorędziu, ale ostatnio Mewa kontroluje mnie niczym córkę. Córkę, która mimo tej całej kontroli, i tak się wydała za Franza. Za tego obleśnego starucha z nadmorskiej smażalni w Łazach.

Przerażenie nie pozwalało mu zasnąć.

– Oh, Boże... Terra wszystko uleczy! Zabrzmiało, jak „Cukier krzepi!”

– Mogę zapalić?

– A kto pyta?

– Martens.

– Proszę się poczęstować. Papierosy mam w biurku.

Gdzieś za ścianą spłynęła woda z górnopłuka w łazience. Z początkowym bulgotem, i dalej, już niczym wodospad.

– Przyszedł się pan sfotografować?

– Niestety. Zupełnie nie jestem w formie.

Lucky Strike'y w żadnym razie nie mogły zastąpić mu wina. Rozejrzał się po zakładzie. Wnętrze oświetlono od góry światłem przenikającym zza podpiętej pod sufit kalki. Tuż za wejściem tkwiły fotele z rattanu, a stara nadstawka z kredensu spełniała funkcję półki na różne podręczne drobiazgi. Na ścianie po prawej wywieszono

wzorcowe fotografie, wykonane przy okazji małżeństwa oraz, o dziwo, damskie akty. Jestem tu z powodu Wioletty – przywołał się do porządku. Przez rozchyloną do połowy kotarę widać było małe i brudne studio. Za umieszczonym centralnie obrotowym stołeczkiem przyczepiono tło ze zrolowanego kartonu, zaś miejsce od frontu zajmowały dwa solidne statywy. Dwa wielkie błyskowe światła, wyposażone w odpowiednie szyberki, ekrany i kratki. Całość, gdyby nie ta ciasnota i brud, sprawiała dość profesjonalne wrażenie.

Miejsce naprzeciw wejścia okupowała zdezelowana szafka. Na jej półkach poustawiano ilustrowane albumy, wielkie medale i pseudozłote pamiątkowe puchary, a także starą kasę liczącą – miała tu stwarzać atmosferę. Obok powieszono tak zwaną sztukę. Odbitki, wybrane z tysięcy wykonanych w ciągu trzydziestu lat, przedstawiały sympatyczne widoki z całego świata i równie miłe polskie panienki. Wiele zdjęć było mu dobrze znanych. Pewnie zdobywały nagrody, musiał je widzieć w katalogach albo w galerii.

– Proszę zaczekać, jeszcze moment... Dominik coś kombinował. Z zaplecza dochodziły piski, chichoty i szepty, jakby chciał kogoś uczyć.

Pewnie nie jest tam sam – zadumał się Martens. Pewnie utknął z jedną z pańienek w kropki i kwiatki. A może z obiema?

– Wyjdę teraz na chwilę.

– Proszę bardzo – ucieszył się Dominik zza ściany.

– I wrócę za dziesięć minut.

Martens udał się w kierunku Roosevelta. Kupił butelkę i wypróżnił ją na zapleczu. A dokładnie u koleżanki Mewy, pracującej w tym spożywcza.

– Martens, do czego ty się doprowadzasz, kretynie.

– Do niczego.

– Nie mogę na ciebie patrzeć.

– To nie patrz.

– Wybacz, ale muszę jej wszystko powiedzieć.

– To powiedz.

Był odporny na takie sądy o sobie. W dodatku wino zrobiło, co miało, i do fotografa wrócił w doskonałym nastroju.

Na starych zdjęciach widniało wiele rozebranych blondynek. Najładniejsza z nich miała imię Wioletta.

– To ona – przyjrzał się z bliska.

Wioletkę Dominika utrwalono w pozie udającej „Wenus z Urbino”. Ogólnie przypominała Fraumann z najnowszej „Dziewczyny”, tyle, że rozebraną do naga. Więc mógł się wreszcie naoglądać do syta. Wbrew przypuszczeniom, posiadała dość zgrabne nogi. Z

tego jednego zdjęcia dowiedział się o ciele Wioletty o wiele więcej, niż z tygodniowych miłosnych peregrynacji uprawianych trzydzieści lat temu na niewygodnej wersalce.

– Wystawiłem ją na Biennale, chyba w siedemdziesiątym trzecim. Przyszła z kolegą i skończyło się, naturalnie, na aktach.

– Naturalnie?

– Naturalnie. Każda musi się raz w życiu rozebrać i zapozować do zdjęcia. Przeważnie robią to dla chłopaka, ale niektóre jedynie na pamiątkę.

Martens przypomniał sobie fotografię podarowaną na pamiątkę Wioletcie. Wyrwana z legitymacji – powędrowała za stanik, potem na podłogę pod ławą, aż wreszcie na ścianę nad wanną. Nadal nie wiedział, nie rozumiał, skąd się wzięła w łazience.

– Albo nawet nie mieć żadnego zdjęcia, tylko posiedzieć nago i poczarować pana artystę fotografa. Bo sztuka od dawna jest w miarę sensownym pretekstem, żeby obnażyć się przed mężczyzną. Zawsze trzeba od czegoś zacząć.

– Sztuka?

– Powiedzmy. Nie każda się, oczywiście, rozbiera. Bo nie każda może i nie każda powinna.

– A Wioletta?

– Zniknęła.

– Ma pan na nią namiary?

– Wioletta zrobiła furorę i od razu gdzieś nam przepadła. Nie pojawiła się więcej, nie odebrała odbitek.

Martens pokazał mu fotografię z dziewczyną na piecu.

– Zna pan któregoś? Barman twierdzi, że ten z lewej to pan.

– Tak twierdzi?

Dominik wziął lupę i przejechał po twarzach.

– W czerwonej sukience to Wioletta, na pewno. Ale pierwszy z lewej bardziej mi przypomina takiego jednego Palucha. Tak, to musi być Paluch, nie mam najmniejszych wątpliwości. Przyproceedził wtedy Wiolettę, usiedliśmy, żeby pogadać, a ona, bach!, od razu się rozebrała. Bez namawiania, zupełnie bez wstydu.

Jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu.

– Paluch nazywa się Połaniecki. Taki pseudonim.

Martensowi zakołatało z wrażenia serce.

– Połaniecki nazywa się Paluch? Ten fotograf z „Dziewczyny”?

Sąsiad spod czwórki też nazywa się Paluch! – pomyślał zdenerwowany. Więc Wioletta istniała i dobrze znała Palucha.

Znała Połanieckiego.

– Jeszcze kilka lat temu tak się właśnie nazywał. Wprowadzałem go kiedyś na fotograficzne salony. Był taki zahukany, wstydził się Zorki. Bo on był, proszę pana, ze Wschodniej, a koniecznie chciał być z Piotrkowskiej...

– Więc jego marzenie się spełniło z nadstatkiem. Zaniósł go aż do Warszawy.

– Pseudonim Połaniecki przyjął niedawno.

– Kojarzy się bardziej z Uniwersałem, niż z rzeczywistym człowiekiem.

– Ma pan rację. Najlepiej brzmiałoby Paluch-Połaniecki. Szlachetnie i staroświecko. Jednak Paluch miał inne zdanie.

– A przyjaciele, dziewczyny?

– Nie wiem... – zamyślił się na chwilę Dominik. – Miał swoich kolegów, trzymali się razem... Mogę szluga?

Martens poczęstował go Lucky Strike'm.

– Podobno z tą Wioletta wciąż pili. I jak ją już spili, to różni ją po kolei – tak się wtedy przechwalał. Ale potem, jak już został artystą, przekonywał, że to nieprawda.

– Czy Połaniecki nadal mieszka na Wschodniej?

– Wyprowadził się po wystawie. Właściwie to poszedł do wojska... Może się napijemy?

Wyciągnął zza albumów starodawną litrową butelkę – bez korka i bez nalepki.

– To wermut muszkatołowy.

Nalał do szklanek.

– Sam go sporządzam. Według receptury Palucha. 15 g piołunu, 30 g kwiatu bzu, 40 g kolendry, 3 g gałki. No i wino białe wy-

trawne, cukier oraz spirytus. Pijam ten trunek, bo jest niepowtarzalny i wyjątkowy, a ja jestem po trosze snobem.

– A ja alkoholikiem.

– No to na zdrowie.

Wypili do dna.

– W siedemdziesiątym czwartym Paluch poszedł do wojska. Później nie widziałem go przez dwadzieścia lat, aż któregoś dnia niespodziewanie zapukał do drzwi. Powiedział, że miał wypadek, że przeszedł na rentę i wraca do Łodzi. Rzeczywiście kulał i w ogóle nie przypominał tamtego chłopaka ze Wschodniej.

Dominik spojrział na butelkę spod oka.

– Wystarczy – schował ją z powrotem za album.

Co za sknera – pomyślał Martens.

– No a potem znowu wziął się za fotografię. Dwa lata temu definitywnie wyprowadził się z Łodzi i zamieszkał w Warszawie. Bo dwa lata temu poznał tę Fraumann. Odtąd chodził za nią jak pies za suką. Czasami do mnie telefonował i wtedy mówił wyłącznie o niej. Ale to już inna historia.

– Pamięta pan, jaki miał kiedyś stosunek do Wioletty?

– Dlaczego pan pyta?

– Bo w dniu morderstwa kazał się pani Fraumann przefarbować na blond. Jakby chciał ją przerobić na tamtą. A potem zrobił jej zdjęcia.

Wydobył z kieszeni pomięty najnowszy numer „Dziewczyny”.

– Wygląda podobnie.

– Identycznie.

Martensa ponownie zastanowił pierścionek błyszczący na prawym serdecznym palcu. Dwa złote, splecione serduszka – Fraumann nie nosiła wcześniej niczego takiego.

A przynajmniej nie zakładała do zdjęć – przypomniał sobie zdjęcie z „Dziewczyny”.

– Nie pasuje... – zamruczał. – Reszta biżuterii jest plastikowa i czarna.

– Podejrzewa pan, że kazał jej się zrobić na Villas, żeby ją sfotografować i udusić krawatem? W dodatku nie swoim. Takie przypuszczenie to absurd. On chodził wyłącznie w tiszertach. A propos, czy wiadomo już, czyj był ten krawat?

– Niestety. Nikt się do tej pory nie zgłosił.

Martensowi znów przyszło do głowy, że to jemu pomyliła się Wioletta z Beatą.

– Czy Paluch, to znaczy ten Połaniecki, fotografował jedynie dla prasy?

– Połaniecki fotografował przede wszystkim dla sztuki. I jeśli już miałby zabić, to wyłącznie dla sztuki. Z zazdrością patrzę na portrety jego autorstwa, a szczególnie na twarze kobiet z nieciekawą przeszłością, które, za jego przyczyną, piękniały i rozkwitały, wy-

zwał w nich jakiś nieokielznany pierwotny erotyzm. To jest prawdziwa najczystsza twórczość.

Martens spodziewał się tej odpowiedzi. Stanęły mu przed oczami te wszystkie niezwykle fotografie z meliny na Włókienniczej. Te zdjęcia, tak bardzo nie pasujące do reszty. Znali zatem się z Anną, więc musiał spotykać także kelnerkę Alinę i fryzjerkę Agnieszkę. Wobec tego ich paczka liczyła siedem osób; Wioletta, Alina, Anna i Agnieszka oraz Nowak, Paluch i Krzak.

Zadzwonił telefon. Na ekraniku wyświetlił się numer Jareckiej.

– Przyszedł list.

– Co mnie obchodzą czyjeś listy.

– Ten jest zaadresowany do ciebie.

– Do mnie? Od kogo?

– Rafałku... – ściszyła głos.

– Nie mów do mnie, Rafałku.

– Wpadniesz na chwilę? – zamruczała, rozciągając sylaby.

– Do telewizji?

– Na stryszek. Zabrałam list do siebie, do domu, żebyś nie musiał się fatygować do biura.

– Powiedzmy.

Nie miał wyboru. Obiecała, że wkrótce zadzwoni, i zadzwoniła, niestety.

– Gdzie znajdę Palucha?

– Zatrzymał się w Grand Hotelu, ale na pewno przebywa u ojca. Nie widzieli się prawie dwa lata.

Na strych do Jareckiej było mu na Wschodnią po drodze. Mrużąc oczy, wyszedł przez bramę. Po drugiej stronie Piotrkowskiej parkował znajomy samochód. Za kierownicą zauważył kryminalnego uzbrojonego w okulary – rekwizyt filmowy.

– Dzień dobry panu, panie Ginter. Cóż za wspaniałe okulary. I jaki modny skórzany płaszczyk!

Coś go pchało, żeby tamtemu dokuczyć.

– Co pan tu robi, panie Olszak?

– Czekam na kogoś.

– Więc proszę temu komuś przekazać, że jestem mu bardzo wdzięczny.

– Oczywiście – Olszak skinął poważnie głową.

Jak można dać dziecku na imię Ginter? – zastanowił się Martens.

W mieszkaniu u Jareckiej dało się zauważyć zmiany, szczególnie w klitce na stryszku. Bowiem wszystkie swoje kobiece plany Jarecka realizowała niezmiennie w tym miejscu. Każdy kolejny proces seksualnego wykorzystania mężczyzny poprzedzały niewielkie korekty wystroju – tak, żeby wytrzeć po poprzednim tablicę, zanim

zastawi się sieci na następnego jednorazowego kochanka. Gdy Martens spostrzegł te zmiany, zaniepokoił się nieco.

– Trochę tu wczoraj poprzesztawiałam. Sprzątałam i doszłam do wniosku, że już pora na lifting.

Zasunęła zasłonki.

– Było ponuro. Pomyślałam, że trzeba tchnąć trochę życia. W ciebie też, przy okazji.

Na parapecie leżały dwie paczki Lucky Strike'ów i stały dwie flaszki Terra Quente Colheita.

– Widzę, że ty też poszedłeś na zmiany – skomentowała jego zero na głowie.

– Nie mówiąc o tobie!

Miała na sobie czerwoną wydekoltowaną sukienkę i perukę z plastiku.

– Kupiłam ją specjalnie dla ciebie, kosztowała ponad czterysta złotych. Jak myślisz, czy efekt jest wart takiej ceny?

Pokrygowała się w lustrze, poprawiła kosmyk nad czołem. Syntetyczna czupryna w drobne loczki miała odcień platyny i sięgała za piersi. Mimo, że wyprodukowana w większości z tworzyw sztucznych (50% kanikelon, 30% monofibre, 20% czysty jedwab; można czesać i myć szamponem; Made in Italy – wyczytał na metce pod siatką), do złudzenia przypominała rzeczywistą fryzurę blondynki-idiotki. Na taki sam kolor farbowała się jego niegdysiejsza

Wioletta.

Obie, peruka i sukienka, pasowały na Jarecką, jak ulał.

– Czy to ty straszysz mnie z okna na Wschodniej?

Przypomniał sobie identyczną właściwie postać z mieszkania w kamienicy po drugiej stronie ulicy.

– Z jakiego okna?

– Ze Wschodniej.

– Nie bądź niemądry, nie byłam na Wschodniej od lat.

Przejechała dłonią po włosach.

– Robię to wyłącznie dla ciebie.

Zrzuciła sukienkę, została w samej peruce. Nimfomanka – wbił oczy w podłogę.

– Wiem, co o mnie myślisz w tej chwili. Ale wiem też, że się podobam mężczyznom.

– Gdzie list?

– W biurku. Przygotuję parówki.

– Z musztardą.

– Z „Sarepską”. Ty się rozgość tymczasem.

– Seksparty?

Trochę się zirytował, a trochę przeraził.

– Nie seksparty, ale intymne popołudnie we dwoje. List dostaniesz po wszystkim.

Przesunęła mu dłonią po spodniach.

– Na deser.

Nucąc pod nosem, zadowolona odeszła do kuchni.

Nie był przyzwyczajony do takich zachowań młodych bezczelnych kobiet, dlatego nie znosił ich zaczepek przy barze. Nie, żeby w ogóle nie miał ochoty – po prostu w roli czystego samca nie czuł się specjalnie swobodnie.

O tempora, o mores... – narzekał, jak wszyscy starcy.

Podejrzewał w dodatku, że się dzisiaj nie sprawdzi, bo natłok myśli i zdarzeń niespecjalnie sprzyjał niewymuszonej erekcji. Ale to już sprawa Jareckiej. Z mojej strony przyszła koza do woza – wytłumaczył się w myślach.

Z kuchni, z niższego poziomu, dolatywał miarowy syk gazu, kapiąca woda i fałszywie nucona piosenka. Poczul się prawie jak w domu. Pomyślał o Mewie – ale dość obojętnie, bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Jednak na wszelki wypadek postanowił wyłączyć komórkę. Zaterkotała w tym samym momencie.

– Nie ma mnie. Do wieczora.

Przytrzymał czerwony klawisz, aż do wylogowania się z sieci.

– A może nawet do rana, kto wie.

Stanął przed wielkim lustrem nachylonym nad rozłożoną kanapą. Umieszczono je pod odpowiednim kątem i na stosownej wysokości – żeby się było można sobie przyglądać.

Tutaj jest jak w prymitywnym burdelu – z rozrzewnieniem

pomyślał o Mewie i ich klasyczej małżeńskiej sypialni. Przeżyła swoje stylowe sto lat, i, mimo braku zwierciadeł, również spełniała się jako miejsce rozpusty.

– Co ma być, to się stanie...

Ściągnął koszulę. Brzuch wylał mu się ze spodni ogromną fałdą.

Będzie kochała się ze mną, bo nazywam się Martens – zadumał się, wciągając przeponę.

Filozoficzne myśli nad jednością duszy i ciała nachodziły go w takich momentach dość często i przyprawiały o niepokój nad nieubłaganiem nadciągającą starością. Lustro przywitało go bladym zwiotczalym ciałem. Widok własnej, zdezelowanej przez bruzdy, zapadniętej dychawicznej klatki piersiowej nie był mu obcy, ale i tak za każdym razem czuł się mocno rozczarowany.

Czy taki zniszczony, sfatygowany, wysłużony mężczyzna może jeszcze czegoś żądać od życia – zastanowił się, drapiąc po cheralawym zaroście.

Skóra jest niczym garnitur biedaka. Z czasem przechodzony, znoszony i zupełnie niemodny, ale jedyny, więc nie można się go pozbyć w zasadzie – pomyślał, że jego ciało też ma prawo rozklekotać się w końcu.

– Gotowy?

– Niegotowy.

Koślawe kolana sterczały z opuchniętych ud i goleni.

Zewłok, denat, nieboszczyk. Wydzielam coraz więcej potu i łoj. I coraz szybciej rosną mi szpony – tyle mógł o sobie powiedzieć.

Przyjrzał się palcom z zeschniętym naskórkiem. Obrzydliwie powykręcane, tulejkowate paznokcie domagały się natychmiastowego skrócenia. Postawił stopę na stopie, rozmasował zmarszczone podeszwy. Nic nie pomogło.

– Zalutuje tu trupem – westchnął, kładąc się na kanapie.

Jeszcze przejrzał się w lustrze i wstrząsnął się z obrzydzeniem. Stare zużyte cielsko, obmierzła powłoka z padliny – już dawno nie przyglądał się sobie tak literalnie. Ogarnęły go czarne myśli, a seks z Jarecką wydał mu się naprawdę w złym guście.

– Gotowy?

Jarecka zajrzała przez drzwi.

– Prawie.

Przykrył się kocem.

– Gdzie jest ten list?

– Zimno? – nie podjęła tematu.

– Zimno. Nie patrz tak na mnie, dobrze wiem, jak wyglądam.

– Mężczyzna mówi, że wie, ale kobieta wie lepiej.

– Zapadła klata, wielki brzuch oraz wewnątrz w stanie rozkładu.

– To mi nic a nic nie przeszkadza. Wystarczy, że jesteś Martensem.

Jestem starym durniem i tyle! – przyszła mu na myśl córka. Między nią i jej nowo poślubionym małżonkiem była taka sama różnica wieku, jak między nim i Jarecką.

Może w tym związku z grubasem chodzi jej o pieniądze? – uczepił się alternatywy o charakterze bardziej strawnym, niż miłość. A może o ten pieprzony pensjonat? No bo przecież nie o... – wyobraził sobie podtatusiałego Franza z dziurawym z przepicia nosem, jęczącego ohydnie nad jego kochaną pierworodną i dziobiącego ją starym żyłastym kutasem.

– Gdzie list?

Wciąż w kocu, wstał i zajrzał do szuflad. W górnej walał się czterokolorowy długopis. Cztery guziki po bokach, wkłady w czterech różnych kolorach. Skądś znał ten długopis, ale skąd, do cholery? W środkowej, oprócz nieużywanych prezerwatyw, znalazł wideokasetę „Morze Rozkoszy”, a w dolnej dość cienkie i liche „Polki w łóżku”, pomięte i zaczytane. I oto odkrycie! Jarecka prezentowała się w każdym numerze. W dodatku sfotografowano ją w wielu bardzo odważnych pozycjach.

– Po co ci te kondomy?

– Żeby je czasem zakładać.

– Komu?

– Mężczyznom.

Prezerwatywy były w kilkunastu różnych kształtach, kolorach i

smakach.

– Będziemy ich dzisiaj używać?

– Jeżeli będą pasować. Najbardziej lubię te czarne.

– A po co ci te pornosy?

Rzucił okiem na zmiętego świerszczyka.

– Po to, żebym się umiała zachować.

– Chyba masturbować?

Z zaciekawieniem obejrzał reklamy elektrycznych wibratorów-jak-bulterierów i mechanicznych członków-jak-diabłów.

– Stosunek to jest jedynie odmiana samogwałtu.

Nalała wina do szklanek.

– Niestety.

Napił się szybko, skutecznie.

– Nie martw się, Martens. Po winie cnota ci zginie.

– A anhedonia?

Zadygotał pod kocem.

– Anhedonia to całkowita utrata zdolności do odczuwania. Ale to twoja sprawa, nie moja. Dla mnie ważne, żeby ci stał.

– Mężczyźni...

– Kochany...

Pogładziła Martensa po głowie.

Trzęsąc pupą, zbiegła do kuchni. Wróciła ze sztućcami i talerzami. Przyniosła musztardę, cztery podgrzane w rondelku parówki i

bułeczki z maselkiem. Usiedli przy biurku naprzeciw siebie; ona naga, on w kocu.

– Nie denerwuj się. Kobiety potrzebują żywego penisa nie dlatego, że jest żywy, tylko dlatego, że jest odpowiednio twardy, ciepły i o adekwatnej długości.

Ugryzła parówkę.

– Więc służy on do onanii, a nie do klasycznego stosunku.

To jest właśnie prawdziwy feminizm, a nie jakieś tam słowa z nieodpowiednią końcówką czy ilość dktorek przypadających na stu generałów – zadumał się ponuro nad sobą i Mewą; egzaltowaną, przemądrzałą i bezrobotną teoretyczką-psycholożką z nieprzydatnym tytułem magistra.

Zamyślił się nad seksualnością tych samodzielnych, zmanierowanych, samotnych i młodych kobiet. Kobiet onanizujących się przy pomocy facetów o bardzo znanych nazwiskach i pasującej do osiągnięcia odpowiedniego orgazmu towarzyskiej pozycji. Oto podnieca je znana medialna twarz, zwykle sławna nie za to co zrobiła, ale za to tylko, że w ogóle istnieje.

Go fuck yourself – powinien powiedzieć Jareckiej, siedzącej przed nim w samej tylko peruce i pytającej, co zje na kolację, pod warunkiem, że to będą parówki z musztardą. Z drugiej strony, ilu mamy na świecie miłośników poezji, muzyki poważnej, rzeźby – a ile pięknej kobiety? Ona jest feministką, ale ten tutaj feminizm przy-

najmniej jest z ludzką twarzą.

Przyjrzał się twarzy swojej asystentki z programu i przypomniał sobie, że nieźle się im współpracuje w studiu, ale też gada na różne inne tematy, niekoniecznie te dotyczące spraw męsko-damskich.

Seks to jest cena, którą muszę dzisiaj za to zapłacić. Ale mówi się trudno – martwił się dalej.

– Nie gap się tak ponuro.

– Uważam, że z pewnych rzeczy nie można ot, tak sobie, żartować.

– Jesteś niemądry.

– Jestem po prostu już stary.

– Ta szuflada jest tylko po to, żeby wkurwić i wygonić stąd czasem jakiegoś kretyna, który za szybko chce mnie wyściskać za cycki.

Odstawiła talerzyk i pocałowała Martensa w policzek. Poczul się bardzo samotny.

Czyżbym pozostał ostatnim Mohikaninem poruszającym się w świecie zaludnionym niegdyś przez mało dorzecznymi panów, którzy nieudolnie próbowali realizować infantylne marzenia o miłości z miłości, przebąkali o wspaniałych dozgonnych aliansach, o mariażach idealnych pod każdym względem, o dobrych relacjach człowieka z człowiekiem. O związkach opierających się na moralności, zau-

faniu i zwykłej polskiej przyzwoitości oraz na prawdziwej wierze w Przenajświętszą Panię, gdyby, nie daj Boże, poprzednie podstawy ewentualnie zawiodły – pomyślał o swojej młodości.

– Kto ci zrobił te zdjęcia?

– Jeden taki. Fotograf.

– Połaniecki?

– Idiota! Wszystkie zdjęcia zrobiłam sobie prawie zupełnie sama.

– Na pewno sama?

– Przecież mówię, że prawie.

– To znaczy?

– To znaczy, że pomogła mi Mewa.

– Mewa? Ona sfotografowała się także?

– No pewnie. Miałyśmy ubaw, bo obie lubimy podziwiać obrazki i pooglądać video. Posłuchać tych jęknięć i stęknęć, przewinać do tyłu na przyspieszeniu sto tysięcy wtrysków-wytrysków. I dopiero potem iść na zakupy. Ale Mewa bała się swoje opublikować, uważała, że jest już za stara.

– Ona tylko tak gada.

– Ona powinna sobie znaleźć kochanka.

Nalała wina obojgu. Zapalili po Lucky Strike'u i, zamiast już iść do łóżka, zaczęli filozofować.

– Wyobraź sobie, przeprowadzono badania i wyszło, że jedynie

co trzeci Polak miał kontakt ze świerszczykami. Podobnie z filmami.

– „Wielkie Żarcie”, „Imperium Zmysłów”...

– Martens, ja nie mówię o sztuce.

– Mądrzysz się, zupełnie jak Mewa. Ciekawe, czy byś w takim filmie zagrała?

– Zagrałam kiedyś. Dla sprawdzenia.

– Sprawdzenia czego?

– Sprawdzenia, czy to prawda, co na ten temat mówi psychologia i Mewa.

– Czyli co?

– Mewa zapamiętała z wykładów, że nie sam seks jest ważny, ile jego rejestrowanie. To ono nas naprawdę podnieca, a nie samo dymanie.

– I co?

– Sprawdziło się. W stu procentach.

Wyjęła z szuflady kasetę „Morze Rozkoszy”. W tłumie ciał na okładce wyróżniała się znajomą peruką.

– O wielu rzeczach można powiedzieć, że podniecają. Na przykład atmosfera, nastrój i zapach.

– To nie seks, to alchemia.

– W takim razie ja preferuję alchemię. Jarecka, czyj jest ten czterokolorowy długopis?

– Mój.

Zebrała naczynia.

Martens przypomniał sobie, że przyszedł tu głównie po list, ale bez dymania na pewno go nie dostanie. Z dołu dolatywały odgłosy zmywania.

Tylko kobieta może pogodzić seks i sprzątanie – żeby nie myśleć i nie stresować się, co go czeka, postanowił oderwać się od miejsca i sytuacji. I jeszcze raz przeanalizować, czego dowiedział się o Wioletcie oraz jej związku z zamordowaniem Beaty. Zebrać i uporządkować przemyślenia i fakty, określić, co się stało i kto mógł maczać w tym palce.

Niewątpliwie została zamordowana niejaka Beate Fraumann, obywatelka niemiecka, urodzona dwadzieścia dziewięć lat temu w Berlinie. Jej adopcyjna matka była z pochodzenia Ślązaczka. Fraumann od dwóch lat przebywała na stałe w Polsce i od dwóch lat była naczelną „Dziewczyny”. Pani Beata mogła odwiedzać nasz kraj wielokrotnie, ze względu na język i pochodzenie, i już wtedy zapoznać swego przyszłego zabójcę.

Ale zacznijmy od początku. No więc tego feralnego dnia nie poszedł do pracy. Pił tradycyjnie od rana, a po południu coś go zainosiło na Wschodnią. Prosto przed kamienicę znaną mu sprzed ponad trzydziestu lat. Tam odkrył nowy zakład fryzjerski i, ni stąd ni zowąd, postanowił się ostrzyc. Również o drugiej wszedł do „Studia Fryzury”. Pani Fraumann, która o tej porze była jeszcze brunetką,

leżała na fotelu przed lustrem, zaś fryzjerka myła jej włosy. W zakładzie spotkał także Nowaka, sąsiada i właściciela owego nieszczęsnego lokalu. Półstarszy sierżant sztabowy, w zdezelowanym mundurze, okazał się być albo bratem, albo narzeczonym jego niegdyśszej kochanki. Nie chciało mu się czekać w kolejce, więc poszedł na wino do pubu, a na Wschodnią wrócił dopiero po siedemnastej. Jednak zamiast do „Studia Fryzury”, polazł na piętro. Tam tkwiącym w zamku kluczem otworzył drzwi, ale prawdopodobnie nie wszedł do środka. Za to na pewno natknął się na umykającego na półpiętro mordercę.

W tym czasie Fraumann musiała spoczywać już w wannie, uduszona przez zadzierzgnięcie jego własnego krawata. Krawata, który zostawił na wieszaku, i do którego miał dostęp w zasadzie każdy związany z tą sprawą. W dodatku ów krawat przed laty o mało co nie przyczynił się do śmierci Wioletty. Jednak tym razem to nie mógł być on. Ponadto Beata nie weszła przecież sama do wody, musiał ją tam wrzucić dusiciel. Policję wezwała Agnieszka. Z niejasnych powodów nie poszła sprawdzić, dlaczego zalewa jej zakład. Pozostają pytania. Gdzie się podziały łachy Fraumann? Czy uduszono ją w wannie? Czy w ogóle zginęła w tym domu? Czy może tylko podrzuciono tu zwłoki? Co robiła przed śmiercią i z kim?

Najbardziej prawdopodobna wersja zakładała jednak, że zawi-
niła fryzura. Że pani redaktor Beata Fraumann została zamordowana,

bo miejscowa fryzjerka przerobiła ją na głowie na Villas. Taka właśnie przemiana długowłosej brunetki w natapirowaną platynową blondynkę mogła być przyczyną owego nieszczęsnego zdarzenia. Przecież w pewnym momencie współczesna panna Fraumann stała się doskonałą kopią Wioletty. Wioletty, która prawdopodobnie już od dawna wygląda inaczej ! Została uduszona, bo za bardzo przypominała ją z tamtych czasów. Ale komu? Pozostaje trzech facetów – byłych lub obecnych wojskowych, i cztery niegdysiejsze kelnerki, ewentualne klientki tego samego biura matrymonialnego z Piotrkowskiej. Alina, absolwentka Gastronomika, Agnieszka, siostra tłuszciocha Śledziodorsza, menelka Anna – modelka Połanieckiego, i wreszcie jego Wioletta, powiązana z pozostałymi w jakiś nieznyany sposób. Do której z nich Fraumann mogła być podobna najbardziej? I dlaczego sąsiedzi w tym samym czasie poszli do wojska? Paluch, rencista-artysta, Krzak, brat Agnieszki bojący się, że mogą coś zwąchać oraz Nowak, właściciel mieszkania.

Wszyscy trzej byli niedawno w „Alinie”. W dniu morderstwa – tylko pytanie, czy przed, czy już po? Wszyscy spotykali się kiedyś i zabawiali się u Nowaka. Więc, być może, zamordowała jedna z tych osób. Tylko z jakiej przyczyny? Przecież nie mogli znać Fraumann, zostaje zewnętrzne podobieństwo, nic więcej. A może już przed trzydziestu laty coś się miało wydarzyć. Ale się wydarzyło trzydzieści lat później? Zaś Beata była córką jednego z tych panów. Nasuwa

się też pytanie; po co przyjechała do Łodzi? Gdy wychodził, po drugiej stronie ulicy spostrzegł Krzaka. A później ciemny samochód Olszaka, który kilkakrotnie zajeżdżał mu drogę. Okazało się, że to kryminalni go śledzą, albo ochraniają przed prawdziwym mordercą. Bowiem niewykluczone, że zabójca Beaty chciałby go zabić. Może przypuszcza, że został rozpoznany o piątej na schodach, prawdopodobnie bezpośrednio po zbrodni.

Niektóre z tych pytań były ważne, a niektóre tylko mąciły wodę. Co miały do rzeczy na przykład fotografie? Ta ukradzioną ze ściany z „Aliny”, i ta jego własna, znad wanny. Nie dawało mu to spokoju. I ów zapach perfum „Konwalia” nieustannie przewijający się w tle. W mieszkaniu, gdzie popełniono morderstwo, nie było ubrania Wioletty, nie było jej kosmetyków, czegokolwiek, co jest potrzebne dziewczynie. Pozostały wyłącznie przedmioty po nim. I nowe niegdyś graty, nieużywane przez lata.

Według teorii kryminalnych, każde śledztwo może przebiegać dwoma drogami. Z jednej strony poprzez myślenie konwergencyjne, kiedy z zaistniałej konkretnej sytuacji daje się wywnioskować tylko jedno właściwe rozwiązanie. I drugie, myślenie dywergencyjne, kiedy oryginalne spojrzenie pozwala dostrzec wiele rozwiązań alternatywnych. Każde z nich może prowadzić do rozwiązania zagadki. Stąd jedna kwestia była najbardziej frapująca i wymagająca rozstrzygnięcia na samym początku: Czy ofiarą została rzeczywista

współczesna Beata, i udusił ją na przykład Dominik, z nieznanego powodu? Czy niegdysiejsza Wioletta, podobna do Beaty jak kropla do kropli, a mordercą okaże się Nowak, chcący wyrównać w ten sposób rachunki z młodości. A może i to i to. Może w pijanym widzie zamordował on sam, Rafał Martens, gdy obie panny spletały się w jedną i tę samą.

Telefon zaskoczył ich na kanapie w niewygodnej pozycji.

– Martens? Nie, nie ma go tutaj.

Jarecka uśmiechnęła się i poprawiła perukę.

– Nie, Mewuniu, nie mam pojęcia, gdzie poszedł.

Nie ma mnie tutaj? – zdziwił się, wynajdując pilota.

– Czy ma dziwkę na boku? Nie sądzę.

Nie wychodząc z ciepłej, wilgotnej dziupli, wycelował nim w telewizor.

Złożona z artystów kapituła po raz kolejny przyznała nagrodę ustanowioną w dwa tysiące pierwszym roku z inicjatywy Niki Strzeмиńskiej, Georga von Kobro oraz Józefa Robakowskiego.

– Mewuniu, przy jego kondycji?

Przeleciał pilotem po innych programach.

– Mówisz, że jednak możliwe. Wierzę na słowo, bo sama przecież nie sprawdzę.

Ułożyli się bokach, twarzami do siebie.

– Mogę sprawdzić? No dobrze, mogę to zrobić. Będę jednak cały czas drżała, że coś mu się stanie. Że nie wytrzyma mu serce i nagle mi we mnie zemrze.

Na jednym z kanałów było wspomnienie o Fraumann.

Dwa tygodnie temu znaleziono nieżywą panią redaktor Beatę Fraumann. Padła ona ofiarą okrutnego zabójstwa. Do dzisiaj nie postawiono nikomu zarzutów. Prokuratura nie ujawnia na razie przebiegu śledztwa. Z przecieków wiemy, że na razie jest trzech podejrzanych. Pojawiło się też oskarżenie w sprawie pomocy przy zacieraniu śladów i za składanie fałszywych zeznań. A oto krótkie przypomnienie denatki. Beata Fraumann była kobietą sukcesu. Pracowała w „Dziewczynie”, udzielała się chętnie społecznie...

– Czy jestem sama? Nie jestem. Nie szkodzi. Oczywiście, że mogę.

Jarecka, nie przerywając rozmowy, rytmicznie ścisnęła Martensa udami.

– Masz rację, podzielność uwagi i doznań. Seks i jeszcze dzieśnięć innych czynności. Moja ty pani psycholog!

– Kocham cię.

Chciał, żeby skończyła rozmowę. Ale to „kocham” zabrzmiało serio i groźnie.

– Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Każdej to mówisz? To nie do ciebie, Mewuniu...

Ściągnęła plastikową czuprynę.

– Do widzenia, kochanie.

– Każdej. Ale ostatnio dość dawno. Jarecka, nie nagrywasz nas czasem?

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu kamery.

– Pomyśl, to takie banalne...

Z powrotem założyła perukę.

– Ty, starszy facet na stanowisku, któremu wszystko wypada. I ja, piękna i młoda dziewczyna, która musi się tłumaczyć i okłamywać twoją przemiłą małżonkę.

– Nie powinienem jej zdradzać.

– Wiem. Będziesz jeszcze żałował.

Nie wiedział, co ona wie, i czego ma, ewentualnie żałować, ale już nie zdążył zapytać, bo oboje zatracili się nagle w gorączkowym pośpiechu. Kochali się w całkowitym milczeniu; jak na licealnej prywatce w niezamykanym sąsiednim pokoju albo w statystycznym nijakim małżeństwie. Potem się przekręcili, i Martens zamknął dokładnie oczy, żeby przypadkowo nie zobaczyć się w lustrze.

– Możesz mnie zostawić samego? – obejrzał kopertę.

– Mogę.

Zrzuciła perukę.

– Dosyć tej Wioletty na dzisiaj.

– Dla mnie nigdy dosyć blondynek.

– Niech ci będzie.

Założyła włosy z powrotem.

– Ale robię to wyłącznie dla Villas.

– Czyj ten czterokolorowy długopis?

– Niczyj.

Zeszła na dół, trzasnęły drzwi od łazienki.

– We włosach kliwii kwiat, dla ciebie miły. Kolczyków ciepły blask, dla ciebie miły. Przyjdź ukochany, przyjdź, ubawisz ty się dziś...

Niemіłosiernie fałszująca Jarecka zmywała z siebie resztki spermy i potu.

List był zaadresowany dość prosto: do redaktora Martensa. Resztę; miasto, kod, ulicę i numer posesji dopisała anonimowa ręka na poczcie. A potem jeszcze inna ręka przekreśliła to wszystko i

wpisała jedno jedyne słowo: Morderstwo.

Rozerwał kopertę. Zapalił Lucky Strike'a, nalał sobie szklanczkę i klapnął przy biurku. Jarecka, Mewa, cała ta sytuacja, w znacznym stopniu nadwątlily jego tożsamość. Poczul się winny, ale natychmiast się wytłumaczył.

Zostałem wykorzystany i porzucony, niczym jednorazowa chusteczka do nosa – wiedział, że to nieprawda. Że to on sam wykorzystywał i oszukiwał; i siebie i wszystkich.

Oportunista ze mnie, konformista i łgarz – zaczął łącać się w myślach. Ale takim podobno żyje się łatwiej. A na koniec i tak każdy zdycha. Nieważne – szubrawiec czy ksiądz.

Szanowny Panie Martens

Mam na imię Agnieszka i jestem właścicielką „Studia Fryzury”. Po południu był pan u mnie się ostrzyc. Wysłałem ten list na pana adres domowy. Wiem tylko tyle, że mieszka pan w Łodzi, ale ponieważ jest pan każdemu znany, to myślę, że dojdzie. Nie piszę na program „Morderstwo”, bo to jest, w pewnym sensie, sprawa wyłącznie między nami, ze względu na dawną znajomość. Rozmawiałam dzisiaj z Aliną. Ona trzydzieści lat temu była moją koleżanką z roboty i jednocześnie przyjaciółką ze Wschodniej. Potem poszłyśmy na melinę do Anki, poratować ją fajkami i żarciem i dowiedziałyśmy

się, że u niej też pan już był. Więc wiem, że jest pan na tropie. W związku z tym powinnam chyba wypowiadać się z pewnych rzeczy, szczególnie z tych dotyczących przeszłości.

Na początek niech będzie ta fotografia, którą pan ukradł. Identyczną znalazłam wczoraj u siebie w szpargałach. Dziewczyną w czerwonej sukience mogę być ja, albo, równie dobrze, jakaś inna kelnerka. Która, tego nie powiem, bo wszystkie w „Alinie” miałyśmy takie same czerwone sukienki i takie same idiotyczne fryzury. Zresztą zdjęcie jest trochę nieostre. Natomiast facetów poznaję bez trudu. Pierwszy z prawej to Paluch. Obok niego Krzak, mój braci-szek i dalej Nowak, czyli mój narzeczony. Trzej przyjaciele z naszej wspaniałej kamienicy i naszego ukochanego podwórka. Piszę to bez ironii i żalu. Wiadomo bowiem, że wszystko minione wydaje się najładniejsze, a najbardziej lukrujemy wspomnienie młodości. Oni trzej zawsze i wszędzie trzymali sztamę – wszyscy za jednego i jeden za wszystkich. Jednak dzisiaj nic nie jest takie samo, jak dawniej, szczególnie odkąd wmanewrowali się w to morderstwo. Bowiem kto inny mógłby udusić Beatę? Zgadza się? Pan to wie i ja wiem. Pan wie, co ustaliła policja, pewnie pije pan z nimi wódkę. Ale ja także wiem swoje i nie zamierzam niczego ukrywać.

Myśmy mieszkali pod dwójką, wchodziło się do nas prosto z bramy. Obecnie jest tam moja fryzjernia. Na pierwszym piętrze, nad bramą, pokój z kuchnią miał Nowak. Starzy Nowakowie umarli dość

wcześnie, zapili się denaturatem albo „Autovidolem”. Tutaj większość tak kończy, więc Nowak mieszkał sam od dzieciństwa, a moi pilnowali go, jak tylko mogli. Przychodził na obiady, robili lekcje razem z Krzakiem i, chociaż to było niemożliwe, wyszedł jednak na ludzi. Naprzeciwno, pod czwórką, gnietli się Paluchowie. Gdzie się podziela Paluchowa, nie wiadomo – po prostu zaraz po porodzie przepadła bez śladu. Nikt nie miał zamiaru jej szukać, bowiem na Wschodniej nikt się niczemu nie dziwił. I może właśnie przez tę jej nieobecność zawsze nas ciągnęło do siebie. W końcu Paluch został moim pierwszym chłopakiem, zrobiliśmy to w siódmej klasie.

Gdy tylko skończyłam osiemnastkę, postanowiłam wyjść za mąż. Do wyboru miałam Nowaka i Palucha, ale co to był właściwie za wybór. Wiedzieliśmy o sobie wszystko. Jak się napili, to włązili mi między nogi. Stało w końcu, że jednak poślubię Nowaka, przemyślałam to sobie dokładnie. Mimo, że Paluch był chłopem jak się patrzy i dzisiaj, choć kulawy, robi jeszcze wrażenie, ale Nowak miał atut. Miał własne mieszkanie. I odłożone pieniądze, a to się liczy najbardziej.

Nie wyobrażałam sobie gnieździć się z teściem Paluchem – wyzywał mnie codziennie od kurew, zresztą słusznie – albo wprowadzić Palucha do pokoju, mojego i Krzaka. Chciałam mieć wreszcie własny dach nad głową, wyłącznie swoje pieprzone cztery kąty; nawet w takiej obskurnej czynszówce i przy takim nijakim mężczyź-

nie, jak Nowak. Jednak wcześniej i ja, i moje koleżanki z „Aliny”, zapisałyśmy się w biurze na Pietrynie. Sądziłyśmy, że może wyniknie coś z tego, coś trochę lepszego, że może spotkamy jakiegoś facecika nie stąd. Dlatego wszystko się trochę odwlekło. Zaś później odwlekło się jeszcze bardziej, przez ten wypadek Nowaka. No i przez pana, Martens. Bo to pan nas zaczepił w szpitalu. I pan zatrzymał Wioletkę.

Potem zamieszkał pan z Wioletką w mieszkaniu Nowaka. Myślałam często o was, myślałam, jaka to z niej szczęściara, sądziłam, że może chociaż jej się uda stąd uciec. Bo na Piotrkowską miałyśmy niby blisko, ale dla nas to była Ameryka, a do Ameryki nie dają wiz kurwom ze Wschodniej. No, chyba, żeby wystawić się pod latarnią. Dlatego starałyśmy się z całej siły, żeby się Wioletce udało. Wszystkie razem modliłyśmy się do Przenajświętszej Pani, żeby było panu jak najprzyjemniej, i żeby ta przyjemność zaprowadziła Wioletkę pod ołtarz.

Moje małżeństwo z Nowakiem odwlekło się jednak głównie z innego powodu. Oto w miesiąc, kiedy się pan wyprowadził, stwierdziłam, że jestem w ciąży. W dodatku nie wiedziałam zupełnie, z kim. Na pewno nie z Nowakiem, gdyż on leżał w szpitalu. Najbardziej podejrzewałam, że ojcem jest Paluch. Z nim się kochałam najczęściej, i dokładnie w tym czasie, co trzeba. Tak, tak, panie Martens, to była jednak pewna przeszkoda; nawet na takiej ulicy jak

Wschodnia, i dla takiej dziwki jak ja. W końcu pobraliśmy się dopiero po kilku latach. Zamieszkałam u niego w bloku w Węgorzewie, bo on wrócił po wypadku do wojska. Ale po kolei.

Po tygodniu pana pobytu pod trójką Nowak zaczął się wściekać, bo Paluch mu doniósł, że w jego mieszkaniu od tygodnia ktoś mieszka. Nowak oznajmił, że czuje się lepiej i że na chwilę wyskoczy ze szpitala, żeby się rozpatrzyć w sytuacji, i żeby, w razie czego, pogonić faceta. Albo najpierw wydoić jaką forszę i dopiero potem pogonić. Przestraszyłam się wtedy okropnie, bo, jako jedyna, miałam klucze do niego, te, które dałam potem Wioletce. Jednak i na pozostałe dziewczyny padł strach, więc Wioletka szybko zamknęła mieszkanie. Potem było jej pana nawet trochę szkoda, mimo, że stał się pan dla nas właściwie zupełnie bezużyteczny.

Wrócę do ciąży. Po raz ostatni zajrzałam tego dnia do Nowaka. Popatrzyłam na te wszystkie meble, telewizor, pralkę i radio, i popłakałam się z żalu. Potem wlałam na stołek i pożyczyłam z kredensu pieniądze; były tam odłożone na naszą nową drogę. Dzisiaj myślę, że była to zwykła kradzież, jednak wtedy naprawdę wierzyłam, że oddam. Bo chociaż na Wschodniej trudno o porządnego człowieka, to myśmy przecież byli już zaręczeni, więc nie powinnam tego robić w żadnym wypadku. Ale czy miałam inne wyjście? No więc, żeby ukryć tą ciążę, wyjechałyśmy z Aliną na Opolszczyznę, do rodziny takiego jednego Olszaka. Niecały rok później Alina wyszła za niego

za mąż. Dowiedziałam się potem od brata, że gdy Nowak po miesiącu opuścił szpital, nawet się o mnie nie spytał. Nie szukał mnie wcale, chociaż te meble i telewizor ciągle na nas czekały. Ale on, gdy tylko wydobrzeał, czym prędzej pojechał do tej swojej jednostki, jakby chciał wszystko przekreślić i ułożyć życie od nowa.

Wracając do wsi, tam większość ludzi była z pochodzenia Niemcami. Czyli Ślązakami, jak Olszak. Jeździło się na saksy do Niemiec, albo, jak jego przyrodnia siostra, na stałe do Zachodniego Berlina. Wtedy Alina wpadła na pomysł. Ona była przedsiębiorcza od dziecka, przebiegła i sprytna, dlatego ma teraz kupę szmalu i interes na Wschodniej. Roztoczyła wtedy miraże, że jeśli urodzę dziecko w Berlinie, to córka będzie obcokrajowcem. Że zostaniemy tam razem, a ja dostanę zasiłek i własne mieszkanie. A potem będziemy odwiedzać Polskę już jako paniska, z kieszeniami pełnymi zielonych. Gierek zezwolił wtedy każdemu na wyjazdy i sprzedawał po sto dolarów. Wykupiłyśmy je za Nowakowe pieniądze.

Ostatecznie po ośmiu miesiącach byliśmy gotowe do drogi. Miałyśmy paszporty ze stempelkami-wizami do Holandii, podobno na wszelki wypadek i dla zmylenia tropów. I bilety do Berlina na pociąg z Moskwy do Hoek van Holland. Ten pociąg odjeżdżał z Warszawy, z dworca Gdańskiego. Pamiętam, zajechał na peron taki długi, z tablicami: „Ost-West Express IC41/D241 Moskva-Mińsk-Warszawa-Poznań-Berlin Ost-Berlin-Hannover-Hoek van Holland”

(spisałam ze zdjęcia, czasem je sobie oglądam). Składał się wyłącznie z sypialnych. Szarozielonych, z napisami po rusku. Nasz jeden jedyny był inny, granatowy i czysty. Od razu wiadomo, że pochodził z Zachodu. Więc podróżowałyśmy niczym dwie jaśnie panie; w dwuosobowym przedziale z umywalką.

Ale, niestety, nie napodróżowałyśmy się wiele. Już po dieśięciu godzinach dotarłyśmy na Berlin Zoo. Tam chwyciły mnie bóle i do szpitala pojechałyśmy taksówką. Okazało się, że jest niedobrze, że potrzebne cesarskie cięcie. W ten sposób urodziła się moja córeczka; we śnie, pod narkozą, dwadzieścia dziewięć lat temu. Moja i pewnie któregoś z tych dupków ze Wschodniej, którego, nie doszłam do dzisiaj. Pomyślałam przed chwilą, że gdybym była na miejscu Wioletki, równie dobrze pan mógłby mi ją zmajstrować. Wtedy musiałby się pan ze mną ożenić i zabrać do siebie na zawsze.

W tym Berlinie wszystko nas zachwycało, wszystko szokowało innością. Jednak każdy medal ma, niestety, dwie strony. Najgorsze było, że my obie ani be ani me po niemiecku, więc skończyło się nieciekawie. W szpitalu ciągle się o coś pytali, podsuwali jakieś broszury. Tak mnie męczyli, że podpisałam coś w końcu. Po czasie okazało się, że namówili mnie na oddanie dziecka do adopcji. A dolary od Gierka skończyły się po tygodniu. Mieszkanie i żarcie miałyśmy za darmo, nawet nie wiem, kto za to płacił, jednak podjęłyśmy decyzję, żeby wrócić do Łodzi. W tym czasie ani razu nie widziałam się z

córką; zaraz po operacji zabrali ją do noworodków. I, co dziwne, nie tęskniłam za nią w ogóle – było mi wszystko jedno. Taką byłam wówczas wyrodną matką, panie Martens. Beznadziejną alkoholyczną kurwą ze Wschodniej.

Gdy wydobrzałam, Alina przyznała się, że to wszystko z góry ukartowała. W Berlinie mieszkali krewni Olszaków, nazywali się Olschak i nie mogli mieć dzieci, więc Alina sprzedała im moje nie-narodzone. Podobno za tysiąc marek plus pobyt. Rozliczyłyśmy się wtedy pół na pół, po pięćset marek na głowę. Dzisiaj myślę, że dostała przynajmniej dwadzieścia razy tyle, bo po powrocie kupiła sobie Fiata i dwa pokoje z kuchnią w małym domku na Stokach. Taki segmencik.

Po miesiącu z powrotem pojawiłam się w Łodzi. Krzak właśnie był na przepustce, ale nie wpuścił mnie nawet do domu, więc zamieszkałam na chwilę u Aliny. Ona niedługo potem wyszła za tego Olszaka i wynieśli się ze Wschodniej do tego domku kupionego za moją córkę, jednak nie mam do niej pretensji, pomagała mi potem w potrzebie. Zaś dwa lata temu, żeby się ostatecznie odkupić, zafundowała mi zakład. Czyli „Studio Fryzury – Agnieszka Krzak”. Prawda, że fajnie to brzmi? Nikt nie wiedział o naszym wyjeździe na Zachód, oprócz Olszaków. Dopiero dwa lata temu opowiedziałam co nieco Józkowi Paluchowi. A on się przejął i postanowił wyjaśnić sprawę ojcostwa i co się dalej stało z moją córeczką.

Wracając do rzeczy. Olszakowie mieli mnie dosyć, a ja nie wiedziałam zupełnie, co począć, i pojechałam do Nowaka. Bałam się, ale on się niczemu nie dziwił. Przyjął mnie, jakbyśmy się dwa dni wcześniej rozstali. Nie wspomniał o skradzionych pieniądzach, nie zapytał, gdzie się podziewałam przez lata – w ogóle nie było o tym dyskusji. Po tym wypadku stał się zupełnie innym człowiekiem. Dzisiaj myślę, że musiał mieć jednak coś z głową. Pobraliśmy się z dwuletnim poślizgiem i zamieszkaliśmy razem w bloku obok jeziora. Przez dwadzieścia siedem lat mieszkaliśmy w pokoju ze ślepą kuchnią, aż dwa lata temu wreszcie się rozwiedliśmy. On tam został, a ja wróciłam do Łodzi. Rodzice nie żyli, Krzak się wyniósł. On zresztą także służył od dawna w wojsku. Więc z pieniędzy Aliny, a właściwie ze swoich, otworzyłam „Studio Fryzury”, czym spełniłam marzenia z młodości. Zapomniałam o wszystkim, o mężu, o dziecku i zaczęłam życie od nowa. Jednak pech sprawił, że pan przyszedł się ostrzyc.

Pamiętam, przyszedł pan około czternastej, oba fotele były w tym czasie zajęte. Na jednym siedział Nowak, a na drugim leżała pani Beata – akurat myłam jej włosy. Więc poradziłam, żeby pan wpadł, gdy się trochę przeludni. Nowak przyjechał z Węgorzewa z samego rana, zwałił mi się na głowę na tydzień. Nie było mi to zupełnie na rękę, ponieważ przebywał już u mnie Krzak, a oni we dwóch, to jest mieszanka wybuchowa. Feralnego dnia przy śniada-

niu, od razu wypili pół litra i zabrali się za granie w pokera; właściwie nie wychodzili z zaplecza. Dopiero o drugiej Krzak położył się spać, a Nowak postanowił się skrócić. W tym momencie pan się pojawił w zakładzie.

Godzinę wcześniej kierowca przywiózł Palucha i panią Beatę. Weszli na chwilę, Paluch nas sobie przedstawił. Zostawił statywy i lampy, a my z panią Fraumann przejrzałyśmy czasopismo „Fryzura”. Ale ona już od początku wiedziała, co mam jej zmienić. Wytłumaczyłam pani Beacie, ile mniej więcej zajmie mi taka praca, więc odprawiła kierowcę, bo nie było żadnego sensu, żeby tu na nią czekał przez tyle godzin. Na początek zaproponowałam jej kawę, a ona się chętnie zgodziła, okazało się, że chciała pogadać.

Najpierw wypytywała mnie o specjalizację w blondynkach. Paluch już w bramie zwrócił jej uwagę na zdjęcia w gablocie i zasugerował, że też powinna się przerobić na Villas, a pani Fraumann od razu zapaliła się do tego pomysłu. Ustalili, że muszą zdążyć do następnego numeru, więc wzięłam się za robotę, a Paluch poszedł na górę, do ojca.

Gdy zostałyśmy już same, Fraumann opowiedziała mi o życiu z Połanieckim, czyli Paluchem przerobionym na potrzeby „Dziewczyny”. Bo oni w tej popkulturze zawsze muszą być nietypowi. Uważam jednak, że Paluch brzmiałoby bardziej oryginalnie. Wracając do Beaty, koncert wysłał ją do nas głównie z powodu znajomości

języka. Ponadto ojczym wyznał jej tuż przed śmiercią, że była wzięta od jakiejś Polki, prosto po porodzie szpitalu, i ona chciała wyjaśnić tą sprawę. W Warszawie zaczęła współpracować z Paluchem i zwierzyła mu się z tego wszystkiego. Paluch już wcześniej wiedział, co kiedyś zrobiłam – skojarzył oba fakty, więc wbił sobie do głowy, że to ja mogłam urodzić Beatę. Że to jego i moje dziecko. Ale nawet jeżeli ma rację, przecież się ze mną nie ożeni, i nie uznamy Beaty za swoją, bo na wszystko jest już za późno, wszyscy jesteśmy za starzy. Więc wołałam niczego nie sprawdzać, nie drążyć tematu. Chociaż, muszę się przyznać, coś mnie w sercu zakłuło, szczególnie, gdy już przerobiłam ją na blondynkę. Zupełnie, jakbym zobaczyła samą siebie sprzed lat. Taką, jaką byłam wtedy, gdy się poznaliśmy w szpitalu. Popatrzyłam się w lustro i od razu zobaczyłam matkę i córkę. Pomyślałam też, że nic z tego nie wyniknie dobrego. I jakbym wykrakała, niestety.

Na początek umyłam Beacie włosy, a zanim przeschły, podgoliłam Nowaka. Potem Nowak wrócił do Krzaka i pili dalej, słyszałam, jak wciąż śpiewali idiotyczne piosenki. Paluch pojawił się piętnaście po trzeciej. Wziął klucz do Nowaka, gdyż uważał, że właśnie tam są najlepsze miejsce na zdjęcia. Po czasie wiemy, że chodziło mu szczególnie o wannę. Przyjrzał się postępom w czesaniu i zabrał statywy i lampy.

Zeszyły mi prawie trzy godziny, żeby zrobić panią Fraumann na

glanc. Natapirowana, w platynowych lokach, wyglądała jakby wyszła spod igły. Wtedy z zaplecza wynurzyli się pijani Nowak i Krzak. Zachwycili się nową Beatą i gadali o niej na boku. Śmiali się, rechotali, bo była zupełnie identyczna, jak ja, tylko trzydzieści lat wcześniej. Nagle Krzak przypomniał sobie, że to pan mieszkał kiedyś nad nami. Poczzerwieniał na twarzy, zatrzęsł się cały, zaczęło się robić groźnie. Na szczęście pojawił się Paluch i zabrał panią Fraumann na zdjęcia. Nowak i Krzak wyszli zaraz za nimi, ledwo się trzymając na nogach.

Po pewnym czasie poszłam na piętro i podsłuchiwałam pod drzwiami. Ktoś wytykał Beacie, że puszcza się z każdym, a ona tylko się z niego śmiała. Nie rozpoznałam, z kim rozmawiała. Mogli to być Nowak lub Krzak, którym Beata w pijanym widzie jawiła się jako ja, albo Paluch, zazdrosny o innego faceta – takie myśli przychodziły mi wtedy do głowy. Przypomniałam sobie, że wiele lat wcześniej również puszczałam się z każdym, kto mnie tylko poprosił, ale wtedy nikt mi nie robił wyrzutów, nikt nie miał mi tego za złe. Potem zeszałam i nic nie robiłam, bo nie było klientów, nie było nic do roboty. Po kwadransie zobaczyłam przez okno Nowaka i Krzaka. Skręcili do bramy i usłyszałam, jak idą na górę, do tego przeklętego mieszkania.

Podsumowując, wszyscy trzej w odpowiednim czasie byli na miejscu zbrodni. Nowak, Paluch i Krzak. I jeden z nich na pewno ją zabił. Jak już wspomniałam, Krzak mógł po pijaku pomylić Frau-

mann ze mną młodą, bo po przeróbce wyglądała identycznie, jak kiedyś ja, więc mógł mnie ukarać mnie w imieniu Nowaka. Poza tym to on najbardziej pasuje mi na mordercę, gdyż Nowak jest oazą spokoju, a Paluch podobno kochał Beatę nad życie. Tego dnia znowu mnie przekonywał, że Fraumann jest jego i moim dzieckiem, ale miłość też czasem popycha do zbrodni. Dlatego Paluch też powinien być podejrzany.

A może załatwili ją wszyscy trzej? Czytał pan „Morderstwo w Orient-Expresie”?

Po pewnym czasie udałam się ponownie na piętro, chciałam sprawdzić, co się tam dzieje. Klucz tkwił nie przekręcony w zamku, drzwi były uchylone, cisza jak makiem zasiał. Zebrałam się na odwagę i zajrzałam do środka. I znalazłam Fraumann nieżywą w łazience, w pustej wannie bez wody. Spostrzegłam też, że miała na ręku nowy pierścionek, dwa złote splecione serduszka. Chciałam go sobie zatrzymać, lecz nie dał się ściągnąć z palca.

Biorąc to wszystko pod uwagę, okoliczności i rozum wskazują na Krzaka. To jego zawsze się bałam, a Palucha i Nowaka żal mi po prostu. Więc najpierw posprzątałam mieszkanie, żeby zetrzeć ślady ich palców, a następnie rozebrałam Beatę do naga. Zrobiłam to, żeby wszystko zagmatwać. Potem wyniosłam jej ciuchy na śmietnik, daleko, na Kilińskiego, a jeszcze później puściłam wodę. Żeby mnie zalało przez sufit, że niby przypadkiem zgłaszam awarię, bo przecież

taka pani, jak Fraumann nie mogła zniknąć, ot tak. Zresztą był jeszcze kierowca, umówiła się z nim na wieczór, mieli już wracać. Dlatego i tak zaraz by wyszło sztydło z worka.

Kiedy już posprzątałam, to pan się napatoczył na schodach. Umknęłam na piętro, jednak od razu wiedziałam, że pan mnie wtedy zobaczył. Słyszałam, jak przekręca pan klucz. Ale dlaczego mnie o to nie pytali? Czy pan mnie krył, panie Martens? Czy ze względu na przeszłość?

Gdy usłyszałam, że pan sobie poszedł, doszłam do wniosku, że wszystko zwałę na pana, a Krzak będzie mi wdzięczny i się ostatecznie odczepi. Po Wioletce zostało mi pana zdjęcie w tych małych okrągłych okularkach i wpadłam na pomysł, że je przybiję do ściany nad wanną. Potem postanowiłam, że zrobię pana jeszcze mocniej, bowiem, i teraz i kiedyś, wszystko się stało przez pana. Stąd ten pomysł z krawatem – zdziwiłam się, że pan po niego nie wrócił. Ze szłam, zabrałam krawat z wieszaka i podduśłam nim nieco panią Fraumann. Nie zrobiłam jej krzywdy, i tak była już trupem.

Zrzuciłam wszystko na pana, bo pan nie jest od nas, pan nie jest ze Wschodniej. Panu się w życiu udało, panu musiało się udać. A Wioletta miała taką nadzieję, że zabierze ją pan na Piotrkowską.

O ósmej przyjechała policja, a potem pan, o dziewiątej.

Opowiedziałam chłopakom o tym sprzątaniu, że muszę ich kryć, że teraz mają różne metody, linie papilarne i DNA. I mój brat

od nie pamiętam kiedy, pierwszy raz mnie przytulił. Zarzekał się przy tym, że to na pewno nie on, jednak denerwował się, żeby pan czegoś nie zwąchał. Więc myślę, że to musi być on. Agnieszka sądzi podobnie. Od młodości wszystko mu się kleiło do rąk, nie liczył się nigdy z uczuciami. Patologiczny pijak i awanturnik, bez poczucia winy, prymityw bez jakichkolwiek skrupułów. A przy tym całkowity brak lęku. Nigdy niczego się nie bał i zawsze obwinał innych. Słowem szumowina i bandzior. Jak mógł taki ukończyć studia, nawet te udawane wojskowe? Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że właśnie tacy są w wojsku najbardziej potrzebni. I właśnie tacy robią tam największą karierę. Krzak nie znosił, gdy poznali jakąś panienkę, a on nie przeleciał jej pierwszy. Dla takich spraw niejednemu obił mordę, nawet najbliższym przyjaciółom. Nie raz powinnam donieść na niego na milicję, bo gwałcił mnie po pijaku, zwłaszcza, że mieliśmy jedno łóżko w pokoju. Potem dawałam mu już nieprzymuszona, dla świętego spokoju. Więc co z tego, że teraz z niego pułkownik, jak i tak takie samo bydlę, jak dawniej.

Przed godziną zdemolował mi zakład, rozciął wargę i podbił oko. Bełkotał przy tym, że powystrzela wszystkich jak kaczki. Teraz chrapie, rozwalony jak wieprz, na mojej nowej kanapie, a ja nie mam się gdzie położyć. Boję się go. Nowak też się go boi, i Paluch. Kiedyś się przyjaźnili, ale dzisiaj trzyma ich przy nim jedynie strach i żaden nie będzie zeznawał. Ani ja, w razie czego. Dlatego liczę na

pana. Liczę, że to nie będzie konieczne.

Wszystkim nam udało się w pewnym sensie uciec od beznadziei z dzieciństwa i odnieśliśmy nawet jakieś sukcesy. Alina i ja mamy swoje prywatne interesy, zakład fryzjerski i restaurację. Nowakowi w wojsku powodzi się średnio, ale robi, co postanowił za młodu. Paluch zmienił nazwisko na Połaniecki i pracuje w „Dziewczynie” – podobno to zupełnie niezła pozycja i forsa. Ale najwyżej awansował ten, co zasłużył najmniej, czyli mój brat. Jedyne Anka skończyła jako meliniara i kurwa i nie wie się jej najlepiej. Tyle sklepów jest czynnych całą dobę, a po bramach konkurencja z Rumunii. Albo, nie wiem, może z Bułgarii. No i jeszcze Wioletka... Wioletka. Wioletka gdzieś nagle zniknęła, rozplynęła się w niepamięci. Jednak przeznaczenie upomniało się o nas wszystkich po równo, bo nie ma odwrotu od grzechów popełnionych za młodu. Od piętna urodzenia i od takiego syfilisu, jak Wschodnia.

Czuję się dzisiaj niepotrzebna, stara i niewiele już oczekuję od życia, ale, błagam, niech pan coś zrobi. Niech policja zamknie go w pierdłu, niech go skazą na dożywocie. Wtedy może wreszcie się wyśpię w spokoju.

Z poważaniem, Agnieszka.

– Panie Połaniecki, proszę otworzyć!

Po dzwonku do mieszkania pod czwórką pozostała jedynie okrągła dziura w murze. Dlatego Martens na zmianę to wołał, to pukał, tak od dobrej minuty. Wreszcie dało się usłyszeć szuranie. Szczęknął zamek i przez szparę ograniczoną łańcuchem padł na posadzkę pasek żółtego światła.

– Syna nie ma – zaskrzeczał głos starego Palucha.

– Tato, wpuść pana – doleciało gdzieś z głębi.

– Syna nie ma – powtarzał uparcie stary. Zaskrzypiały deski podłogi i drzwi otworzyły się szerzej.

– Przepraszam pana.

Połaniecki wpuścił Martensa do środka.

– My się już znamy, prawda?

– Z telewizji, z programu „Morderstwo”. I z pubu. Podarował mi pan wtedy „Dziewczyne”.

Martens wyciągnął wyrwaną z gazety kartkę ze zdjęciem Beaty Fraumann przerobionej na blond.

– Możemy pogadać?

– Powiedziałem już wszystko policji.

– A do mnie przyszedł list od Agnieszki. I mamy problem z tym listem.

– W takim razie zapraszam.

Przepuścił Martensa przodem.

– Naprawdę nazywam się Paluch. Józef Paluch. A to mój tata,

Władysław.

Wprowadził go do pokoju, zamknął za sobą drzwi.

– Tak mieszkam.

Zamachnął szeroko ręką.

– Nie zmieniałem tutaj niczego od dziecka. Niestety, wstyd się przyznać, ale nie odwiedzałem ojca dwa lata, odkąd współpracuję z „Dziewczyną”.

I z Beatą – pomyślał Martens.

Królestwo Połanieckiego przypominało poetycką graciarnię. Martensowi filozoficznie przyszło na myśl, że tak mógłby wyglądać pokój współczesnego Tomka Sawyera. Połączenie pamiętających lepsze czasy stolików, półek i szafek i pieczołowicie ustawionych na nich młodzieńczych skarbów – śmieci bez jakiegokolwiek wartości. Na przykład wypełniony niedopałkami słoik po wekach.

– To moje pety ze szkoły.

Gospodarz z przyjemnością przyjął rolę kustosza.

– Prawie połowa Damskich i nieco więcej Żeglarzy. Te drugie pozostały po Krzaku, który codziennie zachodził tu jarać. Bo ja się chowałem bez matki, nikt mi niczego nie bronił. A niedopałki zbieraaliśmy na czarną godzinę, ale ta jakoś nie przysłała.

Martens pomyślał, że tamten się myli, i że w tej sytuacji pety nic nie pomogą. Przypomniał też sobie znalezione na parapecie opakowania po Popularnych i zrozumiał, że musiały się tam znaleźć

niedawno, że trzydzieści lat temu robili podobne, ale wtedy nazywały się Sporty.

Więc czemu Agnieszka pominęła je przy sprzątanii, czemu pozostawiła paczki na oknie? – pytania mnożyły się nadal.

– Zapali pan?

Połaniecki wyciągnął Marlboro.

– Dziękuję. Palę wyłącznie te z kółkiem.

Między oknami, przy ścianie, spoczywało kilkaset butelek ułożonych w kilku starannych warstwach.

– Wszystkie wyłącznie po winie marki Wino. I wyłącznie brązowe, bo inne wyrzucaliśmy przez okno.

Gospodarz potrącił lekko pierwszą z brzegu.

– Jeden ruch i wszystko runie, niczym domino. Ale na razie, już od trzydziestu lat, jakoś trzyma się w kupie. A propos trzydziestu lat, panie Martens, przecież ja pana znam już od dawna. Uzmysłowiłem sobie, że za czasów naszej młodości to właśnie pana obserwowałem zza drzwi.

– Zgadza się, mieszkałem wtedy naprzeciwko z Wiolettą, podczas pobytu Nowaka w szpitalu.

– No właśnie. Nie miałem pojęcia, że ten fagas nazywał się Martens. Byłbym obił wtedy panu mordę z miłą chęcią, ale dziewczyny mnie powstrzymały. U jednej z nich widziałem też pana zdjęcie z młodości; długie włosy i okulary.

– U Agnieszki?

– U Anny. Może po kieliszeczku?

– Palimy, kiedy pijemy. Pijemy, kiedy palimy.

– Dokładnie.

Począł do szafy, pociągając za sobą nogą.

– To wermut muszkatołowy. Domowa produkcja taty.

Nalał wino do musztardówek. Miały oryginalne nalepki „Sarepska”.

– Pamięta pan, takie mieliśmy wówczas za szklanki. Bo w Związku Radzieckim uprawiali wyłącznie gorczycę sarepską. A dzisiaj sami eksportujemy musztardę do Rosji.

– Identyczne wino piłem wczoraj u Dominika. Podobno się znacie?

– Podobno.

Zamilkli, wypili wermut do końca.

– Sprowadził pan do niego Wioletę.

– To było dawno.

– Kogoś panu pokażę.

Martens wyciągnął zdjęcie ukradzione z „Aliny”.

– Ten na środku to ja.

– A dziewczyna?

– Na piecu? Agnieszka, Alina albo Anka. To nie Wioletta, panie Martens. Na pewno.

– Skąd ta pewność?

– O, to długa historia. Pamięta pan? Mężczyźni wolą blondynki. W dodatku wszystkie blondynki są do siebie podobne. Wszystkie starają się równać do wzorca.

– Czyli wówczas do Villas.

– U nas do Villas, a za oceanem do Marilyn Monroe.

– Zaś dzisiaj do Pameli Anderson i Barbie.

Połaniecki wyłożył na stół fotografie. Pożółkłe, w wymiarze trzydzieści na osiemnaście.

– To wglądówki. Dopiero z nich najlepsze wybiera się na wystawę i powiększa do odpowiedniego formatu.

Na odwrocie autor opatrzył wszystkie wspólnym tytułem: Wioletta.

– Proszę zgadnąć, kto tu jest kim. Która to Wioletta-Agnieszka, Wioletta-Alina, Wioletta-Anna i Wioletta-Wioletta.

– To psychologia.

Przypomniał sobie nudne i dęte wykłady pani magister Mewy Martens zamęczającej go pseudo wiedzą ze studiów.

– To nauka widzenia. Strzemiński. Zazwyczaj najpierw zauważamy podobieństwo obrazków, a dopiero po czasie pojawiają się nierówności.

– Typu: wskaż trzy szczegóły różniące się między sobą. Zaś nagrodę za rozwiązanie zagadki można odebrać w portierni.

– Na przykład.

– Pan też fotografuje wyłącznie kobiety, mam na myśli Beatę i Annę. Byłem u niej niedawno.

– I jakie wrażenia?

– Używa pan długopisu w czterech kolorach?

– Nawet nie wiem, gdzie się takie kupuje.

Zapalili, wypili po następnej „Sarepskiej” i zaczęli dyskusję o płci. Martens wciąż miał przed oczami Jarekę i twierdził, że największym niebezpieczeństwem jest dla faceta *la femme sexuée*. Odczuwa taka wprawdzie pożądanie jak każda, ale trzyma kontrolę nad przyjemnością do końca. I od dawna nie pasuje do Ewy z Księgi Rodzaju. A jej erotyczna aktywność każe spostrzegać wszystko wyłącznie poprzez potrzeby waginy.

– Połaniecki, może i dobrze, że one nadal umieją podgrzewać parówki. Ale w jakim celu to robią?

– Nie można w ten sposób. Przenajświętsza Panienska to także kobieta.

– A Britney Spears?

– Nie zajmuję się *celebrities*, jestem jedynie fotografem w „Dziewczynie”.

W graciarni zrobiło się duszno.

– Przepraszam, otworzę okno.

W mieszkaniu po przeciwnej stronie ulicy znów pojawiła się

blondynka w czerwonej sukience. Pomachała im ręką i zniknęła, zaciągając kotarę.

Ktoś mnie śledzi. Wie, gdzie jestem i kiedy – Martensowi zakołatało szybciej serce. – I bardzo chce mnie nastraszyć.

– Prawdziwa kobieta, na przykład Anna, łączy w sobie jednocześnie sztukę, ekonomię i politykę. Sztukę, czyli stare przepiękne ciało i niegustowne ubranie. Ekonomię, bo uprawia napiętnowany, aczkolwiek użyteczny proceder. Oraz politykę, i to politykę społeczną, gdyż świadomie wybrała do życia Włókienniczą, róg Wschodniej. A to jest najlepsze w Łodzi miejsce do powolnego zdychania. Beata miała inne podejście do życia...

Połaniecki zaciągnął się i zakaszłał, spojrział na pustą butelkę. Martens także się wzruszył, więc wyciągnął z marynarki dwie flaszki.

- Kwaśny sikacz. Terra Quente Colheita.
- Blondynka.
- Farbowana kobieta.
- W zwierciadle mężczyzny.
- Kolorowy papierek.
- Opakowanie, które obiecuje delicje.
- Mami, że oto spożywamy wykwinną potrawę.
- I ta potrawa rzeczywiście nas oszalałmia.
- Zastępuje nam filozofię, religię i sztukę.

– Czerpiemy z niej całymi garściami.
– I udajemy, że blondynki są tym, czego kocury pragną najbardziej.

– Ale to zwykły kicz.

– Reklama i teledyski.

– A nie konkretne ciało i dusza.

Przerzucali się wymądrzaniem, niczym gorącym kartoflem.

– Natomiast Ania to, niestety, wyjątek. Wszystkie pozostałe chciały się wyrwać ze Wschodniej, a ona została. I to została całkiem świadomie, dlatego ją jedną szanuję. Bo tu, panie Martens, być kobietą najtrudniej. Nie założyła rodziny, została na starość prostytutką, ale prostytutką z przemyślanego wyboru. Nie tam jakąś magisterkurwą z Piotrkowskiej albo *callgirl*. Nie fryzjerką od bólu głowy, nie kucharką we własnej knajpie, tylko najtańszą dziwką, jednak jakże wspaniałą!

Martens miał inne zdanie.

– Podziwiałem ją wczoraj na zdjęciach.

– Dziękuję, ale podpieram się przeważnie malarstwem. Anna całująca się sama ze sobą to „Leda z Łabędziem”, ta z opuszczoną bluzeczką to „Młoda Kobieta w Futrze” Rubensa, a zanurzona w modlitwie to „Kobieta Łapiąca Pchłę”.

Połaniecki przywołał w myślach widać jakieś szczególne wspomnienie pani Anny, bowiem westchnął przeciągle.

– Niewiasty występujące na dawnych obrazach są wzorcami skromności i delikatności. Proszę zwrócić uwagę, że najczęściej zasłaniały rękami co bardziej intymne części ciała, to znaczy malarz zasłaniał, rzecz jasna. Więc podejrzewam, że onegdaj, by wywołać podniecenie swoją osobą, musiały być pozbawione owej dzisiejszej bezpardonowej nagości. Musiały odpowiadać wyobrażeniu bardziej dziewicy niż dziwki. Fotografuję, wspierając się bardzo podobną filozofią.

– A Wioletta?

– Wioletta... Oglądaliśmy kiedyś film „Dzięcioł”, puszczała go w kinie na Ogrodowej. I tak się dziewczynom spodobała pani mecenasowa Villas, że wszystkie się przefarbowały na blond. Jedna nawet została Wioletta, żeby sobie dopomóc w życiu, ewentualnie. Ale która to była i jak miała na imię, tego już panu nie powiem.

– No cóż. Właśnie w tej zakochałem się trzydzieści lat temu. I prawdopodobnie zostałem takim samym dzięciołem, jak Gołas.

Naszło go rozrzewnienie, roztkliwił się nad rozlaną zupą. Bez sensu.

– Jaki Gołas?

– No, Wiesław. Nieważne.

– Może coś przekąsimy? Gdzieś mam tu puszkę sardynek. Beata uwielbiała sardynki...

Tym razem rozczulił się Połaniecki.

– Fraumann miała na imię Beate, z „e” na końcu. I tak właśnie o sobie mówiła, z wyraźnym niemieckim akcentem. Do Polski skierował ją koncern, który wydaje w Niemczech Mädchen, natomiast „Dziewczyna” to tylko taka spolszczona mutacja, którą Beata miała wprowadzić na rynek. Kiedy poznaliśmy się trochę lepiej, zwierzyła mi się, że starzy przysposobili ją jako niemowlę i że po ich śmierci chce odnaleźć prawdziwych rodziców. Wiedziała, że przynajmniej matka musiała być Polką. Wprawdzie w berlińskich papierach nie było śladu o adopcji i naturalnych rodzicach, ale dotarła do dokumentacji szpitalnej i dowiedziała się, że w dniu jej urodzin w całym Berlinie przyszła na świat tylko jedna dziewczynka. Dziewczynka, której dano na imię Beata. Fraumannowie zmienili Beatę na Beate dopiero, gdy poszła do przedszkola czy szkoły. A Beata to imię polskie. Skojarzyłem wtedy daty i fakty, Agnieszkę, Alinę, i córeczkę oddaną w Berlinie jakimś ludziom. Dziewczynkę, dla której, bardzo chciałbym, żeby tak było, jestem prawdziwym ojcem.

– Badanie DNA wyjaśniłoby sprawę.

– Ale mogłoby mnie wykluczyć jako rodzica. A tak żyłem w bezpiecznej ułudzie. Panie Martens, przez ostatnie dwa lata traktowałem Beatę jak córkę. Jednak ona, zupełnie nieświadoma, widziała we mnie wyłącznie mężczyznę. Sytuacja stała się nie do zniesienia, kłóciliśmy się o byle co i bez przerwy. Ona chciała się kochać, prowokowała mnie ciągle, a ja się wilem. Kombinowałem, żeby podsu-

nać jej jakiego chłopaka, żeby się zakochała, a ja im będę ojcował. Nic z tego, aczkolwiek kręcili się wokół niej odpowiedni faceci. Tacy z pozycją i forszą, przedstawiałem ich sobie. Wtedy ona, żeby mnie wkurzyć, rzucała mimochodem, na przykład: Przeleciałam wczoraj kierowcę. I to mi na razie wystarczy.

Połaniecki rozlał ostatnią butelkę i przez pomyłkę zapalił Lucky Strike'a. Martens chciał mu zwrócić uwagę, ale chwyciły go mdłości. Poczul na czole krople zimnego potu, miał wrażenie, że za chwilę zemdleje.

– Na zdrowie...

Wypił i zrobiło się lepiej.

– Teraz, gdy Beaty już nie ma, zniknęły także problemy.

Fotograf pociągnął bezpośrednio z butelki, krzywiąc twarz w ponurym uśmiechu.

– Jeden z nich musiał ją zabić, panie Martens. Albo Krzak albo Nowak.

– Podejrzewają też pana.

– Przesłuchiwali mnie kilka razy, podobno została uduszona. Sugerują, że ją zabiłem z zazdrości i odrzucenia, ale to niedorzeczne. Nie zabija się córek...

Rozpłakał się, ukrył twarz w dłoniach.

– Obaj kłamią, zapewniają o niewinności. Idą w zaparte i twierdzą, że wszystko przeze mnie. Że nie musiałem jej ciągnąć na

Wschodnią. Może i nie musiałem, ale chciałem. Chciałem potrząsnąć Agnieszką. Chciałem, żeby zrozumiała swój błąd.

– Nie rozumiała.

Martens przypomniał sobie list od fryzjerki.

– Agnieszka uważa, że to Krzak jest mordercą, jednak ja bym obstawiał Nowaka. On ma coś z głową. Zresztą wie pan, ta cała historia z nieudanym małżeństwem; może się dowiedział o Berlinie i dziecku? Coś mu się przywidziało, pokręciło, może dostrzegł w Beacie niegdysiejszą Agnieszkę. Nawet żał mi go trochę, przecież byliśmy kiedyś przyjaciółmi z podwórka.

Martens znowu poczuł się źle. Wyobraził sobie kawałki sardynek pływające w żołądku w kwaśnym winie i próbujące powrócić do gardła. W ostatniej chwili powstrzymał się od rzygania.

– Trzej przyjaciele z podwórka... – zanucił tymczasem gospodarz. – Trzej koledzy ze Wschodniej.

– Trzej panowie ze zdjęcia z „Aliny”. Wszyscy chłopcy poszli do armii – powiedział mi pana ojciec. Proszę mi o nich coś opowiedzieć.

– Pierwszy, to brat Agnieszki, pułkownik. Dosił się stopnia z wielkimi trudnościami, ale skończył wszystkie szkoły, co trzeba, w tym oficerską łączności. Jest jakąś szychą w Dwudziestej Piątej Brygadzie Kawalerii Powietrznej. Ma blisko do Łodzi oraz szybki czarny samochód. Nikt go nie kontroluje, nikt nie wystawia przepustek.

Robi co chce, jeśli nie jest akurat na misji. A na tych misjach, niby to pokojowych, naoglądał się trupów. Jednak to w sumie porządny człowiek.

– Stary kawaler?

– Kiedyś był komiwojażerem seksualnym, całe życie był w drodze, żeby znaleźć sobie właściwą kobietę, ale, niestety, żadna z nich to nie była ta jedyna, wyśniona.

– Czyli nie jest typem mordercy?

– Krzak jest łagodny z natury, zresztą jak wszyscy potężni faceci. Kocha Agnieszkę. A gdy wypije, gotów jest kochać wszystkich, jak leci.

Ciekawe. Siostrzyczka ma inne doświadczenie w tym względzie – pomyślał Martens.

– Czy pan się go boi?

– Może trochę.

– Nowak boi się bardziej?

– Nowak to sierżant sztabowy, w wojsku nie zaszedł specjalnie wysoko. I tak ma chłop szczęście, że go jeszcze trzymają. Dochrapał się stanowiska intendenta w Klubie Garnizonowym Pierwszej Mazurskiej Brygady Artylerii, a wcześniej pracował w Wojskowym Domu Wypoczynkowym. Przeczytam coś panu, dostał podziękowania. Przesłał mi te papierzyska, chciał się pochwalić, jak go doceniają w jednostce.

Połaniecki poszperał w szafce, wyciągnął ksero A4.

Dziękujemy panu starszemu sierżantowi Stanisławowi Nowakowi za wytrwałą służbę na polu kultury. Wiele powstałych w okresie pana pracy inicjatyw kulturalno-oświatowych i turystycznych wrosło na trwale w krajobraz Wojska Polskiego, jak również miasta Węgorzewa. Festiwal Rockowy, Regaty Oficerskie w Klasie Omega i Jachtów Kabinowych, Mistrzostwa Wojska Polskiego w Wędkarstwie Splawikowym i Podlodowym.

Połaniecki roześmiał się, niczym chłopiec.

– U Nowaka pod koniec października była przysięga. Potem wziął urlop i rano przyjechał do Łodzi. Ale zamiast iść do siebie na górę, zwałił się na głowę Agnieszce.

Wypili marne resztki Terra Quente, zapalili Marlboro.

– Na koniec kierowca sierżant Józef Paluch, kiedyś w kwartmistrzostwie Szóstej Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej, od dziewięćdziesiątego piątego na rencie. Pracuje pod pseudonimem jako fotoedytor w „Dziewczynie”. Znał Beatę najlepiej. *Alles sind zum Arzt gegangen* – jak mówią Niemcy. Czyli, parafrazując: i to było na tyle.

– Zapomniał pan o mnie: Rafał Martens, marynarz. Po waszemu to szeregowy. Zwolniony ze służby bez przeniesienia do rezerwy.

Przydział: Ustka, Centrum Wyszkożenia Specjalistów Marynarki Wojennej. W każdą niedzielę dziesięć kilometrów piechotą do kościoła, próby kroku defiladowego na plaży, seanse filmowe z propagandową komedią jak rozpoznać i złapać szpiega, wreszcie specjalizacja sześćset trzydzieści i krótki pobyt na wydmie, na wieży z atrapą radaru na korbę.

Od dawna nie mówił tyle o sobie, i to zupełnie nieznanemu mężczyźnie.

– Panie Połaniecki, kto, według pana, zabił Beatę.

– Powiedziałem policji wszystko, co wiem. Gdy wróciłem od „Agfy”, oni siedzieli w pokoju, a ona była już trupem. Jednak prawdziwy sprawca to alkoholizm.

– Połaniecki, gdzieście byli i coście robili tego a tego dnia o tej a o tej godzinie? – w głosie Martensa, ni stąd, ni zowąd, pojawiły się kabaretowe nuty à la policja.

Poczuł się niczym aktor na planie socjalistycznego thrillera, spojrział z udaną złością na złoty zegarek. Odziedziczona po ojcu Doxa zatrzymała się na w pół do siódmej, prawdopodobnie już kilka dni temu.

– Gadać mi, tylko krótko! Kiedy widzieliście ją po raz ostatni?

– Żywą czy martwą? Panie oficerze, ja jej nie udusiłem. Połaniecki-bandyta uśmiechnął się równie fałszywie, jak Martens-ubek.

– Mam cię, draniu! O tym, że denatka została zgłodzona przez

zadzierzgnięcie krawata na szyi, wiedziałem do tej pory jedynie ja i nikt więcej. Połaniecki, jesteście aresztowani i wolno wam nic więcej nie mówić.

– Jestem niewinny i do niczego się nie przyznaję. Jednak opowiem wszystko, co wiem. Proszę zaczekać...

Przyniósł gdzieś z domu lampę, postawił na stole i skierował ją sobie prosto w twarz.

– Jak przesłuchanie, to przesłuchanie.

Usiadł naprzeciw.

– Wiele razy widziałem podobną scenę.

– Nie ma żarówki.

Powrócili na ekran.

– Do rzeczy, Połaniecki, do rzeczy.

– Szanowny panie oficerze. Otóż tego to a tego dnia po obiedzie zawiozłem Beatę do „Studia Fryzury” na Wschodnią. To znaczy Olszak nas zawiózł.

– Ten jej kierowca nazywa się, jak Alina. I jak kryminalny od Króla. I jak pewna kobieta w Berlinie. I ma Ginter na imię. I to imię mi nie daje spokoju.

– Bo to powinowaty Aliny, bratanek starego Olszaka. Beata zatrudniła go wyłącznie na moją prośbę, ale Ginter to trudny człowiek. Twierdzi pan, że on się otarł o kryminal?

– Odwrotnie. Myślałem, że on jest z policji. Że mnie chroni,

albo szpicluje. Zaś w Berlinie... Nieważne.

To, że przybrana matka córki Agnieszki nazywa się Olschak, postanowił zachować dla siebie. Pomyślał też, że coś za dużo tych dziwnych zbiegów okoliczności. No i taka wpadka z Olszakiem. Nie glina, nie szpicel, tylko cywil-kierowca. Martens, jesteś idiotą!

– Mówcie dalej.

– No więc przyjechaliśmy z Beatką do Agnieszki, bardzo chciałem, żeby się zapoznały, ewentualnie matka i córka. Wtargaliśmy do środka graty, nigdy nie zostawiam ich w aucie. Denerwowałem się, ale ona, zamiast pomyśleć, że za chwilę odnajdzie rodzinę, zachwycała się zdjęciami w gablocie i postanowiła przerobić się na blondynkę. To miało potrwać ze trzy godziny. Więc odprawiła Olszaka, żeby nam nie siedział na głowie, jakoś nie darzyła go specjalną sympatią. Od dawna chciała zmienić kierowcę, a on wiedział, że jest na wylocie i zhardział. Kiedy już poszedł, to Agnieszka kazała mi się zmywać do ojca, żebym nie przeszkadzał w ablucjach poprzedzających te wszystkie farby i wałki.

– Ale przedtem wpadliście na pomysł, żeby sfotografować Beatę.

– Tak. Chciałem zrobić jej zdjęcie natychmiast po przeróbce i jeszcze w tym samym dniu przekazać je do Warszawy. Wtedy zamieszczą fotkę w następnym numerze. Wziąłem od Agnieszki klucz do mieszkania Nowaka, żeby zawczasu się przygotować. Postanowi-

łem sfotografować naszą gwiazdeczkę w wannie, w ujęciu tak zwanym z lotu ptaka, ze niby tak sypia, albo umarła. Zwłaszcza, że ubierała się zawsze na czarno. W każdym razie znalazłem sposób, żeby odświeżyć jej opatrzone image, żeby całkowicie wywrócić jej wizerunek. Bowiem od czasu do czasu rzucamy siusiumajtkom tego typu ochłapy, żeby miały o czym trajkotać na przerwach. W naszym biznesie wszystko się dzieje na maksa, bo tylko wówczas wzrasta czytelność i popularność. Mogę zapalić?

– Palcie.

Martens poprawił starannie lampę.

– Nie macie swoich?

Niedbałym ruchem podsunął Połanieckiemu otwartą paczkę.

– Jak w kinie, do licha. Albo jak w piaskownicy.

– Bez komentarzy! Obywatelu Połaniecki, przypominam, że to jest pałac Mostowskich.

– Gdy tylko Fraumann przeistoczyła się w Villas, zabrałem ją na górę, pod trójkę, a tam wszystko już było przygotowane. Zaś Agnieszka, Nowak i Krzak pozostali w zakładzie i chyba pili, bo śpiewali, że aż dolatywało na piętro. Potem wszystko ucichło, tak parę minut po czwartej. Zabrałem się do roboty i wypstrykałem trzy i pół kliszy. Tymczasem do Beaty ktoś dzwonił, ale ona nie odbierała i narzekała, że kompletnie zdrętwiała – z zimna i z niewygody.

– To może być ważne...

Martens poślinił nieistniejący kopiowy ołówek i udawał, że coś zapisuje w równie nieistniejącym kajecie.

– Co dalej?

– Dalej wyszedłem dać filmy do wywołania, do „Agfy”. A gdy wróciłem, to Beata leżała w tej wannie nieżywa, zaś w pokoju siedzieli Nowak i Krzak. W tym momencie coś we mnie pękło, chciałem ich pozabijać, pomyślałem, że udusili ją na spółkę i równocześnie. Ale tak się nie da, niestety, więc tylko jeden, ten pierwszy, jest tak naprawdę mordercą.

Połaniecki porzucił komediowo-filmową konwencję i zapalił nerwowo Marlboro.

– Panie Martens, ja się bałem tam zajrzeć. Zaś Nowak i Krzak nie chcieli się przyznać i mówili, że zastali już trupa. Zaatakowali mnie nawet, że to ja jestem mordercą. Że się posprzeczaaliśmy i uduśliłem Beatę w afekcie. Nie wiedzieli, że to moja córeczka.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Połaniecki wrzucił peta do słoja i wyszedł. Po czym wrócił po kilku minutach i usiadł z powrotem przed lampą.

– Potem poszliśmy we trzech do „Aliny”, napić się i naradzić. To wszystko.

– Ciekawe... Martensa coś tknęło.

– Mówił pan, że ktoś do niej dzwonił. A czy sama pani Fraumann nie dzwoniła do kogoś?

– Gdy wyszedłem na schody, to rzeczywiście usłyszałem jakąś rozmowę. Muszę się przyznać, że nawet wróciłem. Jednak nie rozumiałem, z kim gadała i o czym.

– Dlaczego?

– A dlatego, że rozmawiała z tym kimś po niemiecku, a ja nie znam tego języka.

– Po niemiecku? Bardzo ciekawe...

– No właśnie, myślałem, że dzwoni do Niemiec, tam jest siedziba właściciela „Dziewczyny”. Dwa dni później obejrzelśmy „Morderstwo”. Pokazali, że została uduszona krawatem, w dodatku w wannie po brzegi z wodą – wtedy nic już nie mogłem zrozumieć. Przecież leżała tam sucha i bez żadnego krawata. Wszystko to powiedziałem policji, temu Królowi, i zasugerowałem, żeby nie spuszczać z oka Nowaka. Bo on ma broń i nie zawaha się, w razie czego, przed niczym.

Połaniecki spojrział na opróżnione butelki.

– Chodźmy się napić.

– Chodźmy – zgodził się Martens.

Zdecydowali się iść do „Aliny”, ale najpierw postanowili pożegnać starego i przeszli do kuchni. Władysław Paluch gapił się tępo w telewizor.

Policja w Tel Awiwie zatrzymała rabina Aarona, sprzeda-

jącego wiernym dwuhektarowe działki. Ukryta kamera zarejestrowała, jak prowadzi negocjacje z chcącymi kupić kawałek ziemi. W kancelarii rabina znaleziono kopie umów na ponad dwieście hektarów. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie to, że ziemia, którą handlował, znajdowała się w raju.

Jako tło wyświetlili Adama, węża i jabłko; wszystko ze średniowiecznego obrazu.

– Połaniecki, proszę mi opowiedzieć coś o Wioletcie.

– O której?

Po przyjacielsku poklepał Martensa.

– Otóż Wioletta to tylko taka lokalna bajka. Takie tam dziewczynskie wygłupy...

Wyjrzeli jednocześnie przez okno. W bramie naprzeciw wystawał zapity w sztok Krzak. W uświnionym wojskowym płaszczu i czapce daszkiem do tyłu, przestępował z nogi na nogę. Obok niego kiwał się Nowak, bawiąc się bronią.

Martens zadzwonił do Króla.

– Nowak. Mówi ci może to coś?

– Może i mówi. Jedyne znany mi Nowak, to były mąż fryzjerki Agnieszki, starszy sierżant sztabowy.

– Półstarszy. Teraz uważaj – zawiesił głos. – Pan sierżant to morderca Beaty.

– Skąd ten wniosek?

– Oczywiście, z kosmosu. A tak naprawdę to obserwacja, kojarzenie i wnioski. Oraz stosowny iloraz.

– Jaki iloraz?

– Inteligencji, idioto. Zabili ją wspólnie z Krzakiem, po pijaku, w afekcie.

– Ale dlaczego?

– Chcieli wyrównać rachunki i rozliczyć z przeszłości Agnieszkę. Bo to wszystko przeze mnie, zabili ją w postaci Beaty.

– Gadasz bzdury.

– Posłuchaj, chcesz czy nie chcesz, macie natychmiast przyjechać na Wschodnią – rozłączył się, zadowolony jak rzadko.

Spojrzał na jezdnię. Pod bramą zatrzymał się czarny samochód. Za kierownicą siedział nie dający odpocząć Olszak.

– Panie Połaniecki... – Olśniło go nagle. – To on! Wskoczył za drzwi i z impetem ruszył na parter. Olszak, Olszak – próbował zebrać myśli do kupy. Agnieszka wmówiła nam wszystkim, że urodziła dziewczynkę. Jednak nie widziała przecież niemowlęcia w szpitalu. I nie zobaczyła go nigdy potem. Zaś Połaniecki uwierzył, że jej i jego dziecko to na pewno Beata. Ale jedyne dziecko Agnieszki to Olszak. Ona urodziła wtedy chłopczyka i sprzedała go tym niemieckim Olschakom!

W dziesięć sekund znalazł się na ulicy i szarpnął drzwiami od

strony kierowcy.

– Otwieraj draniu!

Poczuł kłujący ból pod żebrami, złapał się kurczowo za brzuch. Ukląkł, oparł głowę o jezdnię.

Tylko on mógł rozmawiać po niemiecku z Beatą – wtedy, gdy Połaniecki podsłuchiwał pod drzwiami. Ginter Olszak. Günther Olschak. Przecież on także jest Niemcem.

– Przyznaj się, skurwysynie – słowa uwięźły mu w gardle.

– Zawołać pogotowie?

– Zawołać.

Zaczął rzygać, osuwając się w nicość.

Spod przymkniętych powiek spoglądał na tykający zegarek i liczył krople spadające w kroplówce. Za każdą minutą wychodziło równo sześćdziesiąt. Z taką samą prędkością uderzało też jego serce i Doxa. Cały realny świat wokół niego pulsował w identycznym miarowym rytmie.

Spojrzał przez drzwi na korytarz, przypomniał sobie, jak go przywieźli na oddział. Historia zatoczyła wielkie trzydziestoletnie koło, które zamknęło się dokładnie w tym miejscu. Tutaj się wszystko zaczęło i tutaj skończyło. W tym szpitalu trzydzieści lat temu poznał Wioletkę, stąd trafił do kamienicy na Wschodniej, a wczoraj

wieczorem spod tego samego budynku zabrało go pogotowie i z powrotem wylądował w tym samym szpitalu.

Zmieniło się tutaj niewiele. Na prawo od windy, tej samej, w której pierwszy raz zobaczył Nowaka, ta sama przeszklona ścianka strzegąca wejścia i ten sam napis: „Oddział Gastroenterologii”. Zaś za drzwiami znajomy korytarz z podłogą z wystrzępionego lentexu, ściany pomalowane beżową farbą, mrugające na zmianę jarzeniówki oraz łóżka z chorymi nie mieszczącymi się w salach. Tuż za wejściem zamknięta na kłódkę lodówka z lekami, potem szafka z pościelą, a na końcu wspólna toaleta męska i damska. Od owej pamiętnej jesieni siedemdziesiątego trzeciego zmieniło się tyle, że za pomocą konstrukcji z aluminium i poliwęglanu wydzielono niewielkie pomieszczenie dla siostr.

Równie mało zmieniły się sale, ciasne kiszki z czterema łóżkami i wąskim przejściem po środku. Te same łóżka; obtłuczone, zapadnięte, pożółkłe, taka sama pościel z wypłowiałą lamówką „Służba Zdrowia”, te same stoliki z pourywanymi półkolistymi szufladami, ten sam kosz z nie działającym pedałem i ta sama piwniczna lampa z kloszem wypełnionym czekoladowym sreberkiem. Na ścianach łuszcząca się, brązowa lamperia, zmurszałe przyciski, różnorażkie kable biegnące znikąd donikąd, zaś podłoga, jak dawniej, usłana resztkami ligniny, osłonkami od igieł, zakrwawionymi rurkami i czym tylko popadnie. Wyczytał kiedyś, że szpitalne sprzątaczkę mają

najniższe z możliwych, zarobki. Z nowości przybyły kafelki przy umywalce i telewizor na półce pod sufitem; dwadzieścia cztery cale, zagraniczny, pękaty, z wysłużonym pilotem. Obraz, mimo że podwójny i migoczący, wyceniony został na dwa złote za każdą godzinę.

Położyli go na tym samym miejscu, co wówczas; z lewej strony, z widokiem na szpitalny dziedziniec. Na pozostałych łóżkach spoczywali pan Zygmunt, pan Dyduch oraz staruszek – nazywali go Dziadek. Ale kto jest kim w tym pomieszczeniu, poświadczają najlepiej kaptcie. Plastikowe granatowe klapki w białe paski, adidasy made in China, stanowiły wizytówkę pana Zygmunta. Pana Dyducha charakteryzowały pseudo-góralskie bambosze z baranka, z przepocnymi filcowymi wkładkami. Zaś pantofle Martensa, plecione sandały z czarnej skóry, wyróżniały się wszywką modnej marki „Activa”. Natomiast Dziadek w ogóle nie posiadał obuwia.

Przyszła salowa z zatęchłą ścierką i przejechała środkiem podłogi. Nic nie sprzątnęła, poprzesuwała jedynie jakieś niepołknięte tabletki, szkło po zbitej ampułce i zatyczkę od dziadkowego wenflonu.

– Proszę podać mi basen... – zajęczał cicho pan Zygmunt. – Przepraszam, ale tak trudno srać na leżąco.

– Niech uważa. Niech mi nie narobi do łóżka.

Pan Zygmunt przyjechał się leczyć z Konstakynowa, a przy

jego łóżku było najwięcej kroplówek. Chlorek Potasu, Glukoza, Ketonal, Tramal, Dolargan. Dawkowali mu te leki na zmianę, zaś na stałe, przez całą dobę, dostawał Clinomel – specjalne syntetyczne szwajcarskie jedzenie z potrójnego worka z plastiku. Pielęgniarki denerwowały się, że taki marudny, że wciąż coś go boli i że je wzywa niepotrzebnie po nocach. Że zamiast leżeć, klęczy na łóżku i modli się do Najświętszej Pani, chociaż wie dobrze, że nic mu to nie pomoże.

– Cześć tato...

Przyszła krostowata córka Zygmunta. Miała na imię Halina. Składała się głównie ze spodni dresowych i obcisłej stylonowej bluzeczki. Odślaniała pół brzucha.

– Co ci dają?

– Morfinę.

Zygmunt rozplakał się, przywarł do medalika ze złotą Bożą, a Halina przytrzymała ojca przy piersi.

– Źle się czujesz?

Pogładziła go od niechcenia po głowie. Jednocześnie spojrzała w kierunku Martensa.

– To pan? Ten redaktor z telewizora? A ja z Konstancynowa. Ale studiuję historię w Lublinie. Na KUL-u.

Martens pomyślał, że nie wygląda na jakąkolwiek studentkę. I do tego ten KUL.

– O Jezu, o Jezu, o Jezu... – dobiegło z sąsiedniej sali.

– To ja już pójdę.

Halina uśmiechnęła się kwaśno do ojca.

– Muszę się uczyć.

Pan Dyduch odzywał się rzadko. Jeśli już, to w kółko powtarzał, że skończył osiemdziesiąt dwa lata i że nieźle się trzyma. W szpitalu miał wyżywienie za darmo, więc nie widział sensu, żeby wychodzić. Martensowi zwierzył się, że przyprowadził do mieszkania kobietę, jednak nie zagrzała tam miejsca, pozbył się jej po tygodniu, bo ona chciała oglądać w kółko sport, a on preferował telenowe. Oprócz objawów choroby przejawiał też oryginalne brewerie. Na przykład stanowczo odmawiał sikania do kaczki i wolał się załatwiać do własnego, dwulitrowego słoika. Z jakich powodów to czynił, nie za bardzo wiadomo. Pan Dyduch miał na imię Leopold.

Dziadek był chudy. Przypominał ułana z rozdziawionymi ustami, zdziwionego, że jeszcze żyje. Czas spędzał w pozycji oseska, na zmianę to chichocząc, to mruczając. Był ulubieńcem siostrzyczek, gdyż nie zawracał im głowy. Uśmiechał się tylko, a one w nagrodę nakarmiły go czasem kleikiem. Dziadek nosił sumiaste wąsy, które trzęsły się podczas kaszlu: ha, ha. Pewien czas temu zamilkł niepostrzeżenie, jednak nikt tego nie spostrzegł. Dopiero podczas obchodu ktoś stwierdził, że chyba nie żyje. Oddziałowa z litości nakryła go kawałkiem tkaniny.

– Nowiuteńkie, zielone...

Podrapała trupa po nosie.

Powiadomili już prosektorium i pewnie go niezadługo zabiorą. A zaraz potem położą nowego chorego, następnego w kolejce do raju.

Tymczasem przyszła siostra Irenka, najpiękniejsza na całym oddziale. Z paznokciami wprost z manikiury, z rzęsami przedłużonymi o trzysta procent. Uśmiechnęła się, odłączyła Martensa od rurek.

– Koniec na dzisiaj? – przytrzymał pielęgniarkę za rękę.

– Panie Martens, to dopiero początek. Ja jeszcze tu wrócę.

– Trzymam za słowo.

Wszystkie kabiny zajmowali palacze pozamykani w jednoosobowych salonach, spoczywający na swoich tronach – więc przysiedli na parapecie pod oknem. Król zabrał się za hot-doga, a Martens za Lucky Strike'a.

– Przyniosłem ci „Express”.

– Dziękuję. Co tam u Fatmy?

Nie było ważniejszej sprawy.

– Robię, co mogę. Ale ona wciąż miauczy za tobą.

– W jaki sposób?

– Refik, Refik.

– Idiota.

– Polubiła mnie chyba.

– Coś jej zrobił?

– Nic. Kupiłem jej „Kitekata”.

– I co?

– Najpierw udawała, że niewiele ją to obchodzi. Potem włączyłem telewizor, a ona zaczęła polować na spikera z „Wydarzeń”. Nie mógł się od niej opędzić. Ale gdy tylko wyszedłem do kuchni...

– Uważaj na siebie.

– Dlaczego?

– Bo to jednak blondynka.

Stęsknił się za Fatmą okrutnie.

– Ktoś cię odwiedza?

– Był barman. Wywalili go z pracy.

– A Jarecka i Mewa?

– Pojechały do córki, ona mieszka w Łazach, nad morzem.

– Co ci dolega?

– Wszystko. Trzustka, wątroba, żołądek.

Zaciągnął się papierosem, po raz pierwszy od wczoraj.

– Najpierw myślałem, że morderca to Krzak, bo się zdenewrował, że mogę coś zwąchać.

– Zwąchać? – Król wciągnął powietrze.

– Zważać. Macie coś na Olszaka?

– Mamy. Mamy świadka, zeznania, dowody.

Król prychnął z odrazą.

– Pałą czy srają?

– Pałą i srają jednocześnie. I dodatkowo czytają prasę.

– Zupełnie, jak w domu.

– Co to za dowody, dokładnie?

– Przede wszystkim wynik badania DNA. Konkretnie wykonanego poprzez porównywanie charakterystycznych wzorów polimorficznych...

– Przestań. Co na to Olszak?

– Szczerze mówiąc, nie wydawał się zaskoczony. I oczywiście, że się załamał.

– A co z innymi?

– Beata w kostnicy, całkowity brak krewnych, przybrani rodzice nie żyją, a ambasada nabrała wody w usta i udaje, że to nie jest ich sprawa...

– Co z innymi dowodami? Hitlerowcy mnie nie obchodzą!

– A mnie obchodzą, bo robią nam kuku i przeszkadzają z pochówkiem.

– Król, tak ci przyłożę, że się nie poznasz. Gadaj, jak za-trzymaliście mordercę.

– Normalnie. Wyciągnął ręce przed siebie, a pani aspirant za-

łożyła mu bransoletki. Potem pojechaliśmy na komendę, wyłożyłem mu swoje racje, wytłumaczyłem, że tylko on wchodził w rachubę i streściłem przebieg wypadków. A on natychmiast zgodził się z moim tokiem rozumowania i przyznał się do wszystkiego.

– Więc opowiedz mi to samo, co jemu.

– No dobra. Ale chodźmy stąd... – Wyrzucił niedojedzonego hot-doga.

Przeszli przez oddział, dotarli do holu za windą i rozsiedli się na fotelach, przy brudnym oknie z widokiem na czarne, sypiące się kamienice i równie zużytych przechodniów.

– Na koniec chciałbym jeszcze raz odwiedzić Istambuł.

Martens ze smutkiem przyjrzał się ubłoconej i przyprószonej szarym śniegiem, rozkopanej ulicy.

– Zanurzyć się w tłum na Kapahçarşı, popłynąć stateczkiem przez Haliç. A potem zasnąć obok ojca i dziadka. I mieć „Refik” na grobie.

– Na jaki koniec? Na jakim grobie? Przed godziną rozmawiałem z twoją lekarką...

– Używasz długopisu w czterech kolorach?

Martens uśmiechnął się podejrzanie.

– Nie używam. Chcesz wiedzieć, co stało się dalej?

– Opowiadaj.

– Nie poddawaj się, Refik.

– Opowiadaj, do diabła!

Król wyczarował następnego hot-doga.

– Najpierw przeprowadziliśmy oględziny i odkryliśmy, że pani Fraumann została uduszona na sucho. Dlatego kazałem ci szukać hydraulika. Chce mi się pić...

– Szpital to nie jest knajpa.

Martens poczuł, że organizm domaga się wina.

– A szkoda. Po przeszukaniu znaleźliśmy dowody, że twoje zdjęcie zostało przywieszzone niedawno. Świadczyły o tym świeże ślady tynku za wanną. Stwierdziliśmy też, że wodę napszczono już po wbiciu gwoździka. Dalej, oględziny zwłok wykazały, że pani Fraumann nie uduszono krawatem. Ten pokaz w „Morderstwie”... – komisarz urwał w pół słowa.

– Co?

– Nic. Praca kryminalnych polega często na tym, że szuka się czegoś, czego właściwie nie ma. Z tego powodu dręczył nas brak ubrania. Następnym brakiem była całkowita nieobecność odcisków palców. Znaleźliśmy zaledwie jeden, na kluczu. I to był twój odcisk, Martens.

– Stałem się podejrzanym.

– Oczywiście, dla szefa. Ale ja cię znam od dzieciństwa i przyjąłem, że sam mi wszystko wyjaśnisz. Jednak się przeliczyłem.

– Chciałem...

– Dobra. Pominę, co wiesz. No więc Połaniecki zrobił Beacie zdjęcia, zostawił ją w wannie w ubraniu, i chciał już iść, oddać klisze do wywołania, jednak gdy wyszedł na klatkę, Fraumann natychmiast zadzwoniła do swojego kochanka. Że może już przyjść. Zresztą tamten w czasie sesji też do niej dzwonił, ale nie odbierała, nie chciała mówić przy świadku.

– Do jakiego kochanka?

– Do Olszaka. Połaniecki ich podsłuchał i postanowił zadziałać

– Mnie powiedział, że nie wiedział, kto dzwonił i nie wiedział, o czym mogli rozmawiać, bo Beata mówiła po niemiecku, a on nie zna języków.

– To kłamał. Wielokrotnie był świadkiem, jak Fraumann rozmawiała z Olszakiem. Więc nie poszedł do „Agfy”, tylko zaczął się na półpiętrze. A gdy Olszak zniknął za drzwiami, odczekał jeszcze kilka minut, wszedł, i bach! – przydybał kochanków w wannie.

– A później obił ryja Olszakowi, stąd te okulary z „Popiołu i Diamentu”.

– Dokładnie.

– Natknąłem się na nich niedawno. Olszak miał rozkwaszoną facjatę, ale nie skojarzyłem go z Połanieckim. Sądziłem, że jest od was, że to moja obstawa.

– Nie jesteś specjalnie domyślny, jednak z tą bójką się zgadza. Potem obaj wyszli na Wschodnią i rozstali się niby w zgodzie, ale

morderca zaraz się wrócił do Fraumann.

– Wszystko jasne. Olszak udusił Beatę, bowiem oznajmiła mu, że się kochają po raz ostatni. Że odchodzi do Połanieckiego, który się jej oświadczył i ofiarował pierścionek.

– Odwrotnie. Dostała pierścionek od Gintera, jeszcze zanim Połaniecki ich nakrył. Kiedy jeden skrywał się na półpiętrze, drugi zaproponował Beacie małżeństwo. I został przyjęty. To Olszak miał zostać mężem Beaty. Günther Olschak.

– Ginter Olszak. No proszę.

– Martens, skąd ty wiesz o tym pierścionku?

– Przeglądałem „Dziewczyne”, przyjrzałem się zdjęciu. I odkryłem, że nie pasuje do reszty. Bo pozostałe były z plastiku i czarne.

– A mnie dręczyło, że pani Fraumann wygląda jak trup.

– Chcesz powiedzieć, że ją sfotografował nieżywą?

– Dokładnie. Bo, uważaj, nie będę dwa razy powtarzał. Mordercą jest Połaniecki. To Połaniecki wrócił na górę, zaś Fraumann wyznała mu wtedy, że jest w ciąży z Olszakiem, że się pobierają i wyjeżdżają do Niemiec. Rozumiesz?

– Rozumiem. Beatę Fraumann i Günther Olschak pobierają się i wyjeżdżają do Niemiec. Na zawsze. Niech zgadnę, co musiał czuć Połaniecki?

– No właśnie. Zresztą kierowca ma niezbite alibi; siedział na pogotowiu, gdzie zszywali mu wargę.

- Nie mogę uwierzyć.
- Ale musisz. A ponieważ Beata była w piątym miesiącu, Połaniecki ma na sumieniu dwie ofiary na raz; matkę i dziecko.
- Król, ty krętaczu. Zmyliłeś mnie. Oświadczyłeś, że macie dowody...
- DNA? Porównaliśmy jego i te, uzyskane z płodu. Potwierdziło się, że Olszak jest ojcem. Przeżył to bardzo, załamał się prawie. Stracił przecież rodzinę. Mówiłem ci...
- Mówiłeś. Ale myślałem, że chodzi o wyrzuty sumienia.
- A chodziło o ustalenie ojcostwa.
- Wy tłumacz mi jeszcze, dlaczego Paluch się przyznał?
- Sam chciał się przyznać, nie zamierzał się wcale ukrywać.
- Nie wytrzymam. Chce mi się palić.
- Wytrzymasz. Olszak zajechał na Wschodnią, bo zamierzał rozprawić się z Połanieckim. I pewnie nawet go zabić, bo wiedział już, że to tamten zamordował Beatę. Ale ty kompletnie popsuleś mu szyki. Zszedłeś na dół i padłeś mu prosto przed drzwiami.
- Byłem pewien, że to morderca.
- Z jakiego powodu?
- Bo to Niemiec, jak Fraumann.
- Martens, jesteś germanofobem?
- Córka mi zaszła za skórę. Wyszła za Franza.
- Jest Niemcem?

– Polakiem. Ma domek w Łazach. Czy ty wiesz, że za Hitlera wśród Żydówek raptownie przybyło blondynek?

– Bardzo śmieszne.

– Mów dalej.

– Gdy kwadrans wcześniej Olszak nabył „Dziewczynę”, coś mu się nie spodobało w fotografii Beaty. I ołśniło go, że zabił ją Połaniecki, bo Beata była w pierścionku. A on oświadczył się Frau-
mann po zdjęciach. Tylko Połaniecki mógł zabić, gdyż to Połaniecki jest autorem zdjęcia z pierścionkiem. Fotografii zrobionej *postfac-
tum!*

– Olszak zrozumiał, że Połaniecki wrócił i udusił Beatę, a po-
tem nie mógł się oprzeć, żeby nie zrobić zdjęcia nieboszczce, bo jako
artystę, musiało go to podniecać. Dlatego właśnie tę fotografię wy-
brał na ilustrację w „Dziewczynie”.

– Nie dlatego. Aż taki zboczony to nie jest. Ale brawo, de-
dukcja godna Sherlocka Holmesa. Mnie także dręczyła pani Frau-
mann w nowym wcieleniu. Podejrzewałem, że nie udaje, ale że na-
prawdę nie żyje, jednak nie posiadałem dowodów. Natomiast na
pierścionek zupełnie nie zwróciłem uwagi. I to był błąd. Bowiem
Połaniecki zeznał, że zostawiając go na palcu Beaty, robiąc zdjęcia
trupowi i wybierając to właśnie do druku, chciał skierować całą na-
szą uwagę na siebie.

– Chciał dać się przymknąć na własną prośbę?

- Dokładnie. Dawał znak, że to on jest mordercą.
- Rozumiem. Życie bez pani Fraumann nie przedstawiało dla niego wartości.
- Zgadza się, przez ostatnie dwa lata żył tylko dla niej. A Beata zawiodła go na całej długości. Poza tym natychmiast ogarnęła go rozpacz. Zabił w afekcie, ale to w gruncie rzeczy normalny człowiek.
- Tylko źle ulokował uczucia.
- Wyrzuty sumienia nie dadzą mu spokoju do śmierci.
- A ja zwróciłem uwagę na ten pierścionek od razu. Nie pasował do psychodelicznej Beaty, ale nie mogłem przewidzieć, że ma to jakieś znaczenie. Chociaż, gdy roztrząsaliśmy, kto byłby zdolny ją zabić, Połaniecki właściwie się przyznał. Powiedział, że mógłby zabić dla sztuki albo z zazdrości. Puściłem to mimo uszu.
- Za to okazałeś się dzielny w finale. Olszak przywołał do ciebie karetkę...
- Pamiętam. Muszę mu podziękować.
- A potem wykrzyczał Połanieckiemu żale do okna. Nagraliśmy to z czterech kamer. Nawet Krzaka udającego pijaka i Nowaka machającego bronią.
- Krzaka? Nowaka?
- Pułkownik z sierżantem pomagali nam od początku, opowiedzieli, co zrobiła Agnieszka. Jednocześnie każdy jej bronił. To dzięki nim nie traciliśmy czasu na te wszystkie głupoty; krawat,

zdjęcie i wannę. Wracając do sedna. Niestety, Olszak darł się wyłącznie po niemiecku, więc nie wszystko rozumiałem dokładnie. Zaś Połaniecki stał tylko, patrzył i słuchał. A potem spokojnie zszedł na dół i oddał się w nasze ręce. Szkoda, że tego nie doczekałeś, Martens, jechałeś już do szpitala.

– Konkludując; nowe wcielenie Fraumann nie miało nic wspólnego z morderstwem?

– Oczywiście, że nie. Wszystko się stało przez ciążę i odrzucenie, a nie przez jakąś tam twoją Wiolettę sprzed lat.

– Tak nam się dobrze gadało. On był pewien, że jest naturalnym ojcem Beaty.

– Rozповідаł to wszystkim. Ale wiedział od dawna, że Fraumann nie jest córką ani jego, ani Agnieszki, a poza tym był w niej szaleńczo zakochany. I żeby mieć pretekst do spotkań, wymyślał głupoty. Aż w końcu sam w nie uwierzył, takie wewnętrzne alibi. Dochodzi do tego kryzys wieku średniego, faceci wpadają wtedy na niedorzeczne pomysły. Pamiętajmy wreszcie, że to artysta; egocentryk z rozwiniętą ekspresją i wyobraźnią. Dowiedział się, co łączy Beatę z Olszakiem, że ona jest w ciąży, że zamierzają się pobrać i wyjechać do Niemiec...

– Dobra, nie przekonuj mnie dalej. Zawsze twierdziłem, że mordercą jest Połaniecki! Ale jeśli zabił w afekcie i miał problemy z sumieniem, to dlaczego nie zgłosił się sam?

– Twierdzi, że chciał pomieszkać ze starym. Ojciec stoi nad grobem, nie widzieli się przez dwa lata – i pewnie nie zobaczą się więcej.

Król dobrał się do trzeciego hot-doga.

– Chce mi się palić – zajęczał Martens.

– Wytrzymasz jakoś, docieramy do końca. Otóż orientowaliśmy się od początku, że Agnieszka ma związek z morderstwem, jednak ona do niczego nie chciała się przyznać. Wodziła nas za nos, pozacierała ślady w pokoju. Zrobiła wiele, żeby nie padło na kolegów. Dopiero Krzak nam powiedział.

– To mnie chciała ukarać. Za przeszłość.

– Za Wioletkę?

– A niby za kogo? Wracając do zbrodni. Udusił ją, i co dalej?

– Udał się na Piotrkowską, do „Agfy”, i oddał filmy do wywołania. Zaś kwadrans później zjawili się Nowak i Krzak. Odkryli zwłoki, ale bali się opuścić mieszkanie. Gdy tam siedzieli, notabene kompletnie pijani, Połaniecki wrócił, jakby się nic nie stało. Niedługo potem wszyscy trzej udali się do „Aliny”, natomiast nieświadoma niczego Agnieszka posprzątała mieszkanie. Narobiła straszego zamieszania z tą wodą, rozebraniem Beaty, twoim krawatem i zdjęciem. No, ale to wszystko opisała ci w liście...

– Czytaliście list do mnie? List od Agnieszki? Jarecka mnie znowu wydała? Nie wierzę.

– Martens, nie ufaj nigdy kobiecie. Z drugiej strony Jarecka...

– Rozumie, że najważniejsze jest Dobro Ojczyzny!

– Nie kpij. I tak ci poszliśmy na rękę. Przecież mogliśmy wcale ci nie mówić o liście.

– Dobra, wybaczam. Wybaczam wszystkim i wszystko. Wybaczam tobie, Jareckiej i Mewie. Za tej jej naukowej głupoty. Wiesz, w szpitalu człowiek nabiera pokory i tolerancji. W pewnym sensie lubię nawet tego Połanieckiego.

Przypomniał sobie pogodną i inteligentną rozmówczynię na Wschodniej.

Połaniecki przyszedł z kuchni z dwoma szklankami herbaty. Powrócili do tematu kąpiących się kobiet.

– Beata była przedmiotem i pożądania, i podglądania... Martens czuł się coraz swobodniej.

– Alegoria Czystości zagrożonej przez Żądę?

– Albo odwrotnie. Nie ma pan cukru?

– Alegoria Żądy zagrożonej przez Czystość? – zdziwił się Połaniecki. – To do Beaty niepodobne.

– Daj pan spokój! Fraumann chciała się po prostu wykąpać.

– Zgadza się, było gorąco. Przepraszam, ale ojciec nie słodzi.

– Więc rozejrzała się po ogrodzie, nie zobaczyła tam żadnego

faceta, i chlup! do wanny. Nie dostrzegła jednak, niestety, nimfomanka, dwu starców, którzy się ukryli w krzakach i podglądali ją z wypiekami na twarzy.

– A potem ją chłopaki udusili – jednocześnie z zachwytu i wstydu.

– Pamiętam, że niejaki Akteon podglądał Beatę w kąpielni, baraszkującą z nimfami.

– No nie mówiłem, że nimfomanka.

Herbata, cienka i jasna, smakowała, jak kiedyś „Ulung”.

– Pewien komisarz imieniem Dawid przechadzał się codziennie po dachach i podglądał Fraumann kąpiącą się w kamienicy, tej naprzeciwko. A ponieważ była to niewiasta ogromnej urody, to ją postanowił udusić krawatem, żeby się nie zestarzała i żeby zachować owe piękno dla następnych pokoleń.

– Panie Martens, piękno naprawdę jest najważniejsze.

Malarz grecki, niejaki Zeuksis, już w piątym wieku przez naszą erą dla namalowania portretu pani Fraumann najpierw oglądał obnażone dziewczęta z całej ulicy, a potem przeniósł na obraz tylko poszczególne najpiękniejsze kawałki.

Doszli wspólnie do wniosku, że gdyby ów artysta mieszkał na Wschodniej, nie miałby z kogo czerpać przykładów, bo tutejsze kobiety nadawały się raczej na materiał do ulepienia Wenus z Willendorfu, niż na źródło piękna i twórczego natchnienia..

– Gryges podpatrywał królową Fraumann ukryty przez jej męża Kandaleusa za wanną. To by się najbardziej zgadzało w kontekście morderstwa Beaty.

– A Peeping Tom podglądał jadąca konno przez miasto nagą już nie Beatę, ale Lady Fraumann, małżonkę tego durnia Leofrica Trzeciego.

– To była aktorka!

– Artystka bez figowego listka.

– Jeśliby ta nasza Fraumann była rzeczywiście podglądana bez przerwy...

– Inwigilacja?

– Inwigilacja, ale w celu zapobieżenia złu.

– Reasumując: kobiety powinny być i podglądane, i podejrzane. Chociaż podejrzane to jest tylko forma dokonana od niedokonaney formy podglądane. Prawda?

Roześmiali się jednocześnie.

– Szkoda go trochę, to był jednak artysta.

– Przeżyjemy tą szkodę.

– Wracając do Krzaka. Czytałeś przecież, że to bydlę gwałcaące siostrę. Agnieszka latami przechodziła z nim piekło.

– Myślę, że rzecz ma się zupełnie inaczej. Agnieszka chciałaby

jak najszybciej zapomnieć, że to brat dał jej pieniądze na wykupienie mieszkania i zakład. Nowak był cienki, więc Krzak słał siostrze forszę do Węgorzewa, fundował wczasy na Kubie, kupował futra. Aż w końcu zapłacił za „Studio Fryzury”, a nie Alina, jak napisała nam w liście. Niestety, kobiety są, mój drogi, okrutne. A propos, co tam u Mewy?

– Już pytałeś. Pojechały z Jarecką nad morze. Nasza córka ma w Łazach pensjonat.

– Winszuję.

Król poklepał Martensa po plecach.

– Nie klep mnie. Wystarczy, że oklepała mnie pielęgniarka.

– O mnie mowa?

Z korytarza wyłoniła się siostra Irenka. Widać, skończyła już dyżur i była przebrana do wyjścia. Stała w rozkroku.

– Pan Martens jest chory.

Spojrzała na obu z wyrzutem.

– Rozmawiamy.

– Pan idzie do domu, a pacjent natychmiast do łóżka.

– Czy my się może skądś znamy?

Król przyjrzał się pielęgniarce.

– Ogóreczek?

Pielęgniarka popatrzyła na Króla.

– Komisarz to ogóreczek? – roześmiał się Martens. Król pod-

niósł się powoli z fotela.

– Październik, dziewięćdziesiąty szósty.

– Piotrkowska, koło „Hortexu”.

– Pamiętam, złamałaś oba obcasy.

– A ty wsadziłeś mnie na barana i zaniósłeś na stację.

– Nie było daleko.

– Ale było przyjemnie.

– Miałem przy sobie wiktuały od mamy.

– Wiktuały? Słoik kiszonych ogórków i pół litra miodu w butelce.

– Niestety, musiałem wracać do Szczytna.

– A ja musiałam się uczyć do klasówki z polskiego. Ale i tak było warto.

– Co tam u pani?

– Normalnie. Dokąd pan idzie?

– Jest jedna taka... – wyszeptał Martens wprost w ucho siostry Irenki. – Panna aspirant. Przefarbowana idiotka.

– Do sali!

– Właśnie. Zamknij się, Martens.

Król ujął pielęgniarkę pod rękę.

– Ja już skończyłam.

– Ja też właśnie miałem wychodzić.

– Pan Martens dał mi do zrozumienia, że preferujesz blon-

dynki?

– Przeciwnie. Pod tym względem stanowią wyjątek.

– Kłamiesz.

Pielęgniarka powiedziała to miękko, na przekór znaczeniu słowa.

– Ale to nic nie szkodzi.

Była już pewna swego.

– Cześć, redaktorze. Zdrowiej nam szybko.

– Cześć, zakochani. *Et in Arcadia ego*.

Odprowadził ich spojrzeniem do windy. I ja znalazłem kiedyś szczęścia – pomyślał.

Martens dźwignął się z łóżka i poszperał w portfelu. Postanowił wrzucić dwa złote w ustrojstwo na ścianie i obejrzeć wiadomości lokalne. Ale nie znalazł drobnych. Więc sięgnął na szafkę, po „Express” od Króla.

Okrutna zbrodnia na Wschodniej – donosiła gazeta.

Wczoraj wieczorem na Wschodniej przy Włókienniczej doszło do zatrzymania groźnego przestępcy. Kwadrans po dziewiętnastej łódzka policja schwytała Józefa P-P, podejrzanego o morderstwo

dokonane dziesięć dni temu na pani redaktor Beacie Fraumann. Zatrzymany przyznał się do dokonania tej zbrodni. Świadkiem dramatycznych okoliczności aresztowania był kierowca denatki, pan Ginter Olszak, którego poprosiliśmy o kilka słów komentarza.

Pan Olszak... – spojrzał na zdjęcie przystojnego chłopaka. Zamknął oczy i pogrążył się w myślach. Przypomniał sobie sceny z wczorajszego wieczora, zatrzymał się na ostatniej.

– Zawołać pogotowie?

– Zawołać.

Zadzwoił do Króla.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, ale powiedz, czemu ten Olszak wciąż wchodził mi w drogę?

– Bo myślał, że to ty ją zabiłeś. Widział, jak wychodziłeś od niej o siedemnastej, ale nie miał stuprocentowej pewności, chciał cię na początek nastraszyć. Jednak w roli twardziela sprawiłeś mu niespodziankę i sprawdziłeś się niczym Bogart. W roli śledczego także. Pamiętasz, jak odkryłeś na zdjęciu Nowaka?

– W „Expressie”? Pamiętam, dali opis wypadku.

– Nic mi nie mówiłeś o zdjęciu w „Expressie”.

– Bo nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

– Nieważne. Chodzi o tamto w restauracji, na ścianie.

– Kto ci powiedział? Alina? Boże, zdradzali mnie wszyscy.

– Odwrotnie. Alina to twarda sztuka. Sami patrzyliśmy ci trochę na ręce. Chodziliśmy za tobą, ale nie przeszkadzaliśmy ci działać. Zostawiliśmy ci klucz i pozwoliliśmy pogrzebać w rzeczach. I tak tam było już wysprzątane, nie mogłeś niczego zadeptać. Oczywiście niczego, co by stanowiło wartość dla śledztwa.

– Od początku wiedziałeś, że przeszłość nie ma tu nic do rzeczy.

– No tak. Już na drugi dzień wiedzieliśmy, kto zamordował Beatę, ale nie mieliśmy dowodów. Dlatego szef, chociaż nie miał pojęcia, o co mi chodzi, zgodził się, żeby cię wpuścić.

– Więc w ogóle nie potrzebowaliście ode mnie pomocy?

– Jakby ci to powiedzieć... Na to wygląda. Chciałem jedynie, żebyś coś sobie przypomniał.

– Co miałem sobie przypomnieć?

– No wiesz.

– Nie wiem.

W słuchawce zapadła cisza, zakłopotany Król przerwał rozmowę.

– Przepraszam, Martens.

– Mów, co chciałeś. Co miałem zrobić? O czym miałem sobie przypomnieć?

– Chciałem...

– No, mów!

– Chciałem, żebyś jeszcze raz przeżył przygodę z Wiolettą.

– Idiota!

– Niech będzie.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj, ale gadaj, durniu, dlaczego?

– Byłeś mi winien „Smienę”. To miało wyrównać stratę.

– Nie wierzę. Dla gównianego aparatu kazałeś przeżywać mi wszystko od nowa?

– Poniekąd.

– A tak naprawdę...

Znowu ta sama cisza – i te same westchnienia.

– No dobra. Niech będzie. Zrobiłem to wyłącznie dla Mewy.

– Dla Mewy? Gadaj, do diabła!

– Pamiętasz, w dniu po morderstwie opowiedziałeś jej o Wioletcie.

– Pamiętam, byłem na kacu.

– Byłeś na kacu i opowiedziałeś zbyt wiele.

– Sądziłem, że nie spostrzegła.

– Spostrzegła.

– I postanowiła się zemścić?

– Najpierw postanowiła się trochę zabawić. Spotkaliśmy się nazajutrz w „Alinie”, opowiedziała mi o krawacie, oczywiście, zwrócimy ci go po procesie. W ten sposób mieliśmy haka na ciebie i postanowiłem cię nim postraszyć. Jestem z siebie niezwykle dumny, bo dokonałem tego na oczach całej ekipy.

– I całej Polski.

– Widziałem, jak się spociłeś ze strachu. Potem Mewa rozwinęła scenariusz i wpadła na ten pomysł z rzeczami. Ze szpargałami rzekomo pozostawionymi przez ciebie na Wschodniej. Wiesz, papierzyska w szufladzie, książki na ławie, „Dookoła Świata” i „Express” wrzucone za wersalkę, pozakreślane anonse. No i moja „Smiena” na kłamce. W rzeczywistości Mewa przytargała to od teściowej, bo twoja mamusia do dzisiaj przechowuje graty swojego ukochanego Rafałka. Zaś zapalniczkę i ortalion kupiliśmy na rynku. Ten Ronson to zresztą podróbka. Jednak najwięcej kłopotu sprawiły nam flaszki. Na szczęście w piwnicy mojego starego znalazłem kilka butelek po La-crimie, Mistelli i Varnie.

– Nie do wiary! Zastanawiałem się ciągle, po co dałeś mi klucz.

– Ponadto pomogła nam trochę Agnieszka. Wysprzątała wszystko, niewiasta, z wyjątkiem szuflady. Pozostały tam stare mo-

nety i banknoty, proszki od bólu głowy, jakiś długopis. Pomyśleliśmy, że i to uznasz za swoje.

– A drogeria? Maszynka, żyletki?

– Drogerię zostawił Nowak. Wiesz, wtedy nie robili innych kosmetyków dla mężczyzn. Mewa uznała, że ty też używałeś podobnych, a już na pewno Yardley'a. Więc nie mogłeś się zorientować. Przedobrzyliśmy jedynie z Popularnymi, wtedy jeszcze nie było takiej marki.

– Nie dawało mi to spokoju. Dla odmiany, teraz nie robią już Sportów.

– Wybaczysz?

– Wybaczam. Chociaż to obłąd. Napisałiście sztukę, wystawiliście dekoracje, i zasiedliście na widowni, ciekawi, co się wydarzy. Zaś aktor grający główną rolę nie miał pojęcia, że gra.

– Ja to widzę inaczej. To eksperyment z psychoterapii.

– Albo warsztaty. Pieprzysz.

– Mówiąc serio, z jednej strony miała to być jedynie zabawa. Z drugiej, mimo wszystko, nie sprawdzasz się w roli męża. Zrobiliśmy to z tych dwóch powodów.

– Król, ty też nie jesteś świętoszkiem.

– Ale ja nie mam żony.

– Niech ci będzie. Jednak miej się, kolego, na bacności. Wracając do Mewy; okazała się niezłą artystką.

- I psycholożką.
- Przekuła teorię w praktykę.
- Nazwała to psychodramą.
- Więc, działając w porozumieniu i z premedytacją oraz na moją szkodę, przyjaciel razem z małżonką, przydzieliliście mi rolę narzeczonego wymagowanej Wioletty.
- Narzeczonego oraz durnia. Martens, w roli medium zrobisz kiedyś prawdziwą karierę. Oczywiście pod pseudonimem Refik Celik.
- Zreasumujmy. Nie prowadziłem żadnego dochodzenia?
- Niestety.
- I nie było żadnego śledztwa?
- Tak to można określić.
- Grałem tylko w komedii?
- Na to wychodzi.
- No dobrze. Wy mieliście zabawę, a ja zapłaciłem za błędy z młodości.
- Zaś Mewie przydały się wreszcie na coś studia.
- Mam nadzieję, że dzięki temu zapomni w końcu o tych naciąganych idiotycznych pseudoformułkach na poziomie psychopradnika z „Dziewczyny”.
- Tutaj byłbym ostrożny.
- Niestety. Powiedz mi jeszcze, czy Jarecka także uczestni-

czyła w tym wszystkim?

– Daj spokój.

– Odpowiedz mi na ostatnie pytanie: czy ta dziewczyna w oknie, ta blondynka w czerwonej sukience, czy to była Jarecka?

– Martens, mam za mało czasu, kończymy.

– Nie bój się. Nie mam do niej jakiegokolwiek pretensji.

– Sam sobie odpowiedz.

– Przecież ja i Jarecka... No tak. Wstrętne babska wspólnie zastawiły na mnie pułapkę. Ale, że będę żałował, Jarecka oznajmiła mi dopiero post factum. Król, ja rzeczywiście jestem kretynem.

– Jarecka i Mewa to przyjaciółki.

– Niestety.

– Przed wyjazdem pożyczyły ode mnie aparat. Postanowiły zrobić sobie zdjęcia.

– Do cholery, jest zimno. A szczególnie nad morzem.

– Ale one się nie będą rozbierać.

– Też ją widziałeś?

– „Polkę w łóżku”? To nie Jarecka. Tak samo „Morze Rozkoszy”. Podobieństwo jest po połowie sprawą peruki i jakiejś prawie identycznej, no powiedzmy, modelki. Tylko dlatego Jarecka kupuje te pisemka i filmy. Ja również prawie dałem się nabrać.

– Byłeś u niej? No jasne. To twój długopis. Z wkładami w czterech kolorach.

- Poprawialiśmy scenariusz.
- Smakowały?
- Co?
- Parówki.
- Muszę już kończyć.
- W porządku, kolejna rozwikłana zagadka. Nikt i nic nie ostało się takie, jakim się wydawało z początku.
- Jak w przyzwoitym kryminale.
- A jak tam Irenka?
- Dzwonisz za wcześnie.
- No to Szczęść Boże. A nie zapomnij o włosach.
- Nie rozumiem.
- Zrozumiesz. Świat się kręci wokół przemalowanych blondynek. Wyłącznie.

Zamknął oczy i pomyślał o Mewie.

W przestronnej kuchnio-jadalni łazowskiego pensjonatu-smażalni grała w brydża z Jarecką, ich córką i Franzem. W przerwach ze szczegółami opowiadała o wydarzeniach na Wschodniej i zaśmiewała się do rozpuku. Potem we trójkę wyszły pospacerować po wydmach. Po jednej stronie miały kiczowatą wymarłą osadę, zaś po drugiej spieniony wzburzony Bałtyk. Przez krzyk ptaków i szum

wiatru wsłuchiwał się w strzępki rozmowy. Wszystkie miały o nim podobne zdanie; egoistyczna męska menda w rozlatującej się ludzkiej powłoce. Na małym betonowym podeście Jarecka przysiadła na murku z kamieni i odpięła kożuszek. Mewa przykucnęła i pstryknęła jej zdjęcie.

Przełączył na inny kanał – pojawili się Mewa, Jarecka i Król. Siedzieli przy stole w „Alinie”, pili wódkę i omawiali, w jaki sposób go wystawić do wiatru. Mewa nadawała kształt zemście, Król wykładał szczegóły, a Jarecka przymierzała platynową plastikową perukę. Śmiali się, żarli golonki i szykowali go do roli idioty.

Na następnym obrazie blondynka w czerwonej sukience popijała wino z butelki. Po raz kolejny zaczął się zastanawiać, która z dziewczyn na „A” mogłaby być jego tajemniczą polimorficzną Wioletką. Jednocześnie akceptacją i buntem, prawdą i kłamstwem, świeżością i brudem.

Ale najważniejszym, niezastąpionym składnikiem owego miłego wywaru był niewątpliwie on sam i jego własny idiotyzm – bez niego nie połączyłby owych trzech kobiet w jedną. W Wiolecie zastanawiało go zawsze coś przedziwnego. Bo dlaczego, mimo że pili na umór, chowała się przed nim w łazience? Dlaczego nie kochali się nigdy przy świetle? Zaś zapach perfum „Konwalia” był od Aliny albo Anny. Alina przynosiła z restauracji fetor od śledzi, a Agnieszka miała zdecydowanie najmniejsze piersi. Wioletta tłumaczyła mu, że

to na ogół zależy od cyklu, a on po pijaku przyjmował jej bajdurzenia za fakty. Wszystkie one miały niskie, gardłowe głosy – przepite i przepalone, i również z tego powodu nie rozróżniał, która z nich grała tymczasem rolę Wioletty. Wychodzi więc na to, że pieprzył się ze wszystkimi trzema po kolei, i jedynie można żałować, że nie jednocześnie.

Dziwki! One się zabawiały, a on się, idiota, zakochał. Gdy zaś skończyła się forsa, skończyły się również romanse – zabrakło okłasków i opadła kurtyna.

Do kroplówki dołożyli mu lekarstwo na sen. Poczul, jak pograża się w nieokreślonym niebycie. Ostatkiem gasnącej świadomości próbował przywołać twarz nieistniejącej Wioletty, ale ze wsząd napływały jedynie obrazy. Wzniesione ku niebu lico Marii Magdaleny Tycjana, portret lady Hamilton George'a Romney'a, Joanna Seymour Hansa Holbeina Młodszeo. Historia sztuki interesowała go od liceum, jednak postanowił studiować biologię. Zasnął nareszcie i Wioletta przyśniła mu się w całości. Wypinała do niego tylek i rozkraczała szeroko nogi. Namalowana olejem na płótnie, nie przypominała żadnej z jego nieszczęsnych kochanek. Z jednej strony była podobna do obscenicznej „Sikającej” Picassa, a z drugiej do „Kąpiącej się w Strumieniu” Hendrickje van Gogha.

Po raz ostatni widział ją dokładnie w tym miejscu.

– Do zobaczenia, Martens.

Rozglądała się, dreptała nerwowo przy bramie.

– To idioci.

Uśmiechnął się, tak mu się przynajmniej zdawało, i pomachał jej delikatnie palcami.

– Życie mi nie popuszcza.

Wyciągnęła spod bluzki łańcuszek z oryginalną pękatą zawieszka: połyskującego na brązowo-złoto żółędzia w czapeczce z zielonej emalii.

– Chciałbyś być drzewem?

Pocałowała talizman.

– Dębem?

– Dębem.

Odwróciła się – zbyt gwałtownie – i niepewnym krokiem po-
dążyła ledwie widoczną ścieżką przez wrzosowiska, w kierunku pętli
za lasem.

Ma czas – spojrzał na złotą Doxę, wyjątkowo nakręcił ją dzi-
siaj do końca. Ostatni autobus do Koszalina odjeżdżał za pół godzi-
ny.

Mogłem ją wtedy podwieźć – rzucił okiem na szosę. Wiła się
połyskującym po deszczu, przeraźliwie dziurawym asfaltem. Byłem
pijany – wytłumaczył się szybko.

Wściekły szum fal przelewał się nad rachitycznym laskiem oddzielającym osadę od morza i rozpląwał wśród wyludnionych ośrodków i pozamykanych na głucho smażalni. Druga dekada września nie rozpieszczała resztki najbardziej wytrwałych turystów i dokładnie powtarzała tamtą z osiemdziesiątego pierwszego. Przynajmniej pod względem pogody.

– Czas na brydża...

Spojrzał na granatowo-czarne chmurzyska pędzące tuż ponad głową. Zapalił Lucky Strike`a i sięgnął pod marynarkę. W „szczeniaku” po Terra Quente Colheita trzymał niegazowaną Perrier.

Zamiana wina na wodę to licha sztuka... – pomyślał.

Począł do Mewy i Franza.

Tak zaczyna się następny z serii kryminał, w którym Martens znów sięga pamięcią daleko wstecz, aby z dystansu raz jeszcze przyrzeć się faktom i wyjaśnić nierozwiązaną przez ćwierć wieku zagadkę.

Powieść nosi tytuł „Artyści z miasta Łodzi” i ukaże się wkrótce. Życzymy miłej lektury.

Wydawca i Autor